

Jerzy Edigey

Nagła śmierć kibica

„KB”

Rozdział I

Wielki szlem

Grano przy dwóch stolikach. Spotkania brydżowo-towarzyskie u państwa Wojciechowskich miały już swoją tradycję. Znany chemik, profesor Zygmunt Wojciechowski, nie był namiętnym brydżystą, ale lubił bardzo przyjmować u siebie małe grono przyjaciół. Pretekstem do takich spotkań był właśnie zielony stolik i dwie talie kart. Raz, najwyżej dwa razy w miesiącu zapraszano trzy, najwyżej cztery osoby. Zazwyczaj w sobotę, na piątą po południu.

Najpierw podawano czarną kawę z tortem lub szarlotką upieczoną przez panią domu. Do tego bogata kolekcja koniaków i likierów stojąca opodal na małym barku na kółkach. Rozmowa trwała jakąś godzinę. Później czwórka zasiadała do kart, zaś Elżbieta Wojciechowska, zachowując jako gospodyni przywilej pierwszej „wychodzącej”, uprzątała naczynia i robiła ostatnie przygotowania do kolacji. Tę podawano około ósmej wieczorem. Pani domu starała się zawsze olśnić zaproszone kobiety „dankiem”, którego nikt nie znał.

Grano o bardzo niskie stawki. „Po gazecie”, czyli dawniej po 50 groszy punkt. Kiedy ceny gazet podskoczyły do złotówki, i u profesorostwa Wojciechowskich podniesiono stawkę. Pomimo tak niskich „bodźców materialnych” brydżowe boje były nieraz zacięte i dochodziło nawet do dość ostrej wymiany słów. Wiadomo, jak to przy brydżu. Zwłaszcza jeżeli grał przyjaciel profesora, mecenas Leonard Poturycki. Adwokat, choć dobry gracz, nigdy nie chciał się przyznać do własnych błędów. Zawsze wyszukiwał je u partnera. Pod tym względem niewiele lepszy był i doktor Witold Jasińczak. Panie grały znacznie spokojniej i z wyrozumiałością traktowały wysoki partnerów, przede wszystkim własnych mężów.

Wszyscy tu znali się doskonale. O każdym partnerze wiedzano, co jest jego mocną, a co słabą stroną. Gdy Elżbieta Wojciechowska licytowała bez atu, wiadomo, że ma bombę w kartach, bo przecież czuje się pewniejsza przy rozgrywaniu gry „kolorowej”. Kiedy zaś doktor Jasińczak zgłaszał jakiś kolor i po poparciu przez

partnera nagle przerzucał się na bez atu, także wszyscy wiedzieli, że odezwał się z vicerenonsu albo najwyżej z dwoma blotkami.

Ale dzisiejszy brydż był nieco inny. Tak się złożyło, że z Anglii przyjechał do Warszawy znany tamtejszy fizyk, doktor Henryk Lepato, zresztą Polak. Uczony miał wygłosić dwa odczyty na Politechnice Warszawskiej i rektor tej uczelni prosił profesora Wojciechowskiego, aby „holował” fizyka w stolicy Polski, gdyż poznał go już uprzednio na jakimś kongresie w Londynie. Jednocześnie do Zakładu Chemii Tworzyw Sztucznych, na którego czele stał właśnie Wojciechowski, przyjechał kolega, profesor z Gliwic, Andrzej Badowicz.

W tej sytuacji państwo Wojciechowscy uznali, że najlepiej będzie zaprosić obu uczonych na swojego sobotniego brydża, a listę gości uzupełnić do dziesiątki, tak żeby złożyły się dwa pełne stoliki. Poza mecenasem Poturyckim i jego żoną Janiną oraz doktorem Jasieńczakiem i panią Krysią Jasieńczakową w dzisiejszym brydżu uczestniczyli Mariola Boweri, młoda przystojna aktorka filmowa, ciągle jeszcze czekająca na swoją wielką rolę i nosząca w dowodzie osobistym bardziej prozaiczne nazwisko - Maria Skowronek, a także pan docent Stanisław Lechnowicz. Wszyscy prócz Anglika i Ślązaka wiedzieli, że Mariola Boweri jest nową „narzeczoną” docenta.

Grano w dwóch pokojach połączonych rozsuwaną ścianą. Jedno z tych pomieszczeń służyło jako „living-room”.

Drugie pełniło funkcję pokoju bibliotecznego. Ściany obudowane były regałami dźwigającymi przynajmniej dwa tysiące książek. Przeważnie różnojęzyczne dzieła z zakresu chemii. Wojciechowscy mieszkali w Warszawie przy ulicy Prezydenckiej we własnej, wygodnie urządzonej willi. W suterenie znajdował się garaż oraz pracownia chemiczna. Parter to właśnie wymienione przed chwilą dwa pomieszczenia plus kuchnia i łazienka. Pierwsze piętro mieściło trzy pokoje: pani Elżbiety, profesora i ich sześciolatniego synka Michała Sebastiana. Dlaczego Sebastiana? Tego nikt, nawet Wojciechowski, nie umiał wytłumaczyć, bo wcale nie był zwolennikiem Bacha.

Przed kolacją gra toczyła się jakoś niemrawie. Zwykle tak bywa, kiedy grają ludzie, którzy zobaczyli się pierwszy raz w życiu i od razu zasiedli do kart. Ale po smacznej i dość obficie podlanej alkoholami kolacji brydż znacznie się ożywił. Zaczęły „chodzić” wysokie gry. Profesor Wojciechowski aż dwa razy licytował szlemika, co prawda bez powodzenia, ale dlatego że dwukrotnie trafił na wybitnie

złośliwy rozkład. W pokoju stołowym grała piątka: doktor z Anglikiem przeciwko pani Boweri z mecenasem. Elżbieta Wojciechowska właśnie była „wychodzącą”. W bibliotece walczyli panowie przeciwko paniom. To znaczy, że profesor Wojciechowski grał ze swoim kolegą z Gliwic, zaś Janeczka Poturycka miała za partnerkę Krysię Jasińczakową. Przy tym stoliku na razie pauzował docent Lechnowicz.

Pani Boweri rozdała karty.

Obie strony były po partii. Pani Mariola spasowała. Anglik po krótkim namyśle zgłosił kiery. Mecenas Poturycki, któremu ten kolor u przeciwników wybitnie odpowiadał, skwapliwie spasował. Doktor mając renons w kiery szybko przeniósł na piki. Pani Boweri ponownie spasowała. Teraz pan Lepato odpowiedział trzy piki. Mecenas krótko: pas. Doktor pokazał następny kolor i zgłosił cztery karo. Licytacja toczyła się teraz tylko pomiędzy Jasińczakiem a Lepato, bo pani Boweri i mecenas Poturycki stale pasowali. Anglik na cztery karo odpowiedział pięcioma treflami. Doktor przeszedł ponownie na piki, a wtedy Lepato zgłosił szlemika w tym kolorze. Doktorowi Jasińczakowi aż pot wystąpił na czoło. Chwilę się namyślał i wreszcie ogłosił donośnym, chociaż nieco drżącym głosem:

- Wielki szlem w piki.
- Kontra! - zgłosiła Mariola mając trzecią damę atutową i króla karo za ręką. Jeszcze trzy kolejne: pas, pas, pas i pani Boweri położyła na stole ósemkę trefl.

W obu pomieszczeniach zapanowała cisza. Nawet ci grający w bibliotece, przy drugim stoliku, przerwali grę. Licytowanie szlema, zwłaszcza w takich „amatorskich” rozgrywkach, nieczęsto się przecież zdarza. Nie grający - Elżbieta Wojciechowska i docent Lechnowicz - znaleźli się za plecami doktora.

Pan Lepato, usiłując zachować spokój, wykladał karty na stół.

Jasińczak namyślał się, jak zagrać. Czy przypadkiem pani Boweri nie wyszła spod króla? Wiedział, że gracze nieraz robią takie zmyłkowe pociągnięcia. A przecież od tej decyzji zależało, czy szlem wyjdzie.

- Trzeba bić asem - podpowiedział Lechnowicz.
- Wypraszam sobie - zawołał mecenas Poturycki. - Pan widział karty!
- Sam potrafię grać - zaznaczył doktor, jednakże przebił ósemkę treflową asem ze stołu.

- Ja nie gram - Poturycki demonstracyjnie rzucił karty.
- Ależ panowie! - Elżbieta Wojciechowska próbowała interweniować.
- To nie fair play - stwierdził Anglik. - Kibic musi być cichy i bezwonnny.
- Zawsze bym położył asa i bez cudzych głupich uwag - bronił się Jasieńczak.
- Sam pan jest głupi. Przecież widziałem, jak pan już sięgał po waleta - roześmiał się Lechnowicz. - Tu trzeba grać zdecydowanie. Inaczej się nie wygra.

Mariola kontrowała, więc należy impasować piki w tamtą stronę.

- Czytałeś powieść „Nagła śmierć kibica”? - Mariola także była już wściekła na swojego przyjaciela.

- Po impasie - docent tak się zachowywał, jak gdyby pragnął wywołać wielką awanturę - trzeba tak grać, żeby mecenas znalazł się w przymusie i zrzucił albo karo, albo kiery. Wtedy przebitkami doktor wyrobi sobie jeden z tych kolorów.

- Tego już trochę za dużo - protestował Jasieńczak.
- Co się pan dziwi, doktorze - głos Poturyckiego drżał hamowaną wściekłością - donosiciel zawsze zostanie donosicielem.

- A szmatława adwokacina szmatławą adwokacina - odciął się Lechnowicz. Mecenas zerwał się z miejsca, z hałasem odsuwając fotel. Docent z zaciśniętymi pięściami ruszył w jego stronę.

Na szczęście Elżbieta Wojciechowska znalazła się pomiędzy mężczyznami.

- Co robicie, głupie koguty. Opanujcie się. Jak wam nie wstyd!
- Bo on... - Poturycki urwał w pół zdania.
- Nie pozwolę się obrażać - Lechnowicz poczerwieniał na twarzy.
- Muszę stwierdzić - dorzucił Anglik - że docent zachował się w sposób wysoce nietaktowny.

- Po co się wtrąca do cudzej gry - Jasieńczak dodał swoje trzy grosze. - Nie od dzisiaj gram w brydza.

Jeszcze chwila, a kłótnia przybrałaby większe rozmiary. Do rękoczynów było już bardzo blisko. Profesor Zygmunt Wojciechowski uznał za stosowne przyjść z pomocą żonie.

- Panowie, dajcie spokój. O życie gracie? Doprawdy zachowujecie się jak dwunastoletni chłopcy. Co się takiego stało? Przecież widać, że szlem jest do wygrania i tak znakomity gracz, jak doktor, nie mógłby spartolić tej rozgrywki. A tobie, Stachu, bardzo się dziwię. Zawsze taki opanowany...

- Stasio - wtrąciła pani Boweri - ostatnio źle się czuje. Już parę razy radziłam mu, żebyśmy gdzieś wyjechali, choćby na krótki odpoczynek.

- Co z ciebie za adwokat - Wojciechowski nadal usiłował zbagatelizować to przykre zajście - jeżeli jedna uwaga kibica wyprowadza cię z równowagi? Siadaj na swoje miejsce.

Poturycki posłusznie zastosował się do polecenia pana domu.

- Bardzo przepraszam za swoje odezwanie - pan Lepato, choć warszawianin z pochodzenia, podkreślił swoje nienagannie angielskie wychowanie. - Proszę mi wybaczyć.

- Zaraz dam wam po koniaku na uspokojenie nerwów - zaofiarował się profesor. - Jakie macie kolory?

Na barku na kółkach, stojącym w pobliżu, znajdowała się cała bateria trunków. Tam też grający stawiali kieliszki. Żeby się nie pomieszały, każdy miał inną, kolorową, okrągłą podstawkę z papieru. Goście musieli jedynie zapamiętać swój kolor. To było bardzo praktyczne.

- Mój czerwony - stwierdził Jasińczak.

Ja jak zwykle na zielonym - przyznał mecenas.

- Mój biały i pamiętam, że pana Lepato był brązowy - informowała Mariola.

Profesor Wojciechowski sprawnie serwował napitki gościom. Napięcie zostało rozładowane.

- A twój, Stachu? - Elżbieta zapytała docenta.

- Niebieski - odpowiedział Lechnowicz.

Podeszła do barku i za chwilę trzymając w rękach dwa kieliszki podała jeden z nich docentowi. Ujmując go za ramię, lekko odciągnęła mężczyznę od stolika z grającymi.

- Zachowałeś się jak barbarzyńca - powiedziała cicho. - Wstyd mi za ciebie.

- Bardzo cię przepraszam - docent pocałował panią domu w rękę - ale naprawdę ostatnio trochę źle się czuję. Sam nie wiem, co mi jest.

To mówiąc Lechnowicz jednym haustem wychylił kieliszek koniaku. Aż się skrzywił przełykając mocny płyn.

Chwilę stał bez ruchu z półotwartymi ustami i coraz większym grymasem bólu na twarzy. Usiłował ręką sięgnąć do serca. Z drugiej kieliszek wypadł mu na dywan. Docent zatoczył się i padając zawadził o stojącą w pobliżu kanapę.

Znieruchomiał w pozie półleżącej, z głową opartą o siedzenie kanapy, z oczami szeroko otwartymi.

Obecni w pokoju zerwali się ze swoich miejsc.

Doktor Jasieńczak pierwszy podbiegł do leżącego. Pochylił się nad nim. Wziął za rękę.

- Pomóżcie - powiedział. - Musimy go położyć na kanapie.

Wojciechowski z Lepato dźwignęli Lechnowicza i ułożyli go według wskazań lekarza. Doktor rozluźnił mu krawat, rozpiął koszulę i badał chorego.

- On umiera - stwierdził z przerażeniem. - Trzeba natychmiast wezwać pogotowie! Niech przysyłają karetkę reanimacyjną.

- Ja zatelefonuję - zaofiarowała się Elżbieta.

- Lepiej, jeżeli ja sam to zrobię - Jasieńczak przeszedł do biblioteki, gdzie na biurku stał telefon. Za chwilę usłyszano jego głos.

- Tu doktor Jasieńczak - mówił. - Dzwonię z ulicy Prezydenckiej pięćdziesiąt pięć. Boczna od Filtrowej. W mieszkaniu profesora Wojciechowskiego zachorował Stanisław Lechnowicz. Przepuszczalnie zawał serca. Stan bardzo ciężki. Potrzebna natychmiast karetka reanimacyjna. Dziękuję, czekamy.

Lekarz wrócił do chorego. Znowu pochylił się nad nim.

• Nie żyje - powiedział głuchym głosem. - Z wielką przykrością...

• To niemożliwe! - zaprotestowała pani Boweri.

• Niestety, to prawda.

• Trzeba go ratować! - zawołała Janina Poturycka.

- Obawiam się, że tu już żaden ratunek nie pomoże. Elżbieta Wojciechowska wybuchnęła histerycznym

śmiechem. Z trudem zdołała się opanować. Mariola Boweri płakała cicho. Pozostali zbili się w gromadkę koło kanapy. Spoczywał na niej zmarły. Człowiek, który jeszcze przed pięciu minutami był w gronie żywych.

• Może sztuczne oddychanie? - zauważył Anglik.

• Tu nic nie pomoże.

• Co za straszne nieszczęście - Krystyna Jasieńczakowa ogromnie przejęła się tragicznym wypadkiem. - Co teraz zrobimy?

• Mam nadzieję, że uda mi się namówić lekarza z pogotowia, aby zabrał zmarłego ze sobą. To byłoby najlepsze rozwiązanie. Inaczej Zygmunt nie uniknie

wielu najrozmaitszych kłopotów.

- O czym mówisz?

• Nagły zgon w obcym domu automatycznie powoduje wszczęcie dochodzenia milicyjnego ze wszystkimi jego konsekwencjami, a więc przesłuchiwaniami obecnych, sekcją zwłok, decyzją prokuratora na wydanie ciała rodzinie i zezwolenie na pogrzeb. Sam byłem przez wiele lat lekarzem milicyjnym i możecie mi wierzyć, te formalności nie są przyjemne dla rodziny, a tym bardziej dla kogoś, u kogo zdarzył się wypadek. Milicja traktuje takiego człowieka jako podejrzanego.

- Co za straszny wypadek! - jęknął Wojciechowski.

• Bądź przygotowany, że jeżeli nie uda mi się sprawy załatwić z pogotowiem, będziesz miał wiele przykrości dodatkowych. Ale takie są przepisy prawa.

W tej chwili rozległ się sygnał karetki pogotowia zatrzymującej się przed willą profesora. Za minutę do pokoju wszedł lekarz. Młody człowiek miał płaszcz narzucony na biały kitel. W ręku trzymał walizeczkę.

- Gdzie chory? - zapytał nie tracąc czasu na jakiegokolwiek formalności czy też powitania.

Nie musiał czekać na odpowiedź, bo w tej samej chwili dostrzegł Lechnowicza leżącego na kanapie.

• Panie kolego - doktor Jasińczak skierował się w stronę przybyłego - obawiam się, że pańska interwencja jest spóźniona. Docent Stanisław Lechnowicz zmarł na minutę przed przyjazdem pogotowia.

- Pan... - młody lekarz spojrzał ze zdziwieniem na mówiącego.

• Przepraszam. Jestem Witold Jasińczak - doktor wyciągnął rękę do młodszego kolegi.

• Żałuję, że w tak smutnych okolicznościach przyszło mi poznać pana doktora - młodemu lekarzowi nazwisko Jasińczaka, bodaj najslawniejszego w Polsce kardiologa, mówiło bardzo wiele. Z całym więc szacunkiem uściśnął podaną mu dłoń, a potem zbliżył się do kanapy. Pochylił się nad leżącym.

• Tak - potwierdził diagnozę Jasińczaka. - Fakt zgonu nie ulega żadnej wątpliwości.

• Klasyczny zawał o gwałtownym przebiegu - wyjaśnił Jasińczak. - Od razu obawiałem się, że wszelka pomoc przyjdzie za późno.

- Niestety - potwierdził lekarz pogotowia.
 - Elżbietko - Jasieńczyk zwrócił się do Wojciechowskiej - gdzie moglibyśmy spokojnie porozmawiać?
 - Przejdźcie do pokoju Zygmunta. Znasz przecież drogę.
- Obaj lekarze skierowali się na pierwsze piętro.

Rozdział II

Nietaktowny młody lekarz

Pokój profesora umeblowany był nad wyraz skromnie. Pod ścianą stał tapczan nakryty wzorzystą materią. Tutaj także jedną ścianę zajmowały półki z książkami. Poza nimi w pokoju znajdowało się wielkie biurko, całe zavalone papierami, oraz wygodny fotel obrotowy i przed biurkiem dwa foteliki z małym stolikiem. Tutaj właśnie zaprosił doktor Jasieńczyk młodszego kolegę, jednocześnie wyciągając w jego kierunku paczkę amerykańskich papierosów.

- Dziękuję, nie palę - odmówił lekarz.
- Ja nie mogę tego powiedzieć o sobie. Wiem, jak mi szkodzą papierosy, a jednak nie mogę się powstrzymać. Parę razy próbowałem rzucić palenie. Nic z tego nie wyszło. Ale naturalnie nie po to zaprosiłem pana kolegę, aby rozmawiać o szkodliwości tytoniu, kiedy trup znajduje się w pokoju pod nami.
- Przykra sprawa - zauważył młody człowiek.
- Bardzo przykra. Przyjęcie, dom pełen gości. Gra w karty. Mała sprzeczka przy brydżu, jak to zwykle bywa, i nagle człowiek łapie się za serce. Ledwie go ułożyliśmy na kanapie, już zakończył życie.
- Na to nie ma rady. Przypuszczam, że gdybyśmy nawet byli na miejscu w momencie zawału, także nie zdołalibyśmy mu pomóc.
- To na pewno. Ale co teraz robić? - martwił się doktor Jasieńczyk.
- Nic tu po mnie. Zawiadomię milicję i wracam na Hożą.
- Właśnie o tym chciałem z panem kolegą porozmawiać.
- O czym? - młody człowiek wyraźnie zeszywniał.
- Sam pan rozumie. Taki skandal dla profesora Wojciechowskiego.
- To ten sławny chemik? - zainteresował się lekarz pogotowia.
- Właśnie on. Ten szpakowaty wysoki pan, który otworzył wam drzwi.

- No tak - zgodził się młody człowiek. - Dla właściciela mieszkania nie jest to rzeczywiście przyjemne. Dom pełny milicji, przesłuchania i tak dalej... Ale nic na to nie mogę poradzić.

- Chciałbym tego wszystkiego oszczędzić profesorowi Wojciechowskiemu. Rozgłos tej sprawy mógłby mu zaszkodzić. Pan zapewne słyszał, że kandydaturę profesora wysuwa się do Nagrody Nobla?

- Aż tak? - zdziwił się lekarz. - Nie słyszałem, chociaż wiem, że profesor Wojciechowski jest uczonym o światowej sławie. Jednym z największych specjalistów od tworzyw sztucznych.

- Dlatego też uważam, że powinniśmy temu człowiekowi oszczędzić niepotrzebnych, nie zawinionych przez niego przykrości. Bo czy to jego wina, że gość zaproszony na brydża umiera podczas rozgrywania szlema w piki?

- Na pewno nie wina Wojciechowskiego - zgodził się lekarz pogotowia - ale sam pan doktor wie, jakie są przepisy.

- Doskonale je znam - roześmiał się Jasieńczak. - Przecież także, jak każdy młody lekarz, dorabiałem w swoim czasie dyżurami w pogotowiu. Razem z doktorem Chrabąszczem, dzisiejszym dyrektorem tej instytucji. Byłem także kilka lat lekarzem milicyjnym.

- Więc pan doktor rozumie...

- Rozumieć rozumiem. Znam przepisy prawa. Ale prawo jest prawem, a życie życiem. Trzeba te sprawy umieć wyważać. Primum non nocere, przede wszystkim nie szkodzić, to naczelna zasada zawodu lekarskiego.

- Nieboszczykowi już w niczym nie zaszkodzimy ani nie pomożemy.

- Ale pozostałym należy pomóc.

- W jaki sposób?

- To proste. Gdybyście przyjechali choć pięć minut wcześniej, docent Lechnowicz umarłby nie na kanapie w pokoju profesora Wojciechowskiego, a w karetce pogotowia. Nie byłoby żadnego problemu. W akcie zgonu zaznaczono by śmierć na zawał w czasie ratowania chorego w pogotowiu. Jako miejsce śmierci podano by wasz szpital na Hożej.

- Pan mi proponuje?...

- Chyba pan nie wątpi, panie kolego - głos doktora Jasieńczaka zabrzmiał dość ostro - że się nie pomyliłem informując pana, że Lechnowicz zmarł na zawał

serca. Bądź co bądź mam te kilkanaście lat praktyki i trochę orientuję się w dziedzinie kardiologii.

Młody człowiek miał niewyraźną minę.

- Ależ tak, panie doktorze - potwierdził - nawet studenci pierwszego roku medycyny wiedzą, jakim wybitnym fachowcem jest doktor Jasińczak. Ekspert krajowy w sprawach kardiologii. Jeden z najsławniejszych lekarzy w Europie.

- No, może trochę kolega przesadził - łaskawie zgodził się Jasińczak, który jak każdy zresztą człowiek lubił słuchać pochwał.

Zapadło krótkie milczenie.

- Zatem sprawa załatwiona - zdecydował kardiolog - zabiera pan truposza do karetki i odjeżdżacie. A przy okazji porozmawiam o tym wypadku z moim przyjacielem, doktorem Chrabąszczem.

Młody człowiek spuścił głowę:

- Pan wybaczy, doktorze, ale nie mogę.

- Jak to pan nie może? Jeżeli ja panu mówię, że to zawał!

- Naprawdę nie mogę. Przecież to wbrew przepisom. Mnie nie wolno ich łamać.

- Niech się pan niczego nie obawia. Noszowy i kierowca nawet się nie zorientują. Będą myśleli, że chory jest nieprzytomny. Żeby ich do reszty wprowadzić w błąd, zrobię przy nich zastrzyk Lechnowiczowi. Jemu to nie zaszkodzi, a ich przekona, że docent żyje, lecz znajduje się w stanie głębokiej zapaści. Sam pan dobrze wie, kim jest profesor Wojciechowski.

- Nie o to chodzi.

- A o co?

- Ja nie mogę. Naprawdę nie mogę.

- Jeżeli pan się tak boi, pojedę razem z wami karetką i sam podpiszę akt zgonu. Nie wiedziałem, że dzisiaj młodzi lekarze są tacy bojaźliwi. Czyżby o posadę w pogotowiu było tak trudno?

- Nie o to chodzi - młody lekarz po raz pierwszy podniósł głos. Mówił zdecydowanym tonem: - Poszedłem na medycynę i skończyłem ją, żeby cierpiącym nieść ulgę, a nie żeby brać udział w jakichś machlojkach. Nawet jeśli te machlojki miałyby się przydać komuś do otrzymania Nagrody Nobla.

- Nie żadne machlojki, a koleżeńska przysługa jednego lekarza drugiemu.

- Nie widzę tu żadnej koleżeńskiej przysługi. W ogóle dziwię się, że pan, lekarz o światowej sławie i o nieskazitelnej opinii zawodowej, wystąpił z taką propozycją. Kategorycznie ją odrzucam. Jako lekarz pogotowia stwierdziłem wypadek nagłego zgonu. Przyczyny tego zgonu nie można ustalić pobieżnym zbadaniem zmarłego. Przepisy prawa są tutaj bardzo wyraźne i rygorystyczne. Potrzebne jest dochodzenie i sekcja zwłok przez organy do tego powołane. A więc milicji i lekarza milicyjnego. Moim pierwszym obowiązkiem jest zawiadomić te władze o wypadku.

- A oni natychmiast aresztują wszystkich zebranych pod zarzutem morderstwa - ironizował doktor Jasińczak.

- Co zrobią władze, ich sprawa. Ja muszę spełnić swój obowiązek.

- Tak pan uważa?

- Nic innego nie mogę zrobić.

- To pańskie ostatnie słowo?

- Ogromnie mi przykro - młody lekarz podniósł się z fotela dając tym do zrozumienia, że dalszą rozmowę uważa za zbyteczną.

Doktor także wstał.

- Trudno - powiedział. - Zapamiętam to sobie. Witold Jasińczak nie umiał przegrywać. Ani w brydżu, ani w życiu.

Obaj mężczyźni w milczeniu zeszli ze schodów na dole. Goście zebrali się w bibliotece. Przy zmarłym siedziała tylko Mariola Boweri, ale już nie płakała. Elżbieta Wojciechowska przyniosła jej filiżankę mocnej herbaty. Wszyscy pytająco spojrzeli na dwóch lekarzy.

- Kolega z pogotowia - wyjaśnił Jasińczak - uznał, że o wypadku należy zawiadomić milicję.

- Jest mi bardzo przykro, ale to mój obowiązek - tłumaczył się młody lekarz. - Przepisy prawa są w tym wypadku jednoznaczne.

- Rozumiem - zgodził się profesor Wojciechowski. Pan będzie łaskaw, doktorze - profesor wskazał stojący na biurku aparat telefoniczny.

- Chwileczkę - zaproponował mecenas Poturycki. Młody lekarz, który już sięgał po słuchawkę, cofnął rękę,

- Jestem adwokat Leonard Poturycki - wyjaśniał mecenas. - Znam doskonale wymogi prawa i rozumiem, że milicja musi być natychmiast zawiadomiona, chociaż

powody śmierci naszego przyjaciela są dla nas najzupełniej jasne i oczywiste. Dura lex, sed lex. Pozwoli więc pan, że ja za niego spełnię ten obowiązek?

Lekarz pogotowia uśmiechnął się. Młody człowiek obawiał się, że znowu będą go namawiali, aby postąpił wbrew obowiązkowi, a tymczasem znalazł w osobie sympatycznego mecenasa człowieka, który go nie tylko rozumiał, ale jeszcze ofiarował się wyręczyć w tej przykrej czynności. Dzięki temu nawet konflikt ze znanym kardiologiem został załagodzony.

- Proszę bardzo - powiedział młody człowiek i szybko, jak gdyby obawiał się, że adwokat się rozmyśli, podał mu słuchawkę. - Mnie jest wszystko jedno, kto zawiadomi milicję, byleby tej zasadzie stało się zadość.

Poturycki z pamięci nakręcił numer.

- Mógłbym mówić z pułkownikiem Adamem Niemirochem? - zapytał.
- O przepraszam, nie poznałem pani pułkownikowej. Mówi Leonard. Czy zastałem męża? Dziękuję.

- Adasiu, musisz mnie poratować. Znaleźliśmy się w nieprzyjemnej sytuacji. Dzwonię z mieszkania profesora Wojciechowskiego. Tak, tego sławnego chemika. To mój stary przyjaciel. Wyobraź sobie, jakie nieszczęście. Graliśmy w brydża i nagle jeden z partnerów dostał zawału serca i zmarł. Docent Stanisław Lechnowicz... Jakbyś zgadł. Właśnie przy licytacji wielkiego szlema. Tak się tym widać, biedak, przejął, że serce nie wytrzymało... Ratunek był na miejscu, bo grał z nami doktor Jasińczak, ten kardiolog. Pogotowie spisało się na medal, bo natychmiast zareagowało na wezwanie. Nie zmienia to faktu, że docent zmarł... Rozumiesz chyba, jakie to straszne przeżycie dla państwa domu, profesorostwa Wojciechowskich... Wiem, że pewnych formalności nie da się uniknąć, ale chciałem cię prosić, aby to załatwić bez rozgłosu i jak najbardziej taktownie... Właśnie o to chciałem cię prosić... Tak, już oddaję mu słuchawkę.

Adwokat przerwał rozmowę telefoniczną i zwrócił się do Jasińczaka:

- Pułkownik Niemiroch chce z doktorem rozmawiać.
- Witold Jasińczak... Cieszę się, że pan pułkownik jeszcze mnie pamięta. Dawnego lekarza milicyjnego... Przesada, przesada, panie pułkowniku. To pan jest sławnym pogromcą przestępców, naczelnikiem Wydziału Zabójstw Komendy Stołecznej MO. Najważniejszą osobą w tej komendzie. A ja pozostałem nadal skromnym lekarzem, któremu czasami coś się udaje... A co do tego wypadku, to nie ulega najmniejszej wątpliwości, że mamy do czynienia z zawałem, który nastąpił

wskutek wielkiego napięcia nerwowego... Tak czasem bywa z namiętymi brydżystami... Jest tu kolega z pogotowia, on także może poświadczyć, że to zawał...

Lekarz pogotowia w tym momencie miał niepewną minę, ale na szczęście oficer milicji nie chciał z nim rozmawiać i zadowolił się zapewnieniami słynnego kardiologa, bo doktor Jasińczak podał słuchawkę Poturyckiemu, informując:

- Pułkownik chce jeszcze mówić z mecenasem.
- Tak, tu jeszcze ja... No to bardzo ci dziękuję, stary... naturalnie będziemy

czekać na przybycie milicji... Nie, niczego nie ruszaliśmy. Tylko chorego, kiedy nastąpił atak, przenieśliśmy na kanapę stojącą w tym samym pokoju... Właśnie tam umarł... Jeszcze raz dziękuję.

Adwokat odłożył słuchawkę na widelki i zwrócił się do zebranych:

- Jak państwo słyszeli, załatwiłem sprawę bezpośrednio z pułkownikiem Niemirochem, moim starym przyjacielem, obecnie naczelnikiem Wydziału Zabójstw Komendy Stołecznej MO. Pułkownik obiecał mi, że wkrótce przyjedzie tutaj ekipa milicyjna, która możliwie szybko i bez większych komplikacji postara się załatwić formalności. Pułkownik prosił, aby aż do przybycia milicji niczego nie ruszać i pozostać na swoich miejscach. Czy pan zadowolony, doktorze? - te ostatnie słowa Poturycki skierował do lekarza pogotowia.

- Bardzo dziękuję, panie mecenasie. A państwa bardzo przepraszam, ale doprawdy musiałem tak postąpić. Trzeba było zawiadomić milicję.

- Ależ panie doktorze - odpowiedział profesor Wojciechowski - doskonale to rozumiemy. Żałujemy, niestety, że przyjazd pogotowia nic już nie mógł naszemu biednemu przyjacielowi pomóc.

Profesor odprowadził lekarza do wyjścia i serdecznie się z nim pożegnał. A następnie powrócił na swoje miejsce w bibliotece. Zgromadzeni tu goście w milczeniu oczekiwali dalszego rozwoju wypadków.

Rozdział III

Bardzo taktowny młody porucznik MO

Tym razem samochody podjechały nie na sygnale. Fiat nie miał żadnego napisu, który wskazywałby na wóz milicyjny. Karetka miała tylko znak czerwonego krzyża. Z fiata wysiadło czterech mężczyzn w cywilnych ubraniach. Z karetki lekarz naturalnie w białym kitlu. Szybko weszli do willi profesora Wojciechowskiego.

- Jestem porucznik Roman Mierzejewski - przedstawił się jeden z młodych ludzi. - Z Komendy Stołecznej MO.

- Zygmunt Wojciechowski, właściciel mieszkania - profesor przywitał się z oficerem milicji. - Czekaliśmy właśnie na pana przyjazd.

- Pan pułkownik Niemiroch zawiadomił mnie o wypadku i poinformował, że wśród państwa obecny jest mecenas Poturycki. Który to z panów?

- To ja - adwokat również przywitał się z porucznikiem.

- Pułkownik zapewnił mnie, że mecenas będzie mi mógł udzielić wyjaśnień i pomocy na miejscu. Co tu się stało?

Poturycki wskazał na sąsiedni pokój. Tam na widocznej z tego miejsca kanapie leżał nieżywy człowiek.

- Jak pan widzi, poruczniku, graliśmy w karty. Ściśle mówiąc w brydża.

Docent Stanisław Lechnowicz nagle dostał zawału serca i zmarł, pomimo że mamy w swoim gronie lekarza i pomoc była na miejscu.

- A wzywano pogotowie? - zapytał lekarz milicyjny.

- Tak - wyjaśniał Wojciechowski. - Wezwaliśmy pogotowie, które szybko przyjechało. Zresztą pierwszej pomocy usiłował od razu udzielić choremu pan doktor Witold Jasińczak, który tu stoi obok.

- Przepraszam, doktorze, że nie zauważyłem pana, ale nie przyglądałem się żywym - tłumaczył się lekarz poznając słynnego kardiologa. - Można obejrzyć ciało?

- Proszę bardzo...

- Chwileczkę - przerwał porucznik. - Czy docent dostał ataku tam, na kanapie?

- Nie - wyjaśniał adwokat. - Nagle stracił przytomność. Złapał się za serce i przewrócił na dywan. Przenieśliśmy chorego na kanapę, próbując go ratować.

- Nie żyje? - dla pewności zapytał Mierzejewski.

- To nie ulega wątpliwości.

- W takim razie i lekarz milicyjny nic mu nie pomoże. Najpierw więc dokonamy zdjęć.

Porucznik dał sygnał swoim ludziom. Fotograf milicyjny w ciągu kilku minut obfotografował cały pokój.

- Badań daktyloskopijnych nie będziemy przeprowadzać - zdecydował porucznik. - A teraz pan doktor zajmie się swoim klientem.

Lekarz pochylił się nad leżącym. Badał krótko, potem wyprostował się.

- Mogę tylko stwierdzić, że zgon nastąpił przed jakąś godziną. Najwcześniej

przed dwoma. Na ciele nie znać żadnych obrażeń świadczących o gwałtownej śmierci. Naturalnie nie kwestionuję zdania mojego sławnego kolegi, doktora Jasieńczaka, że powodem zgonu jest zawał serca, ale będę to mógł ściśle stwierdzić dopiero po przeprowadzeniu sekcji zwłok. Na razie nie widzę żadnych przeszkód, aby zabrać ciało do prosektorium.

- Zgoda - przytaknął Mierzejewski. - Niech go doktor zabiera. Wy także - zwrócił się do członków swojej ekipy - już nie macie tu nic do roboty. Ja jeszcze zostanę, żeby porozmawiać z państwem.

Przywołani przez lekarza ludzie przynieśli nosze, ułożyli zmarłego, przykryli kocem i w milczeniu wyszli z mieszkania. Razem z nimi opuścili willę milicjanci z ekipy dochodzeniowej. Porucznik wyjął notes:

- Chciałbym - tłumaczył się - jak najszybciej załatwić przykre formalności. Sprawa jest jasna, ale przepisom musi się stać zadość. Proszę mi opowiedzieć, jak to się stało? Może pan, mecenasie?

Poturycki dokładnie opisał, kto grał przy jakim stoliku, i wspomniał, że podczas licytowania szlema w piki, a właściwie nieco później, bo przy rozpoczęciu rozgrywki tegoż szlema powstał spór pomiędzy graczami a, ich zdaniem, zbyt natrętnym kibicem, którym był właśnie docent Lechnowicz. Adwokat nie ukrywał, że w tym sporze brał niepośredni udział i że omal nie doszło do rękoczynów pomiędzy nim a docentem.

- Ale nikt nikogo nie uderzył? - zainteresował się porucznik.

Skądże! - zaprzeczył mecenas. - Do tego na pewno by nie doszło, ale na wszelki wypadek pani domu interweniowała i załagodziła całą sprawę. Zajęliśmy swoje miejsca, łyknęli trochę koniaku i właśnie mieliśmy kontynuować przerwana rozgrywkę, kiedy nagle Lechnowicz zachorował. Stał w tym miejscu, w takiej pozycji - Poturycki zademonstrował, gdzie wtedy znajdował się docent - i nagle widzimy, że otwiera usta, usiłuje jak ryba wyciągnięta z wody złapać powietrze, łapie się za serce i wali na dywan. Pan sobie wyobraża, poruczniku, jakie to na nas wywarło wrażenie?

- Przykry wypadek.

- Natychmiast rzuciłem się na ratunek - włączył się Jasieńczak. - Położyliśmy chorego na kanapie. Rozpiąłem mu koszulę, słucham: arytmia serca, uderzenia ledwie wyczuwalne. Chory kona. Nie miałem przy sobie żadnych leków. Zatelefonowałem więc natychmiast do pogotowia, aby przysłali karetkę reanimacyjną. Przyjechała

bardzo szybko. Niestety, dla chorego za późno.

- Czy ktoś z państwa mógłby jeszcze coś dodać do tych - słów? - zapytał oficer.

- Chyba nic - za wszystkich odpowiedział profesor. Wojciechowski.

- Mógłbym dodać - zabrał głos pan Lepato - że kiedy przenosiliśmy docenta na kanapę, odruchowo spojrziałem na zegarek na ręku. Była równo dziesiąta i siedemnaście minut. Tę godzinę można przyjąć za czas zgonu.

- Tak - zgodził się Jasińczak. - Lechnowicz zmarł najwyżej w minutę później.

Porucznik zapisywał w notesie uwagi mówiących.

- Czy zmarły miał jakąś rodzinę? Kogoś, kogo należy zawiadomić o wypadku?

- O ile wiem - wyjaśnił profesor Wojciechowski - nikogo poza obecną tutaj jego narzeczoną, panią Mariolą Boweri.,

- Mieliśmy się pobrać w początku przyszłego miesiąca - piękna pani znowu musiała ocierać oczy.

- Pani lub ktoś, kto się będzie chciał zająć pogrzebem - wyjaśnił porucznik - musi uzyskać pozwolenie prokuratora. Jest to tylko formalność, ale z obowiązku przypominam państwu o tym.

- Ja się tym zajmę - zadeklarował profesor Wojciechowski. - Zmarły był moim uczniem i przyjacielem. Najzdolniejszym ze wszystkich, jakich kiedykolwiek miałem. Sądziłem, że to on mnie pochowa i przejmie moją pracę. Niestety, przeznaczenie zrządziło inaczej.

- Chciałbym jak najszybciej uwolnić państwa od swojej obecności - powiedział porucznik Mierzejewski. - Rozumiem doskonale, że wizyty składane w takich okolicznościach nie mogą budzić entuzjazmu. Niemniej poproszę państwa o podanie swoich personaliów.

- Pan nas będzie przesłuchiwał? - zapytał mecenas.

- Tego nie uda się uniknąć.

- To trochę śmieszne. Piętnaście lat jestem adwokatem i nigdy nie byłem przesłuchiwany. Ani w charakterze świadka, ani jako podejrzany. Tym razem jednak widzę, że nie wymigam się z tego.

- Chyba nie, mecenasie - potaknął porucznik - ale teraz państwo są zbyt

przejęci wypadkiem i zbyt zdenerwowani, żeby dopełnić tej niezbyt przyjemnej formalności. Sądzę, że najlepiej będzie, jeżeli dzisiaj wynotuję nazwiska i adresy tu obecnych i następnie z każdym umówię się na jutro w Pałacu Mostowskich. Od dziewiątej rano do drugiej po południu będę w Komendzie Stołecznej MO. Najchętniej zrezygnowałbym z tych przesłuchań, ale przesyłając sprawę do prokuratora, a tylko on ją może umorzyć, musimy mieć podkładki. To naprawdę zajmie każdemu z państwa nie więcej niż piętnaście minut.

- Zawsze jesteśmy do pańskiej dyspozycji, poruczniku - zapewnił Wojciechowski. - Jeśli pan pozwoli, zjawię się w Pałacu Mostowskich o dziewiątej rano.

- Czy mogę przyjechać razem z mężem? - zapytała pani Elżbieta.

- Oczywiście.

- Ja mam jutro w sądzie dwa terminy. Jeden o dziewiątej, drugi o jedenastej.

Nie będę mógł przyjechać do porucznika wcześniej niż dopiero przed samą drugą - wyjaśnił Poturycki. - A jeśli sprawa się przeciągnie, to co robić?

- To proszę przyjechać do Komendy pojutrze albo jutro bez względu na godzinę zgłosić się do oficera dyżurnego. Uprzedzę go, o co chodzi, i on sporządzi krótki protokół przesłuchania świadka, ponieważ będziecie państwo przesłuchiwać w charakterze świadków.

W swoim notesie Mierzejewski zanotował nazwiska i adresy domowe uczestników brydża oraz ustalił, kiedy kto zgłosi się na przesłuchanie. Zamknął notes, schował go do kieszeni i kłaniając się pani Wojciechowskiej powiedział:

- Przede wszystkim współczuję pani profesorowej, gospodyni domu, w którym się zdarzył tak tragiczny wypadek, a także pani Boweri jako narzeczonej zmarłego. Przepraszam też, że zmuszony byłem do przybycia tutaj, ale to mój obowiązek. Bardzo mi przykro.

Odprowadzony przez gospodarza oficer milicji opuścił willę.

- Jaki to sympatyczny młody człowiek - zauważyła Janina Poturycka po wyjściu milicjanta. - A jaki taktowny.

- Z zalem przyznaję, że młodzi oficerowie milicji na głowę biją dobrym wychowaniem i taktem młodych lekarzy. Zwłaszcza tych z pogotowia ratunkowego - doktor Jasińczak nie mógł najwidoczniej darować młodszemu koledze z pogotowia jego nieustępliwości.

- Sądzę, że trochę dobrej mocnej kawy dobrze nam zrobi - powiedziała Wojciechowska. - A może po tych wszystkich strasznych przeżyciach jesteście głodni? Mam doskonały bigos, zaraz go odgrzeję.
- Dziękuję ci, Elzuniu, ale taka jestem zdenerwowana, że nie potrafiłabym niczego przelknąć - zaprotestowała Kryisia Jasińczakowa.
- Chyba pójdziemy już.
- Tak, Elu - panią Krystynę poparła Janina Poturycka. - Im prędzej się rozejdziemy, tym lepiej. Przecież widzę, że ledwie się na nogach trzymasz. Profesor także przybladł.
- Po takich przeżyciach - dorzucił Andrzej Badowicz. - Ja także uważam, że nam wszystkim należy się wypoczynek. Jutro znowu musimy wrócić do tych ciężkich zdarzeń dzisiejszego wieczoru.

Gospodarze nie zatrzymywali gości. Tylko pani Marioli Boweri zaproponowali u siebie nocleg. Artystka filmowa jednak odmówiła, zaś przybysz z Anglii ofiarował się odwiedzić ją do domu.

Żegnano się w milczeniu. Każdy ciągle jeszcze przeżywał tragedię, która się wydarzyła zaledwie przed trzema godzinami. Tylko doktor Jasińczak, już w palcie stojąc w przedpokoju, zauważył z wisielczym humorem:

- Psiakrew! Raz w życiu zacytowałem wielkiego szlema i to nie mogłem go rozegrać.

Rozdział IV

Wszyscy kłamią

W dwa dni później w gabinecie pułkownika Niemirocha, w Komendzie Stołecznej MO, rozległ się sygnał telefonu. Pułkownik wysłuchał krótkiego raportu i polecił:

- Przyślijcie mi to na piśmie, jak tylko będziecie mieli gotowe. Bezpośrednio na moje nazwisko.

Niemiroch odłożył słuchawkę i wezwał sekretarkę, pannę Krysię.

- Niech tu zaraz przyjdzie porucznik Mierzejewski z aktami sprawy Lechnowicza.

Nie upłynęło i pięć minut, kiedy porucznik meldował się w gabinecie zwierzchnika z szarą teczką w ręku.

- Jak tam sprawa, poruczniku?
- Mam wszystko gotowe - pochwalił się Mierzejewski. - Zdjęcia, oględziny

miejsca wypadku, protokoły przesłuchania świadków. Czekam na wyniki sekcji zwłok, aby przekazać akta prokuratorowi z wnioskiem o umorzenie śledztwa.

- Pokażcie te akta. Chodzi mi głównie o zeznania świadków.

Porucznik położył teczkę na biurku, otworzył ją i podsunął pułkownikowi plik kartek. Każda z nich wypełniona była maszynowym pismem, a w jej nagłówku figurowały słowa „Protokół przesłuchania świadka”.

Niemiroch czytał te protokoły w kolejności ich ułożenia. Na samym wierzchu znajdowały się zeznania profesora Wojciechowskiego.

„... Docenta habilitowanego, Stanisława Lechnowicza, znałem od 1961 roku, to jest od pierwszego roku jego studiów. Już wtedy zwróciłem uwagę na nieprzeciętne zdolności młodego studenta. Później Lechnowicz był moim asystentem. U mnie także robił pracę magisterską, a następnie doktorat”.

Niemiroch nadal przeglądał zeznania profesora.

„... Lechnowicz habilitował się w Instytucie Chemii Organicznej w Polskiej Akademii Nauk, gdyż w tym czasie zainteresowały go problemy wodorowania węgla. Na skutek tego straciłem z nim bezpośredni kontakt naukowy, chociaż nadal utrzymywałem z nim przyjacielskie stosunki i traktowaliśmy go oboje z żoną jak członka rodziny. Z reguły bywał u nas na każdym przyjęciu czy tradycyjnie urządzanych w naszym domu brydżach.

... samego zajścia, jeśli w ogóle można mówić o zajściu, nie śledziłem. Grałem w brydża w sąsiednim pokoju. Wprawdzie słyszałem, że doktor Jasieńczak zalicytował szlema w piki i zaraz potem nastąpiły jakieś starcia słowne pomiędzy nim, mecenasem Poturyckim i Lechnowiczem, ale co było powodem tej sprzeczki i jakich słów używano, nie słyszałem, względnie nie pamiętam. W pewnym momencie jednak przeszedłem do drugiego pokoju, aby interweniować, bo starcie stawało się zbyt ostre. Ale burzę szybko zażegnano. W brydżu podobne sprzeczki są na porządku dziennym. Wszystkich siedzących przy stoliku poczęstowałem koniakiem. Każdemu podawałem jego kieliszek, tak jak stały na kolorowych serwetkach. Niektóre kieliszki były pełne, puste uzupełniłem koniakiem. O ile sobie przypominam, nalewałem «Martella».

... widząc, że gra wróciła do normy, skierowałem się do swojego stolika, kiedy usłyszałem odgłos padającego ciała i jednocześnie krzyk przestrawu mojej żony. Gdy

się odwróciłem, Lechnowicz leżał na podłodze z głową opartą na kanapie. Rękę trzymał na sercu i robił wrażenie człowieka, który nie może zaczerpnąć powietrza. Doktor Jasieńczak rzucił się na pomoc leżącemu. Nie zauważyłem, kto jeszcze pomagał w przeniesieniu chorego na kanapę. Doktor, stwierdziwszy ciężki stan chorego, wezwał pogotowie. Lechnowicz zmarł przed przybyciem karetki reanimacyjnej. Docent Lechnowicz ostatnio niejednokrotnie skarżył się na zły stan zdrowia. Nawet wybierał się do lekarza. Jego nagła śmierć to prawdziwy cios dla naszej nauki, gdyż straciła ona znakomicie zapowiadającego się młodego uczonego. Dla mnie to także ciężkie przeżycie, strata przyjaciela i ucznia, z którego byłem tak dumny”.

- Hm - mruknął pułkownik Niemiroch i zaczął czytać następny protokół.

Zeznawała Elżbieta Wojciechowska.

Wśród odpowiedzi wyjaśniających personalia przesłuchiwanej znalazła się także informacja, że kobieta ta jest inżynierem doktorem chemii i pracuje obecnie w Instytucie Chemii na Żoliborzu jako pracownik naukowy. Następnie Wojciechowska wyjaśniała, że Stanisława Lechnowicza zna jeszcze ze studiów na Politechnice Warszawskiej, kiedy ona była na pierwszym roku, przyszedł docent właśnie kończył pracę dyplomową i wkrótce został asystentem. Był bardzo lubiany przez młodszych kolegów, gdyż zawsze otaczał ich opieką. Jako asystent nie ograniczał się tylko do prowadzenia ćwiczeń i zaliczania kolokwium, ale stawiał sobie ambitne zadania, aby wszyscy jego „podopieczni” naprawdę dobrze opanowali prowadzone przez niego przedmioty. Nieraz służył pomocą także z zakresu innych specjalności.

Doktorat Lechnowicza - czytał dalej pułkownik - stał się prawdziwym wydarzeniem na politechnice. Była to i odkrywcza praca, którą następnie opublikowały najbardziej znane pisma fachowe w Stanach Zjednoczonych, Francji i Związku Radzieckim.

W tym mniej więcej czasie Elżbieta została żoną profesora Zygmunta Wojciechowskiego. Znajomość z asystentem przerodziła się teraz w prawdziwą przyjaźń z ukochanym uczniem męża. Ta niczym nie zmałowana przyjaźń całej trójki przetrwała aż do tragicznej śmierci docenta. W sobotnim brydżu miała uczestniczyć początkowo piątka graczy, Poturycki z żoną i Krystyna Jasieńczakowa oraz dwoje gospodarzy. Doktor wybierał się bowiem na jakieś] ważne spotkanie naukowe. Gdy jednak sytuacja wymagała zaproszenia dwóch dalszych partnerów: Anglika i profesora z Gliwic, Wojciechowscy postanowili uzupełnić liczbę gości przynajmniej

do dziesiątki. Wtedy udało się profesorowi namówić Lechnowicza do przyjścia z narzeczoną, chociaż oni planowali spędzić ten wieczór inaczej! Ale uczynny jak zwykle docent i tym razem chętnie przyjął na prośbę przyjaciela. Piękna pani Boweri miała być dodatkową atrakcją wieczoru, zwłaszcza dla Anglika.

Sprzeczką, jaka wybuchła przy kartach, była, zdaniem Elżbiety Wojciechowskiej, czymś normalnym. Mecenasa Poturyckiego znano z tego, że zawsze przy brydżu kłóci się ze swymi partnerami, a najmniejszy gest kibica doprowadza go do białej gorączki. Ale wszyscy partnerzy doskonale się znali i nikt się tym nigdy nie przejmował, gdyż adwokat szybko ochłoniwszy z gniewu stawał się znowu czarującym kompanem. To zajście było podobne do wielu poprzednich.

Elżbieta Wojciechowska wiedziała, że docent Lechnowicz ostatnio dużo pracował i zdrowie mu nie dopisywało. Skarżył się często na jakieś bóle w okolicy serca. Przyjaciele namawiali go na wizytę u lekarza i przeprowadzenie dłuższej kuracji, ale docent bardziej kochał swoją pracę niż samego siebie. Zawsze tę kurację odkładał.

Tylko złym samopoczuciem pani Wojciechowska tłumaczyła fakt, że podczas nieporozumienia przy kartach Lechnowicz okazał się tak zapalczywy i swoimi odezwaniami jakby prowokował Poturyckiego, znanego przecież z tego, że jest wielkim nerwusem. Pani domu musiała w pewnej chwili interweniować i odciągnęła docenta w drugi koniec pokoju. Jej gość po paru chwilach uspokoił się, nawet przeprosił gospodynię i pocałował ją w rękę. Wojciechowska jednak zauważyła, że miał zmienioną twarz. To ona podała docentowi kieliszek koniaku. Kieliszek stał na barku na kółkach, na niebieskiej podstawie. Rozmawiając z Lechnowiczem nagle zauważyła, że ten zamilkł, zakrztusił się, zachwiał i osunął na podłogę tuż koło jej nóg. Nachyliła się, aby go podnieść, ale już na pomoc skoczyli mężczyźni. Przede wszystkim doktor Jasieńczak. Jeszcze tylko przypomina sobie słowa lekarza „on umiera” i potem nie pamięta niczego. Odzyskała świadomość, kiedy ktoś jej podawał lekarstwo z wodą. Jako pani domu Elżbieta Wojciechowska robi sobie wyrzuty, że zaprosili Lechnowicza. Gdyby tego nie uczynili, może docent żyłby dłużej? Niestety, jak pozostali przyjaciele, nie orientowali się, że ze zdrowiem młodego uczonego jest aż tak źle.

Następną kartą w aktach sprawy były zeznania obywatela angielskiego Henryka Lepato. Wyjaśniał on:

„... nazywam się obecnie Henryk Lepato, jednakże urodziłem się w

Warszawie i nazywałem aż do wyjazdu do Anglii «Lepatowicz». Za granicą skróciłem to niewymawialne przez Anglików nazwisko. W czasie okupacji mieszkalem w Warszawie i brałem udział w konspiracji w Szarych Szeregach. W 1943 roku zostałem aresztowany przez gestapo i po pobycie na Pawiaku wywieziony do obozu koncentracyjnego w Mauthausen. Po oswobodzeniu obozu wstąpiłem do angielskich «kompanii wartowniczych» a następnie znalazłem się w Anglii. Tam kończyłem Wydział Fizyczny na uniwersytecie w Edynburgu. Obecnie jestem profesorem fizyki prądów w Cambridge. Poznałem profesora Zygmunta Wojciechowskiego w czasie kontaktów naukowych angielsko-polskich. Profesor wygłasza w Londynie cykl odczytów o osiągnięciach polskiej chemii! Jako Polak z pochodzenia zainteresowałem się tymi odczytami, chociaż chemia nie jest moją specjalnością. Doskonale się orientowałem, że w tej dziedzinie nauki Wojciechowski reprezentuje najwyższe osiągnięcia światowej. Toteż skorzystałem z okazji, aby go poznać osobiście! Kiedy zaproponowano mi dwa odczyty na Politechniki Warszawskiej, zgodziłem się z wielką radością. To mój pierwszy przyjazd do kraju rodzinnego. Wśród witających mnie był profesor Wojciechowski, który bardzo serdecznie się mną zaopiekował w Warszawie. Zaproszenie do jego domu uważałem za prawdziwy zaszczyt.

... w brydża gram raczej słabo, ale jakoś sobie radziłem chyba w ogólnym obrachunku byłem parę punktów wygrany. Utaarczki słowne przy kartach wcale mnie nie dziwiły. Wbrew panującej opinii o zimnych i zawsze opanowanych Anglikach, oni podczas brydża kłócą się dużo goręcej niż to robiło towarzystwo zebrane u profesora. W ostatniej sprzeczce nie brałem udziału, bo szlema zalicytował mój partner i on też miał go rozgrywać. Ja tylko wyłożyłem swoje karty na stół.

... pana docenta Stanisława Lechnowicza nie znałem osobiście. Pierwszy raz zobaczyłem go w domu przy ulicy Prezydenckiej. Jednakże w angielskich publikacjach naukowych spotykałem to nazwisko i wiedziałem, że jest to wschodząca gwiazda polskiej chemii. Uczony zrobił na mnie pozytywne wrażenie. Siedzieliśmy obok siebie podczas kolacji i prowadziliśmy interesującą rozmowę o najnowszych osiągnięciach i perspektywach nauki. Byłem nawet zaskoczony, że ten chemik tak doskonale orientuje się w mojej dziedzinie fizyki wielkich prądów.

... to ostatnie nieporozumienie było większe niż poprzednie karciane utarczki. Wywołał je pan Lechnowicz swoimi pouczeniami, w jaki sposób doktor Jasińczak ma rozgrywać szlema w piki. Uwagi były merytorycznie słuszne, ale musiały

zdeenerwować kontrpartnerów lekarza, bo odbierały im szanse wygrania. Nie były także miłe panu Jasieńczakowi, gdyż uważał się on za doskonałego gracza, który sam potrafi rozwiązać ten zresztą niezbyt skomplikowany problem. Przysłuchiwałem się temu starciu nie interweniując. Przecież byłem tu człowiekiem obcym. Za to interweniował pan domu i pani Elżbieta. Ona odciągnęła od stolika pana Lechnowicza. O czymś rozmawiali i chyba docent przeprosił panią domu, bo całował ją w rękę. Lechnowicz już wtedy musiał się źle czuć. Widziałem, że kiedy podnosił do ust pełny kieliszek, który mu podawała pani Wojciechowska, to tak mu ręka drżała, że aż parę kropel płynu spadło na dywan. Tego nie można wytłumaczyć jedynie zdenerwowaniem sprzeczką karcianą. Koniak wypił jednym haustem, jak gdyby to była woda czy wódka, a nie szlachetny płyn rodem z Francji. A przecież taki człowiek, jak Lechnowicz, musiał wiedzieć, jak się pije koniak.

... tak, to ja przenosiłem chorego na kanapę. Lechnowicz był nieprzytomny i chyba już nie oddychał. Nie wiem, czy wtedy jeszcze żył, bo nie jestem lekarzem. Proponowałem, że zrobię choremu sztuczne oddychanie, ale pan Jasieńczak wyjaśnił, że to niepotrzebne, bo umarłemu nic pomóc nie może.

... wszyscy byliśmy niesłuchanie przybici tym tragicznym wypadkiem. Pani domu prawie dostała ataku nerwowego, również inne kobiety, a przede wszystkim narzeczona docenta, pani Boweri, wymagały pomocy lekarskiej. Na szczęście doktor Jasieńczak znalazł w domowej apteczce jakieś środki uspokajające.

... pamiętam, że po przyjeździe do Warszawy wyraziłem profesorowi Wojciechowskiemu życzenie, aby mi umożliwił poznanie docenta Lechnowicza. Zapewne też moja prośba była powodem zorganizowania tego brydża w domu profesora. Jest mi ogromnie przykro, że w tak pośredni sposób przyczyniłem się do tragicznych wydarzeń tamtego wieczoru”.

- Hmra - chrząknął znowu pułkownik Niemiroch i wziął się za studiowanie zeznań pięknej aktorki filmowej.

„... Stanisława Lechnowicza poznałam przed pięcioma miesiącami. To była obustronna miłość od pierwszego wejrzenia. Te pięć miesięcy to najszczęśliwszy okres mojego życia. Śmierć Stacha załamała mnie zupełnie. Nie wiem, czy zdołam się kiedy opamiętać. Ciągle nie mogę się pogodzić z faktem, że go nie ma wśród żywych. Nigdy nie spotkałam bardziej szlachetnego i czynnego człowieka. Nie dbał o siebie, o swoją karierę naukową, a zwłaszcza o swoje zdrowie. A przecież nieraz twarz wykrzywił mu grymas bólu i chwycił się za serce. Błagałam go, żeby poszedł do

lekarza.

... to sobotnie popołudnie mieliśmy spędzić spokojnie, we dwójkę, w mieszkaniu Stacha. Ale kiedy zatelefonował profesor Wojciechowski i zwierzył się Stachowi z kłopotu, jaki ma z nagłymi gośćmi z Anglii i ze Śląska, Lechnowicz bez wahania postanowił przyjść z pomocą swojemu kochanemu mistrzowi. Tak zawsze nazywał profesora Wojciechowskiego. Nie znałam bliżej ani jego, ani pani Elżbiety, przedtem spotkaliśmy się raz w teatrze. Profesor proponował później pójście na kolację, ale Stach odmówił. Już wtedy źle się czuł...

... mężczyźni przy brydżu zawsze się kłócą, jakby od wygranej zależały dalsze losy świata, ale byłam zdziwiona, że tym razem sprzeczka przybrała tak gwałtowny charakter. To najlepiej świadczyło, że Stach bardzo źle się czuł. On zazwyczaj panował nad sobą, a teraz wprost prowokował awanturę. Nawet mu zwróciłam uwagę. Sądziłam, że po interwencji profesora i jego żony wszystko się uspokoiło. Stach odszedł z panią Elżbietą w głąb pokoju. Byłam do nich odwrócona plecami i jedynie usłyszałam krzyk kobiecy i hałas padającego ciała. Kiedy spojrzałam, Stach już leżał na dywanie. Potem długo nie mogłam się uspokoić. Takie straszne przeżycie. Nadal chodzę jak nieprzytomna...”

- No tak - zauważył pułkownik Niemiroch - właśnie takich zeznań spodziewałem się, ale idziemy dalej.

To mówiąc oficer milicji ujął kolejny protokół zeznania adwokata Leonarda Poturyckiego.

„... Stanisław Lechnowicz był moim kolegą szkolnym. Jeszcze sprzed wojny, z gimnazjum im. Mikołaja Reja. Później, w czasie okupacji, razem chodziliśmy na komplety. Maturę zdawaliśmy po wojnie. Chociaż studiowaliśmy na innych uczelniach, ja na prawie, on na politechnice, szkolna przyjaźń nie uległa rozluźnieniu. Zawsze podziwiałem błyskotliwość i głęboką wiedzę przyjaciela. Był urodzonym naukowcem i dlatego wybrał ten rodzaj kariery, chociaż po ukończeniu politechniki miał ciekawe propozycje z przemysłu. Dużo lepiej płatne niż pensja starszego asystenta. Stach jednak bez wahania odrzucił te oferty. Wcale mnie nie dziwiła błyskawiczna prawie kariera naukowa Lechnowicza. Gdyby nie ta bezsensowna i okrutna śmierć, niewątpliwie ten człowiek zostałby luminarzem światowej chemii. Poza tym był to człowiek bardzo uczynny i bardzo skromny. Najlepszym tego dowodem jest jego stosunek do profesora Wojciechowskiego, którego szanował jak ojca i uważał za swojego mistrza, chociaż obecnie osiągnięcia

naukowe Lechnowicza dorównywały dorobkowi Wojciechowskiego.

... lubię grę w brydża i przyznaję, często się przy tej grze niepotrzebnie unoszę. Ale przyjaciele znają moje wady i niewiele sobie z nich zawsze robili. Nieraz pomiędzy mną a Stachem dochodziło do dużo ostrzejszych spięć. W naszych młodzińczych latach czasami jeden drugiemu rozbił nos pięścią, co wcale nie szkodziło naszej przyjaźni.

... przyznaję, że na uwagi Lechnowicza zareagowałem ostro. Kibic przecież nie ma prawa wtrącać się do rozgrywki. Tym bardziej kiedy gra toczy się o wielkiego szlema. Jestem zupełnie przekonany, że doktor Jasieńczak, który jest raczej słabym brydżystą, przegrałby tę grę, gdyby nie pomoc docenta. Doktor niby to się gniewał, ale w gruncie rzeczy był zadowolony, że ktoś lepszy mu pomaga. W takiej sytuacji straciłem panowanie nad sobą i powiedziałem Stachowi parę słów. Nie pamiętam, jakich wtedy użyłem sformułowań. Nie mogły one jednak tak dotknąć Stacha, aby to spowodowało nagły atak serca, chociaż wiedzieliśmy, że ostatnio ze zdrowiem Lechnowicza było nietęgo. Martwiliśmy się tym i namawialiśmy go do poddania się kuracji.

... zajście zostało załagodzone na skutek interwencji profesora Wojciechowskiego, który przemówił nam do rozumu. Usieliśmy z powrotem przy stoliku i rozgrywka miała się zacząć na nowo. Pani Elżbieta odesza razem ze Stachem w głąb pokoju. Profesor podał nam po kieliszku koniaku na uspokojenie nerwów. Doskonale widziałem Wojciechowską ze Stachem. Chyba Stach przeproszał ją za swoje nietaktowne zachowanie, bo pocałował panią Elżbietę w rękę. Ona mu podała kieliszek koniaku. Kryzys nastąpił nagle, jak gdyby piorun w Stacha strzelił. Chwyił się za serce, otworzył usta, chciał widocznie coś powiedzieć i jak podcięte drzewo zwałił się na dywan. Sądzę, że kiedy go kładliśmy na kanapie, już nie żył.

... nie mogę sobie darować, że zareagowałem na uwagi Stacha. Gdybym milczał, może nie doszłoby do kryzysu. To zdenerwowanie mogło być przysłowiową ostatnią kroplą, która przelała czarę”.

- Bardzo ładnie to ujął mecenas Poturycki - pułkownik skomentował zeznania także i swojego przyjaciela - ale ciekawe, co na ten temat ma do powiedzenia Witold Jasieńczak.

„... Stanisława Lechnowicza znam od wielu lat. Nie pamiętam, przy jakiej okazji poznaliśmy się. Najprawdopodobniej było to w domu profesora Wojciechowskiego, który jest moim starszym kolegą szkolnym. Przyznaję, że

Lechnowicza ceniłem jako młodego, wybijającego się ponad przeciętność uczonego. Spotykałem się z nim u Wojciechowskich i w innych zaprzyjaźnionych domach. Często także grywaliśmy w brydża. Jak to bywa przy zielonym stoliku, nieraz dochodziło pomiędzy nami do małych utarczek. Zwłaszcza jeśli któryś z nas spartolił wysoką grę. Lechnowicz był dobrym graczem, ale należał do tego typu brydżystów, którzy partnera uważają za przyrząd do trzymania trzynastu kart, a zawsze sami chcą rozgrywać.

... kilka razy docent skarżył się, że go «serce boli». Prosił nawet o zapisanie mu «jakichś kropelek». Powiedziałem, że chętnie wezmę go do swojej kliniki i tam przeprowadzimy szczegółowe badanie oraz ewentualnie zastosujemy odpowiednią kurację. Lechnowicz w zasadzie z tym się zgadzał, ale stale odwlekał chwilę zjawienia się u mnie. To się ciągnęło przeszło rok. Nie zdawałem sobie sprawy, że stan zdrowia docenta jest aż tak poważny...

...Cały incydent przy brydżu nie miał większego znaczenia. Układ kart był taki, że nawet początkujący gracz dałby sobie z tym radę. Był tylko jeden sposób wygrania] gry. Bez względu na to, co powiedział Lechnowicz, musiałbym tak grać. Poturycki jest znany ze swojego nieopanowania przy kartach, więc wcale się nie dziwiłem, że zaczął się awanturować. Natomiast dziwne dla mnie, jako dla lekarza, było zachowanie Lechnowicza. On umiał nad sobą panować i należał do ludzi dobrze wychowanych. Tym razem docent wykazywał nienaturalne podniecenie. Takie zachowanie się chorego jest często spotykane przy stanie przedzawałowym. Napięcie nerwowe, nadnormalna pobudliwość jeszcze przyspieszają nadejście kryzysu.

...To, że Lechnowicz nigdy przedtem nie miał zawału] o niczym nie świadczy. Nierzadko pierwszy zawał bywa i ostatnim. To tylko legenda rozpowszechniona wśród laików, że trzeci zawał jest najgroźniejszy i kto go przeżył, już mu nic nie grozi. Każdy atak choroby serca należy traktować indywidualnie. Każdy może się skończyć tragicznie. Na to nie ma żadnych reguł.

...nawet gdybym miał wszystkie leki i aparaturę reanimacyjną i gdybym się spodziewał, że Lechnowicz ulegnie atakowi, nie udałoby się chorego uratować. Akcja serca ustała zupełnie i od rozpoczęcia ataku do zgonu na pewno upłynęło najwyżej kilkadziesiąt sekund...

...jestem absolutnie przekonany i jako kardiolog mogę to udowodnić całą moją praktyką lekarską, że w tym stanie zdrowia, w jakim znajdował się Lechnowicz, zawał i tak by nastąpił w najbliższym czasie. Nawet bez żadnej kłótni czy

zdenerwowania docenta. Mogło go to równie dobrze spotkać w mieszkaniu Wojciechowskich czy w parę godzin później na ulicy lub we własnym łóżku...

...czy zawał, gdyby nastąpił w innym czasie i w innym miejscu, byłby także tak gwałtowny i śmiertelny w skutku.

Nie jestem wróżbitą, tylko lekarzem, dlatego na to pytanie nie znajduję ścisłej odpowiedzi.

...po stwierdzeniu zgonu Lechnowicza, było to jeszcze przed przyjazdem pogotowia, zająłem się udzieleniem pomocy paniom obecnym w domu Wojciechowskich. Zwłaszcza pani Boweri, która po nagłej śmierci narzeczonego przeszła poważny kryzys nerwowy, jak też i Elżbiecie Wojciechowskiej ciężko przeżywającej tragiczny zgon jej gościa”.

- No tak - pułkownik odłożył przeczytany protokół - pięknie to pan doktor Jasińczak wytłumaczył. Zwłaszcza uwaga lekarza, że zawał i tak by nastąpił, jest bardzo cenna. Zobaczmy, co mówią pozostali goście profesora.

„...jestem profesorem nadzwyczajnym na Politechnice Śląskiej - zeznawał Andrzej Badowicz po złożeniu swoich personaliów. - Do Warszawy przyjechałem specjalnie na konsultacje z profesorem Wojciechowskim, gdyż opracowuję pewien temat naukowy z dziedziny, w której Wojciechowski jest bodaj największym w Polsce specjalistą. Mój pobyt, obliczony na trzy dni, przeciągnął się i musiałem zostać w stolicy na sobotę i niedzielę. Dlatego też chętnie skorzystałem z zaproszenia na brydża...

...towarzystwa zgromadzonego u Wojciechowskich w ogóle nie znałem, z wyjątkiem docenta Lechnowicza. Z nim kilka razy kontaktowałem się na różnych zjazdach naukowych. Byłem rad ze spotkania z Lechnowiczem i nawet umówiliśmy się na rozmowę w poniedziałek po południu. Spotkanie to, niestety, nie doszło do skutku. Lechnowicz miał duże osiągnięcia w chemii i rokowano mu wielką przyszłość. Ja osobiście najbardziej podziwiałem jego stosunek do profesora Wojciechowskiego i odwrotnie. Profesor traktował go jak ukochanego syna, docent, już samodzielny przecież pracownik naukowy, zatrudniony gdzie indziej niż Wojciechowski, nadal uważał się za ucznia profesora i utrzymywał z nim stałą więź naukową, dzieląc się ze swoim «mistrzem», jak go zawsze nazywał, nie tylko wszelkimi kłopotami, ale także i osiągnięciami. Rzadko się spotyka takie stosunki między profesorami i asystentami, więc tym bardziej budzi to wielki szacunek dla obu uczonych.

...grałem przy innym stoliku i w innej partii, stąd całość sprzeczki uszła mojej uwagi. Naturalnie słyszałem zapowiedź szlema w piki, co było ogólną sensacją, bo nieczęsto zdarza się taka odzywka. Potem właśnie ja rozgrywałem i tylko dobiegały mnie jakieś podniesione głosy z sąsiedniego pomieszczenia. W pewnym momencie profesor Wojciechowski, który grał ze mną i właśnie rozłożył karty na stole, powiedział «muszę rozdzielić tych kogutów», wstał i przeszedł do drugiego stolika. Rzeczywiście tam sprzeczka zaraz ucichła. Właśnie kończyłem rozgrywkę, kiedy usłyszałem krzyk kobiety i zobaczyłem, że wszyscy się zrywają od sąsiedniego stolika. Myśmy też przerwali grę. Kiedy znalazłem się w drugim pokoju, pan doktor Jasieńczak podniósł się znad kanapy, na której leżał docent Lechnowicz, i powiedział «umarł» czy też «on nie żyje». Nie pamiętam, kto zaalarmował pogotowie, bo sam byłem zdenerwowany i przejęty tragiczną śmiercią docenta. Natomiast milicję wezwał mecenas, nazwiska nie pamiętam. Z jego żoną Janiną grałem w jednej partii”.

- No tak - pułkownik Niemirosch uśmiechnął się ironicznie. - Pan profesor z Gliwic także znalazł piękne słowa dla swojego gospodarza i dla zmarłego. A co powiedziały dwie pozostałe panie?

Obie niewiasty zeznawały krótko i prawie identycznie. Obie stwierdziły, że znają Stanisława Lechnowicza od wielu lat. Spotykały się z nim wyłącznie na gruncie towarzyskim. W ich domach docent nie bywał. Po prostu mają bliższych znajomych i przyjaciół. O Lechnowiczu słyszały zawsze wiele dobrego. Zwłaszcza o jego wielkich osiągnięciach naukowych. Wiedziały, że Wojciechowskich łączy z docentem uczucia prawdziwej, głębokiej przyjaźni. Obie panie grały właśnie z sobą przeciwko Wojciechowskiemu i Badowiczowi. Słyszały, że przy sąsiednim stoliku doktor Jasieńczak zaliczył szlema w piki. Słyszały też jakąś sprzeczkę pomiędzy adwokatem, docentem i doktorem, ale zajęte własną rozgrywką nie zwracały szczególnej uwagi na to, co się dzieje w drugim pokoju. Pamiętały, że” profesor, który wtedy był wychodzącym, wstał, aby załagodzić sprzeczkę. Dopiero krzyk pani Elżbiety i odgłos padającego ciała zaalarmował wszystkich obecnych w mieszkaniu profesora. Kiedy weszły do living-roomu, docent Lechnowicz nie żył. Panie zajęły się Mariolą Boweri i Elżbietą Wojciechowską, obydwie uległy szokowi nerwowemu.

- Bardzo piękne - stwierdził pułkownik Niemirosch - te opowiadanka.

Porucznik Mierzejewski był również zadowolony z zeznań przesłuchiowanych brydżystów.

- Tak, jak pan pułkownik zalecił - wyjaśnił - starałem się postępować delikatnie, aby nikogo nie urazić i całą sprawę przeprowadzić bez zbytej sensacji. Udało nam się to w zupełności. W kołach związanych z Politechniką Warszawską śmierć uczonego wywołała pewne wrażenie, ale nikt jej nie wiąże z profesorem Wojciechowskim, a tym bardziej z przebiegiem brydża w willi profesora. Mecenas Poturycki bardzo mi dopomógł w czasie mojej wizyty na Prezydenckiej. Teraz dołączymy do tych akt świadectwo sekcji zwłok i skończymy z tą historią. Bez rozgłosu, szybko i sprawnie.

- Tak - zgodził się Niemiroch. - Wszyscy spisali się na medal. My dwaj jako milicjanci, pozostała dziewiątka jako świadkowie. Jest jednak do naprawienia jeden maleńki błąd. Po prostu drobiazg!

- Jaki?

- Przed chwilą telefonował z prosektorium doktor Maliniak. Powiedział mi krótko, ale dobitnie: „pański chemik jest tak nafaszerowany cyjankiem potasu, że wystarczyłoby go do wytrucia świń we wszystkich pegeerach w całym województwie albo, jeśli pan woli, ta dawka mogłaby uśmiercić z połowę ludności Ochoty. Nie pożałowano jej docentowi”. Oficjalny protokół Maliniak prześle mi jutro z rana.

- Cooo? - porucznikowi zabrakło słów.

- Zgodnie ze wszelkimi prawidłami sztuki Lechnowicz został uśmiercony cyjankiem potasu podanym mu w kieliszku koniaku. Przy tak wielkiej dawce śmierć nastąpiła natychmiast. A co do świadków, wszyscy kłamią. Nie tylko zabójca, ale wszyscy, jak jeden mąż i jak jedna żona.

- Co teraz zrobimy?

- Nawarzyliśmy sobie piwa. A właściwie ja nawarzyłem. Dałem się, stary bałwan, podejść temu krętaczowi Poturyckiemu.

- Nie wiadomo, czy Poturycki jest w to zamieszany. Mógł działać w dobrej wierze.

- Szyję daję - przerwał pułkownik - że każdy z obecnych w willi Wojciechowskiego zdawał sobie sprawę, że z tą śmiercią jest coś nie w porządku. Stąd te tak doskonale wyważone zeznania, pełne wzajemnego obsypywania się komplementami i wychwalające pod niebiosa nieboszczyka, który nie miał nawet najmniejszej wady i był chodzącą cnotą. Aniołem, który zstąpił na ziemię, żeby grać w brydża i pomagać upadłym duszyczkom.

Porucznik wołał zwierzchnikowi nie przerywać.

- Dałem się nabrać, ale tylko do czasu. Z tą chwilą zaczynamy prowadzić normalne dochodzenie o morderstwo. Żadnych względów dla nikogo. Przesępca musi być jak najszybciej wykryty. Jako najbardziej winny zaniedbania służbowego sam obejmę dochodzenie, a wy, poruczniku, będziecie mi pomagać. Jeszcze się to towarzystwo przekona, że Niemirosch nie jest taki naiwny, za jakiego go biorą. Czego się śmiejecie, poruczniku - huknął nagle pułkownik. - Ze mnie czy z siebie?

- Przepraszam, ale po prostu cieszę się, że będę pracował pod bezpośrednim kierunkiem obywatela pułkownika. To się rzadko zdarza młodym oficerom.

- Żebyście tego nie pożałowali.

- Na pewno nie.

- No, dobrze, dobrze - Niemirosch machnął ręką, jakby dawał znać, że uważa incydent za zlikwidowany.

- Co mam teraz robić? - zapytał porucznik.

- Zbierzcie mi to całe towarzystwo wzajemnej adoracji jutro na godzinę dziesiątą. Już ja z nimi porozmawiam. Odechce im się kłamstw. Zobaczycie, że zaczną inaczej śpiewać. Wszyscy mają przyjść. Żadnych wykrętów, że egzaminy, prace naukowe czy terminy w sądzie lub w szpitalu. W razie czego doprowadzić.

- Tak jest, obywatelu pułkownika - porucznik szybko wycofał się z gabinetu zwierzchnika. Obawiał się, że przy takim humorze pułkownika i podwładnemu może się dobrze oberwać.

Rozdział V

Dziewięciu podejrzanych, jeden morderca

Stawili się wszyscy. Nikt nie próbował się wykręcić. Co dziwniejsze, nikt nawet nie zapytał, co znaczy ten nagły alarm zarządzony w dwa dni po pierwszym przesłuchaniu przez milicję. Przyszli punktualnie. Niektórzy na piętnaście minut przed wyznaczonym terminem. Siedzieli w poczekalni milczą. Tylko wymienili między sobą krótkie pozdrowienia. To zebranie niczym nie przypominało wesołego zgromadzenia w sobotnie popołudnie w zacisznej willi profesora Wojciechowskiego; miłego wieczoru tak tragicznie zakończonego.

O godzinie dziesiątej do pokoju wszedł porucznik Roman Mierzejewski.

Dzisiaj był w mundurze. Skłonił się lekko zebrany i oznajmił:

- Pułkownik Adam Niemiroch, Naczelnik Wydziału Zabójstw, oczekuje państwa w swoim gabinecie. Proszę ze mną.

Droga wiodła po schodach na pierwsze piętro. Potem drzwi, małe pokój z biurkiem sekretarki i licznymi telefonami. Drugie drzwi obite dźwiękochłonnym materiałem i następnie obszerny gabinet. W nim za biurkiem mężczyzna w wieku dobiegającym sześćdziesiątki. Szpakowate włosy, pociągła twarz, czoło przecięte jakąś starą blizną, szare, zimne oczy, wąskie, zaciśnięte usta i nieco wystający podbródek. Nos dość duży, lekko zadarty.

Przed biurkiem ustawiono dziewięć krzesel. Dziesiąte stało z boku, pod ścianą.

Na widok wchodzących pułkownik podniósł się zza biurka. Lekkim skinieniem głowy pozdrowił swoich gości i ręką wskazał im miejsca naprzeciwko siebie. Następnie zagaił:

- Uznałem za stosowne zebrać państwa, aby im zakomunikować pewne ważne ustalenia śledztwa. Przede wszystkim najważniejsze: sekcja zwłok stwierdziła, że Stanisław Lechnowicz został otruty cyjankiem potasu podanym mu w alkoholu. Dawka była tak silna, że śmierć nastąpiła natychmiast.

- Niemożliwe! - wykrzyknął mecenas Poturycki.
- Protokół sekcji zwłok podpisany przez lekarza milicyjnego leży na moim biurku. O żadnej omyłce nie może być mowy. Gdyby było inaczej, nie wzywałbym państwa.

Nikt nie zabrał głosu, nikt się nawet nie poruszył, porucznik Roman Mierzejewski, obserwujący obecnych z boku, nie dostrzegł na żadnej twarzy ani wzruszenia, ani większego zdziwienia. Dla oficera milicji pozostały nieprzeniknioną maską. Pułkownik ciągnął dalej:

- Nie muszę wam tłumaczyć, że w całej willi profesora Wojciechowskiego znajdowało się w sobotę razem z panem domu dziesięć osób. Każda i tylko każda z tych dziesięciu osób mogła wsypać truciznę do kieliszka z koniakiem. A ponieważ samobójstwo docenta Lechnowicza możemy raczej wykluczyć, liczba podejrzanych zmniejsza się do dziewięciu. Właśnie państwa. Spośród was jeden jest mordercą. Mówię „jeden”, chociaż nie wykluczam, że to może być także i jedna.

- Ja podałam ten kieliszek koniaku - przerwała Elżbieta Wojciechowska. - Czy pan mnie oskarża o zabójstwo?

- W tej chwili imiennie nie oskarżam. Wprawdzie dochodzenie zrobiło już pewne postępy, ale na wysuwanie konkretnych zarzutów jeszcze nie czas. Natomiast wszyscy jesteście podejrzani. Z tego tytułu wypływają pewne ograniczenia. Nikt z państwa nie może opuścić Warszawy bez zgody milicji. Nie ukrywam, że będziecie nieraz wzywani na przesłuchania.

- Przecież ja jestem z Gliwic, zauważył profesor Badowicz.

- A ja z Cambridge - dodał Henryk Lepato.

- Nic mnie to nie obchodzi - odpowiedział pułkownik. - Wyjedziecie z Warszawy dopiero wtenczas, kiedy to nie będzie kolidowało z dobrem śledztwa.

- A co ustaliło dotychczasowe dochodzenie? - zapytał mecenas Poturycki.

- Przede wszystkim to, że każdy ze składających zeznania nakłamał tyle, ile tylko się zmieści.

- Wypraszam sobie! - zachnął się adwokat.

- Z panem mecenasem porozmawiamy sobie przy okazji - Niemirosch powiedział te słowa takim tonem, że Poturyckiemu aż ciarki przeszły po plecach. - Może trochę niedokładnie się wyraziłem. W tych zeznaniach są i pewne prawdy, zwłaszcza dotyczące faktów, które nie ulegały wątpliwości. Natomiast w każdym z tych zeznań jest bardzo wiele kłamstw albo po prostu przemilczeń. Byliście uprzedzeni o obowiązku mówienia prawdy i że składanie fałszywych zeznań jest karane przez prawo. Mimo to kłamaliście.

Tym razem Poturycki nie zaprotestował.

- Mógłbym - ciągnął dalej Niemirosch - wasze zeznania przekazać prokuratorowi z wnioskiem wszczęcia spraw karnych. Tym razem postanowiłem jednak puścić to w nie pamięć. Oczywiście pod warunkiem, że następne wasze zeznania będą bardziej zbliżone do prawdy obiektywnej. Powiedzmy, będą prawdą subiektywną. Nie spodziewam się, żeby morderca znajdujący się wśród was wyznał mi prawdę, ale osiem prawdziwych zeznań powinno przyczynić się do pełnego wyświecenia sprawy.

Porucznik Mierzejewski z napięciem obserwował twarze ludzi siedzących przed pułkownikiem. Znowu musiał się przyznać do porażki. Z tych twarzy nie mógł nic wyczytać. Były jak kamienne maski.

- Zdaję sobie z tego sprawę, że morderca decydując się na popełnienie zbrodni miał jakieś poważne motywy popychające go do tego kroku. Motywy może znane nie

wyłącznie jemu samemu. Uprzedzam, że kierowanie się litością, poczuciem solidarności czy innymi względami stawia tego kogoś w pozycji współnika przestępcy. Może go zaprowadzić na ławę oskarżenia. Dlatego też wymagam i proszę tych, którzy nie zamordowali Stanisława Lechnowicza, aby działając zresztą w swoim własnym interesie, nie starali się niczego ukrywać. Nawet najdrobniejszy szczegół, pozornie wydający się komuś bez znaczenia, może okazać się ważny dla dochodzenia. Stanowiąc przysłowiową nitkę, która doprowadzi do kłębka. Mam nadzieję, że państwo mnie dobrze zrozumieli?

Nikt nie odpowiedział. Mecenas Poturycki próbował się uśmiechnąć, ale wyszedł mu jakiś grymas. Reszta słuchała oficera milicji bez drgnięcia powieką.

- Każdy z państwa w najbliższym czasie otrzyma wezwanie na przesłuchanie. Przesłuchania będę prowadził osobiście albo obecny tutaj porucznik Roman Mierzejewski. W dochodzeniu jest on moim zastępcą. To nie znaczy bynajmniej, że musicie czekać na otrzymanie wezwania. Ktokolwiek z was będzie miał nam coś do zakomunikowania, może się zgłosić o każdej godzinie dnia i nocy. Albo zatelefonować na numer centrali Komendy Stołecznej MO i poprosić o połączenie ze mną lub z porucznikiem Mierzejewskim. Obaj będziemy do waszej dyspozycji. Proszę sobie zapisać numery telefonów.

Wszyscy posłusznie wyjęli z kieszeni lub torebek długopisy, kartki p»TMer, notesiki, pilnie notując podane im cyfry.

- Tyle miałem państwu do powiedzenia. Już skończyłem. Dodam jeszcze, że dla zabójcy Stanisława Lechnowicza byłoby lepiej, aby sam się zgłosił i przyznał do zbrodni. I tak go odnajdziemy. Ale wtedy o żadnych okolicznościach łagodzących nie będzie mowy. Pozostanie artykuł kodeksu karnego przewidujący karę śmierci lub karę więzienia do dwudziestu pięciu lat za morderstwo. Niech to sobie ten wśród was, który zamordował Lechnowicza, dobrze rozważy, dopóki nie jest za późno.

I teraz nikt się nie poruszył, nie zmienił wyrazu twarzy.

- Jesteście państwo wolni. Na razie! Żałuję, ale nie mogę na pożegnanie podać wam ręki. Mordercom ręki się nie podaje.

Zebrani wstali z krzesłek, aby kolejno wyjść z gabinetu. Potem szli w milczeniu korytarzem i schodami, by wreszcie znaleźć się przed Pałacem Mostowskich. Tutaj, jak to zaobserwował wywiadowca, któremu wydano stosowne polecenie, ta grupa przyjaciół i dobrych znajomych żegnała się także bez podawania sobie rąk. Wojciechowscy wsiedli do czekającego przed pałacem mercedesa. Anglik

przywołał przejeżdżającą taksówkę. Poturyccy odjechali czerwonym fiatem.

Badowicz wsiadł do tramwaju. Jasieńczakowie poszli w stronę Marszałkowskiej.

• No i co? - zapytał pułkownik Mierzejewskiego, kiedy zostali sami w gabinecie. - Zauważyłeś coś?

• Twardziochy. Nikomu twarz nie drgnęła, kiedy pułkownik im oznajmił, że Lechnowicz został zamordowany. Nikt się nie zdziwił słuchając tych słów. Potem także żaden z nich farby nie puścił. Siedzieli jak gipsowe posągi.

• Byłem tego pewien. Mordercy moje oświadczenie nie zaskoczyło, bo dobrze wiedział, co oznacza wezwanie do komendy. Inni domyślali się powodu.

• Trzymali się w ryzach, ale pan pułkownik dobrze im kota popędził.

• Tak myślisz?

• Podziwiałem pana pułkownika, jak do nich strzelał. Każde słowo w samą dziesiątkę.

• Ty mi baki nie świeć - w gruncie rzeczy Niemiroch był zadowolony z pochwały młodego człowieka. Sam zresztą uważał swój występ za udany.

• Kiedy ja prawdę mówię. Żebym był na miejscu tych dziewięciu, włosy by mi ze strachu dęba stanęły. A najlepsze było zakończenie. To o podawaniu ręki. Przecież kiedy wyszli na ulicę, to też nikt drugiemu piątki nie zafundował. Udało się panu pułkownikowi podważyć solidarność tej grupy.

• Może mi się i udało...

• Na pewno. Teraz każdy z nich będzie myślał o ratowaniu własnej skóry. O tym, aby go nie wzięto za współnika lub za pomocnika w przestępstwie.

• Chciałbym, żebyście mieli rację.

• Idę o zakład, panie pułkowniku, że większość z nich nie będzie czekała na oficjalne wezwania, lecz po cichutku, jeden bez wiedzy drugiego, zamelduje się u nas. A najbardziej chyba mecenas Poturycki. Ale pan go zmiażdżył! Tylko jeden człowiek w pewnej chwili tak się przestraszył, że to się odmalowało na jego twarzy. Właśnie mecenas, kiedy pan wspomniał, że jeszcze z nim porozmawia.

• Pewnie że porozmawiam. W konia mnie zrobił. Doprowadził do tego, że ja, stary wyjadacz, wydałem polecenie, aby tuszować dochodzenie. On mnie popamięta!

• Trzymam zakład, że mecenas jeszcze dzisiaj się zgłosi - twierdził porucznik.

Do zakładu nie doszło. Na szczęście dla Romana Mierzejewskiego, bo przegrałby z kretesem. Adwokat zjawił się w Komendzie Stołecznej MO wiele dni

później, dopiero po otrzymaniu oficjalnego wezwania.,

Natomiast w godzinę po zakończeniu konferencji w gabinecie pułkownika do komendy zatelefonowała Janina Poturycka i poprosiła o połączenie z porucznikiem. Oświadczyła oficerowi milicji, że chciałaby uzupełnić swoje uprzednie zeznania, gdyż przypomniała sobie pewien szczegół, który może mieć istotne znaczenie dla sprawy. Mecenasowa zaznaczyła, że dzwoni z sąsiedniej kawiarni i za kilka minut może się stawić w komendzie.

Rozdział VI.

Gadatliwy świadek

Porucznik Roman Mierzejewski rozmawiając telefonicznie z Janiną Poturycką wyznaczył jej spotkanie za pół godziny, po odłożeniu słuchawki natychmiast zameldował się u pułkownika Adama Niemirocha.

- Jedna już pękła - roześmiał się. - Za pół godziny będzie tutaj żona mecenasa. Sądziłem jednak, że to sam adwokat uzna za wskazane pospieszyć do nas.

- Może być przysłana przez męża.

- Czy pułkownik sam chce z nią rozmawiać?

- To byłoby niewskazane. Moja rola ograniczyła się do postraszenia tej grupki. Teraz oni będą uważali was za kogoś lepszego ode mnie i możecie się spodziewać ich wizyt - pułkownik zwykle zwracał się do młodych oficerów] swojego wydziału przez „wy”, ale często w zapale dyskusji przechodził na „ty”, czego nikt z podwładnych nie brał mu za złe. - Ja będę przesłuchiwał jedynie tych, którzy wyraźnie zażądamy widzenia się ze mną. Ale zaraz po rozmowie z Janiną Poturycką chciałbym znać treść zeznań.

- Tak jest, obywatelu pułkownika.

- Uważaj jeszcze na to, co ci powiem - ciągnął pułkownik - to są ludzie, jak na nasze stosunki, zamożni. Mający wyrobioną pozycję w społeczeństwie czy w świecie naukowym, znają się od lat. Oczywiście z wyjątkiem Anglika] i profesora z Gliwic. Reszta to zgrana „paka” powiązana najrozmaitszymi układami. Tacy ludzie nie popełniają zbrodni bez bardzo ważnych dla siebie powodów. Nie będą] ryzykowali zmarnowania całej obecnej i przyszłej kariery. A jeśli robią to dla pieniędzy, to już naprawdę bardzo dużych pieniędzy, i to nie w naszej walucie.

Mówię toj przykładowo, bo nie sędę, żeby docent miał takie pieniądze.

- Nawet samochodu nie miał.
- To o niczym nie świadczy. Znam ludzi na pewno] bogatszych od docenta,

którzy także wolą jeździć taksówkami niż narażać swoje nerwy na kontakty z warsztatami naprawczymi i sklepami „Polmozbytu”.

- To prawda - roześmiał się porucznik.
- Tak więc pomiędzy docentem a kimś z pozostałej dziewiątki musiały istnieć

tak silne napięcia uczuciowe czy konflikty materialne, że doprowadziły do zbrodni.

Tego nie znajdziemy badając układy panujące dzisiaj w tej grupce. Trzeba sięgnąć w przeszłość. Może nawet głęboko w przeszłość. Niezależnie od przesłuchiwania podejrzanych trzeba zainteresować się życiorysami tych ludzi. Dotyczy to także Lechnowicza. Wszyscy, nie wyłączając Anglika i Ślązaka, wystawili mu posąg ze złota. Niepokalany człowiek, uczynny kolega, wdzięczny uczeń, przyszła sława naukowa. I taki ideał zostaje poczęstowany cyjankiem potasu, wsypanym do kieliszka przez najbliższych przyjaciół. Trzeba zbadać, czy ten posąg był rzeczywiście ulany z najszlachetniejszego kruszcu, czy też cieniutka pozłotka okrywała glinę lub nawet zwykłe błoto. Początki konfliktu pomiędzy mordercą a jego ofiarą mogą sięgać wielu lat, dziesiątków lat wstecz. Nam, ludziom stojącym z boku, mogą się wydawać dziwne czy nieważne. Ale nikt jeszcze nie zbadał, jak w czyimś sercu procentuje nienawiść, strach lub upokorzenie.

- Panie pułkowniku, instrukcje są jasne. Ściśle się do nich zastosuję.

Prosiłbym tylko o protokół sekcji zwłok. Powinien znajdować się w aktach sprawy. Zresztą nie znam jego treści.

- Racja - przytaknął Niemiroch. - Zapomniałem o tym protokole. Zaraz go wam dam - to mówiąc pułkownik otworzył jedną szufladę biurka i po krótkich poszukiwaniach wyciągnął odpowiedni dokument. - Doktor Maliniak jak zwykle jest ostrożny. Stwierdził, że przyczyną zgonu była bardzo silna dawka cyjanku potasu podana najprawdopodobniej w jakimś alkoholu. Jednocześnie pisze w protokole, że stan serca denata był zły, i nie wyklucza, że groził mu zawał. To by trochę usprawiedliwiało Jasieńczaka, że nie potrafił odróżnić zawału serca od działania trucizny. Co prawda Maliniak i Jasieńczak to kumple. Nie jestem więc pewien, czy nasz doktorek specjalnie nie napisał tego, żeby ratować opinię przyjaciela.

- To ja się odmeldowuję. Poturycka zapewne czeka.

- Chwileczkę. Pamiętaj, Romku, że ludzie więcej i chętniej mówią, jeśli nie zeznają do protokołu, a udzielają wiadomości „poufnie”. Nam przede wszystkim chodzi o wykrycie zabójcy Lechnowicza, a nie o ścisłe przestrzeganie przepisów. Dlatego też, jeśli to okaże się konieczne, idź na małe kompromisy z przesłuchiwanymi. Ale wówczas, kiedy okoliczności będą tego wymagać.

Mierzejewski wrócił do swojego pokoju, a wkrótce znalazła się tam Janina Poturycka. Młody oficer przywitał ją uprzejmie, pocałował w rękę, jak gdyby dając tym do zrozumienia wytwornej pani, że nie uważa jej za zbrodniarkę. Usadził wygodnie na fotelu i poczęstował papierosem.

- Dziękuję, nie palę.

Zapadło milczenie. Porucznik celowo go nie przerywał. Czekał, aż kobieta zdecyduje się sama.

- Trudno mi zacząć - tłumaczyła się Poturycka - wtedy... wtedy, kiedy ostatnio rozmawiałam z panem, nie wszystko powiedziałam.

- Och, to drobiazg. Zdarza się, że świadek czegoś zapomina i później uzupełnia swoje zeznania.

- Kiedy właśnie - zająknęła się mecenasowa - nie chciałabym, aby to, co powiem, a zwłaszcza pewna część tego, co powiem, była traktowana jako moje zeznania. No... Po prostu żeby tego nie zapisywano. Wiadomo, akta sprawy prędzej czy później będą dostępne oskarżonemu - Poturycka jako żona adwokata znała procedurę prawną - obrońcy i sędziom. To są koła, w których się obracamy. Chyba nie ma większych plotkarzy niż adwokaci.

- Rozumiem panią - Mierzejewski pospieszył kobiecie na ratunek. - Wolałaby pani udzielić nam pewnych informacji ściśle poufnie.

- Właśnie o to mi chodzi. Bardzo trafnie pan to ujął: ściśle poufnie.

- Doskonale. Zatem porozmawiamy sobie bez żadnych notatek.

- Dziękuję panu - Poturycka odetchnęła z ulgą. - Sądzę, że moje spostrzeżenia zainteresują panów. Może nawet wskażą mordercę.

- O to mi tylko chodzi - szczerze przyznał Mierzejewski.

- To było tak - zaczęła mecenasowa - jak pan wie, mieszkamy na Żoliborzu, zaś Wojciechowski na Ochocie. Mamy samochód. Polski fiat 132. Bardzo dobrze się sprawuje. Mąż jest z tego wozu zadowolony. Przedtem mieliśmy skodę. Także nie można było narzekać. Ale fiat 132 to zupełnie co innego. Jaki komfort jazdy! A

przyspieszenie!

Porucznik nie przerywał. Niech się niewiasta wygada. Może w tym rozpędzie powie nawet i to, co pierwotnie chciała przemilczeć?

- Do Wojciechowskich nie było sensu jechać samochodem. Tam zawsze podają dobre trunki. A i jedzenie też pierwszorzędne. Zygmunt nie jest skąpy i lubi częstować gości, zaś Ela jest gospodynią, jakich mało. Tak więc wybraliśmy się tramwajem. Wiedzieliśmy, że na brydżu będą Jasieńczakowie. Wojciechowski telefonując do nas i zapraszając na sobotę wyraźnie zaznaczył, że będziemy tylko my i doktorostwo.

- Przepraszam - przerwał Mierzejewski. - Kiedy pan Wojciechowski was zapraszał?

- To było jakieś osiem dni przedtem. W piątek czy też jeszcze w czwartek poprzedniego tygodnia. Dostatecznie wcześniej, żebyśmy mogli mieć tę sobotę wolną dla nich. Pan rozumie, adwokat nie zawsze jest panem siebie i o jego wziętości decydują w dużej mierze stosunki osobiste. Dlatego musimy dużo bywać i sami często przyjmujemy. Nie zawsze tych, których bym najbardziej chciała.

- Rozumiem - przytaknął. - Proszę, niech pani mówi dalej.

- Otóż, jak zaznaczyłam, pojechaliśmy na Ochotę tramwajem. Kiedy wysiedliśmy na Filtrowej i szliśmy w stronę Prezydenckiej, zauważyłam, że przed nami idzie Lechnowicz w towarzystwie jakiegoś pana. Byliśmy tym nie tyle zdziwieni, co wręcz zaskoczeni. Gdybyśmy wiedzieli, że docent będzie u Wojciechowskich, nigdy byśmy tam ni poszli.

- Dlaczego?

- Pan nie zna tego człowieka. To urodzony intrygant i plotkarz. Mąż nigdy się o nim inaczej nie wyrażał ja kanalia.

- Przecież to koledzy szkolni.

- Tak. Ale ich przyjaźń skończyła się już dawno. Narobił mężowi wiele świństw. Składał na niego donosy. Mąż miał masę kłopotów, żeby się oczyścić z błota, którym go Lechnowicz obrzucił. Nie znam tych spraw, bo większość ich zdarzyła się przed moim małżeństwem, ale zawsze unikaliliśmy spotkań z tym panem. U Wojciechowskich on także od lat nie był przyjmowany.

- Dlaczego? Przecież to ukochany uczeń profesora. Wszyscy tak zeznali.

- A co mieli mówić? Myśleliśmy, że to naprawdę zawał serca. Wiadomo, o

zmarłym należy mówić dobrze. Co zaś do tego ukochanego ucznia, to może Lechnowicz nim i był, ale bardzo dawno. Później narobił takich plotek, że Wojciechowski nie tylko zamknęli przed nim drzwi, ale musiał się on wynosić z Politechniki Warszawskiej. Gdyby profesor był bardziej mściwy, to mógłby go i z Warszawy wykurzyć.

- Flirtował z panią Elżbietą? Rozповідаł, że się puszcza? - dopytywał porucznik.

- Może by się i puściła, biedula - Poturycka nie byłaby kobietą, gdyby nie przypięła łątki przyjaciółce - gdyby była ładniejsza. Ale kto na taką poleci? Twarz jak księżyc w nowiu, nóżki jak w stole do bilardu. A mąż co najmniej o dwadzieścia pięć lat starszy, nie bardzo jej chyba może wygodnie porucznik w myśli porównywał słowa mecenasowej z obrazem żony profesora, jaki mu pozostał w pamięci. Ten sąd był niesprawiedliwy. Pani Wojciechowska rzeczywiście nie była piękną, ale miała sympatyczny uśmiech, dużo wdzięku kobiecego, zgrabną figurę. Nogi były rzeczywiście ciut, ciut grube, ale do bilardowych było im bardzo daleko.

- Lechnowicz obszczał zarówno Elżbietę, jak i profesora. To się oparło o senat politechniki. Zygmunt miał ogromne kłopoty. Cała jego dalsza kariera naukowa wisiała na włosku. Jakoś się jednak z tego wywinął. Z niego także dobry gracz. Ale przyjaźń z Lechnowiczem definitywnie się skończyła.

- Ciekawe!

- Byliśmy tak zaskoczeni widokiem Lechnowicza idącego w stronę Willi Wojciechowskich, że Loniek chciał po prostu zawrócić. Ledwie mu wytłumaczyłam, żeby tego nie robił. Ostatecznie jeden wieczór można w większym towarzystwie spędzić z człowiekiem, którego się nie lubi. Natomiast nie wypadało robić afrontu profesorostwu. Wojciechowski to bardzo ustosunkowany człowiek. Przebąkuje się w kołach znajomych, że nawet celuje do Nagrody Nobla. Na szczęście umiem Łońkowi pewne sprawy przetłumaczyć.

- Nie wątpię o tym - szczerze przyznał Mierzejewski.

- Tak więc szliśmy za Lechnowiczem i tym drugim mężczyzną. Jak się później dowiedziałam, Anglikiem, profesorem z Cambridge. Oni nas nie zauważyli, chociaż byliśmy oddaleni od nich o trzy metry.

- Rozmawiali ze sobą?

- Właśnie. Nie lubię podsłuchiwać, ale chcąc nie chcąc musiało coś dojść do

moich uszu. Zwłaszcza że Anglik jest chyba trochę głuchawy, bo ma zwyczaj głośnego mówienia. Słyszałam, jak Lepato powiedział: „Nie spodziewałam się, że od razu po przyjeździe spotkam ciebie”. Mówił „ciebie”, a więc musieli się dobrze znać przedtem. Dlatego zdziwiło mnie bardzo, że kiedy wszyscy spotkaliśmy się przed drzwiami willi Wojciechowskich, Lechnowicz za-] znaczył, że gość z Anglii, szukając ulicy Prezydenckiej, miał szczęście i właśnie jego o tę ulicę zapytał. Później obaj panowie zwracali się do siebie zawsze per „pan”.

- A co odpowiedział docent na uwagę Anglika?

- Nie dosłyszałam. Ale nie miał zbyt uszczęśliwionej miny. Cały wieczór głowiłam się, dlaczego ci dwaj ukrywają przed nami dawną znajomość. Nie wyjaśniłam jednak tego. Później nastąpił ten tragiczny wypadek i wszystko inne zatarło się w mojej pamięci. Dopiero dzisiaj przypomniałam sobie ten incydent i pomyślałam, że to może być ważne dla panów.

- Informacja jest rzeczywiście interesująca i może mieć duże znaczenie przy dalszym prowadzeniu dochodzenia.

- Już nic więcej nie wiem - stwierdziła Poturycka. Mierzejewski wyczuł, że teraz chciałaby najprędzej opuścić ten pokój i Pałac Mostowskich, ale powiedział:

- Chciałbym panią prosić o jedną małą przysługę.

- Zawsze chętnie służę pomocą.

- Pani jest tak dobrze wprowadzona w zwyczaje panujące w domu

Wojciechowskich. Niech mi pani wytłumaczy, jak to było z tymi kieliszkami?

Poturycka uśmiechnęła się.

- Wojciechowski lubi mieć w domu dużo dobrych trunków. Może nawet trochę się tym popisuje. Toteż zawsze w czasie przyjęć brydżowych grający mają do swojej dyspozycji barek na kółkach, a na nim pełno najrozmaitszych kolorowych butelek. Koniaki, rummy, likiery. Poza tym słone paluszki, jakieś orzeszki czy migdałki i czekoladki. Zaraz po przybyciu na brydża goście częstowani są kawą. Do kawy domowe ciasto i od razu różne napitki. Sam profesor każdemu nalewa i kieliszek stawia przed gościem na kolorowej okrągłej papierowej serwetce, która pozwala zawsze odróżnić własny kieliszek. Po rozmowie i wypiciu kawy każdy z gości przynosi swój kieliszek razem z własną serwetką na barek. W czasie brydża, jeżeli ktoś chce się czegoś napić, wstaje, podchodzi do barku, wybiera butelki i nalewa do swojego kieliszka. Kiedy już się kończy i goście zabierają się do wyjścia, każdy

wysusza do końca swój kieliszek, „żeby szlachetny trunek nie zmarnował się”, jak zawsze mówi doktor Jasieńczyk. Z tymi kolorowymi serwetkami to praktyczny pomysł. Zygmunt podpatrzył go gdzieś za granicą i stamtąd przywiózł te serwetki. Przynaję, że skopiowałam to od Wojciechowskich.

- Z pani słów wynika, że każdy z gości mógł znaleźć się sam przed barkiem i spokojnie wrzucić truciznę do kieliszka Lechnowicza, wiedząc, na jakiej serwetce stoi ten kieliszek?

- Naturalnie, że mógł. Przez te pięć czy sześć godzin każdy przynajmniej raz podszedł do barku. A przecież nikt nikomu nie patrzył na ręce.

- Tak więc, zdaniem pani, każdy mógł wsypać Lechnowiczowi do kieliszka truciznę i spokojnie czekać na skutek. Wiedział, że najpóźniej przy wyjściu kieliszki będą opróżnione przy „strzemiennym”.

- Przypuszczam - Poturycka była bystrą i inteligentną kobietą - że tego zwyczaju picia strzemiennego nie znali profesor ze Śląska i Anglik. Oni w tym domu na pewno byli po raz pierwszy.

- Tak pani sądzi?

- Jestem tego zupełnie pewna. Jeżeli siedzi się w obcym domu przez sześć godzin, a do tego sporo je i pije, sam pan rozumie, trzeba czasami iść do łazienki. Obaj panowie nie znali rozkładu mieszkania i Zygmunt musiał im pokazać drogę.

- Tak - uśmiechnął się porucznik. - Pani byłaby dobrym detektywem.

- Wszyscy zawsze podkreślają, że jestem bardzo spostrzegawcza - do licznych zalet pani Poturyckiej należała także i skromność. - Ale to nie wyklucza - szybko dodała mecenasowa - że jeden z tych dwóch zabił Lechnowicza. Mogli od razu zauważyć, że docent lubi pociągnąć z kieliszka. Jeszcze przed kolacją kilkakrotnie podchodził do barku. Była więc pewność, że zrobi to i później.

- Pani pomoc jest po prostu nieoceniona - porucznik kadził babce, chcąc z niej wyciągnąć jak najwięcej wiadomości. - W milicji z takimi zdolnościami zrobiłaby pani piękną karierę.

- Starych bab tam nie przyjmują - krygowała się Poturycka.

- Gdyby wszystkie były takie stare i takie przystojne - Mierzejewski nie żałował komplementów.

- Nie wiedziałam, że milicjanci potrafią być tak uroczy - zrewanżowała się pani Janina. - Zupełnie pan jest niepodobny do tego gburowatego pułkownika.

- Niech mi pani powie szczerze, oczywiście najzupełniej prywatnie, czy którąś z pań łączyło coś bliższego z Lechnowiczem?

- Kochanką jego była ta artystka dla ubogich, Mariola Boweri, ale jak słyszałam, to już się kończyło. Lechnowicz miał duże zmartwienie, jak się pozbyć baby z mieszkania, bo władowała się tam z zamiarem zarzucenia kotwicy na dłużej.

- Artystka filmowa bez własnego mieszkania?

- Mieszka z rodzicami, chociaż trzydziestka na karku. Jaka ona tam artystka! Oglądana więcej sufitów w mieszkaniach różnych pseudo reżyserów i kierowników produkcji niż filmów, w których grała rolki pokojówek lub striptizerek. Na nic więcej się nie nadawała.

- A doktorowa? To także niebrzydka babka. Mogła się Lechnowiczowi podobać. Słyszałem, że nie stronił od płci pięknej.

- To był po prostu babiarcz. Obrzydliwy babiarcz. Podobno dawniej, kiedy był asystentem na politechnice, to studentki zaliczały kolokwia w jego łóżku.

- Mógł polecieć i na przystojną doktorową? Janina Poturycka zaczęła się śmiać.

- Pan naprawdę nie wie?

- Co mam wiedzieć?

- Że Krysia była pierwszą żoną Lechnowicza? Dopiero kiedy ją rzucił, zawięła się koło Jasieńczaka. Wprawdzie grubo starszego, ale lekarza z pozycją i niezłą forszą.

- Co pani powie? A to dopiero rewelację mi pani wyjawiała.

- Swego czasu był to jeden z największych skandali w towarzyskim świecie stolicy. Wszyscy pasjonowali się tą sprawą. Lechnowicz ośmieszył Jasieńczaka.

- Niech się pani nie dziwi mojej ignorancji, spędziłem cztery lata w szkole oficerskiej na głębokiej prowincji. Później także nie od razu wróciłem do rodzinnej Warszawy, lecz objąłem się w małych komendach różnych miast. Nie jestem więc au courant stołecznych wydarzeń.

- Lechnowicz rozstał się z Krysią podobno z dnia na dzień. Wywołał kłótnię i po prostu wyrzucił żonę na ulicę. Lechnowiczowa miała dyplom pielęgniarki i rada nierada powróciła do zawodu, żeby z czegoś żyć. Trafiała do kliniki Jasieńczaka, który także lubił ładne młode kobiety. Zaczął więc pocieszać opuszczoną żonę. Z tak dobrym skutkiem, że zaszła w ciążę. Doktor chcąc nie chcąc musiał się zenić.

Skandal mógłby zaszkodzić pięknie zapowiadającej się karierze kardiologa. Właśnie wtedy Jasińczak zabiegał o mianowanie go ekspertem przy ONZ. Dziecko urodziło się zaledwie w kilka miesięcy po ślubie.

- To się często zdarza - roześmiał się porucznik.

• Tak. Ale dalszy ciąg był sensacyjny. Lechnowicz wystąpił do sądu z wnioskiem o zaprzeczenie ojcostwa Jasińczaka. Dowodził, że w okresie koncepcyjnym Krysia była jeszcze jego żoną, a zatem dziecko jest jego.

- A naprawdę?

• A naprawdę to on ją rzucił. Na dwa lata przed urodzeniem się dziecka, lecz nie mieli formalnego rozwodu. Ale Lechnowiczowi nie chodziło o dziecko, a jedynie o wywołanie skandalu wokół Jasińczaka. Na rozprawie w sądzie Lechnowicz argumentował, że Jasińczak jest starym, zużytym mężczyzną i na pewno jest impotentem, który nie może mieć dzieci. Co innego on, Lechnowicz, młody człowiek pełen wigoru. Proces stał się sensacją „Warszawki”. Wprawdzie toczył się przy drzwiach zamkniętych, ale na korytarzu sądowym czekało kilkaset osób. Zresztą w czasie przerw w rozprawie Lechnowicz szeroko opowiadał o tym, co się działo na sali sądowej i jakie to przemówienia on wygłaszał oraz jakie wnioski składał. A złożył między innymi wniosek o zbadanie Jasińczaka celem potwierdzenia tezy, że doktor jest impotentem. Ośmieszył kardiologa na długi czas.

- Proces naturalnie przegrał?

• Oczywiście. Przegrał i musiał zapłacić koszty sądowe i adwokackie. Ale największe przedstawienie odegrał później, na oczach wszystkich zgromadzonych.

- Co zrobił?

• Kiedy wychodzili z gmachu sądu, Lechnowicz tak celował, aby w drzwiach wyjściowych znaleźć się razem z Jasińczakiem. Żaden z panów nie myślał ustąpić drugiemu. Przepychali się wspólnie przez dość wąskie drzwi. Wtedy Lechnowicz upadł na ziemię i zaczął krzyczeć „Ratunku! Milicja! Biją mnie!” Nadbiegł milicjant, Jasińczak zdenerwowany zwymyślał nie tylko Lechnowicza, ale i bogu ducha winnego kaprała. Skończyło się tym, że kardiolog w asyście milicji powędrował do Komendy Dzielnicowej MO i później na kolegium musiał zapłacić grubą grzywnę. Podobno aż pięć tysięcy złotych. Ale gorsze od pieniędzy było pośmiewisko, na które go Lechnowicz wystawił.

- Dlaczego to zrobił?

- W tym był cały Lechnowicz. Zrobić komuś świństwo. Ośmieszyć bez powodu. To nawet nie bezinteresowna zawiść. To po prostu była bezinteresowna swinia. Szeroko komentowano numer, jaki zrobił profesorowi Strzałeckiemu z politechniki...

- I tego też nie znam - przyznał Mierzejewski.

- StrzałECKI starał się o paszport na wyjazd do Stanów Zjednoczonych.

Wtedy, przed kilkunastu laty, ani o paszport, ani o wizę nie było łatwo. Urzędnik z biura paszportów przyszedł do rektoratu politechniki, żeby upewnić się, czy ten wyjazd jest tak konieczny. Natknął się na Lechnowicza i między innymi zapytał go, czy aby profesor nie „wybierze wolności”. Asystent Lechnowicz był wtedy starszym asystentem, bez wahania odpowiedział, że StrzałECKI jedynie dlatego chce wyjechać i „nie będzie taki głupi, żeby wracać”. Pan rozumie, co wtedy znaczyło takie zeznanie? A Lechnowicz wezwany do wytłumaczenia się, dlaczego rzucił cień na opinię profesora, beztrąsko odparł, że sobie żartował.

- A jak się zachowywał na przyjęciu u Wojciechowskich?

- Aż do tej kłótni był czarujący. Obsypywał komplementami panie, Zygmunto, jak mógł, tak się podlizywał. Nazywał go „swoim mistrzem”. W rozmowie z Anglikiem podkreślał, że wszystko, do czego doszedł, zawdzięcza profesorowi. Słowem, nie ten człowiek, co dawniej: Dopiero później, po kolacji, kiedy już sobie dobrze podpił, nie zdzierzył i wywołał karczemną awanturę.

- Nie zauważyła pani czegoś nienaturalnego w zachowaniu się innych osób obecnych na brydżu? Pani jest taka spostrzegawcza.

I tym razem komplement wywołał uśmiech zadowolenia na twarzy Janiny Poturyckiej.

- To zrozumiałe, że my i Jasieńczakowie trochę boczyliśmy się na Lechnowicza. Wojciechowski przy okazji wyjaśnił mężowi, że nagle zważyło mu się dwóch obcych ludzi na kark i musiał doprosić tę parę. Pani Boweri była nienaturalnie wesoła i rozchichotana. Wyraźnie zaginała parol na Anglika. Ale co najbardziej rzuciło mi się w oczy, to wrogi stosunek profesora z Gliwic do Lechnowicza. Prawie demonstracyjnie wymówił się od gry przy jednym stoliku z docentem i parę razy w rozmowie bardzo ostro mu przyciął.

- A Lechnowicz?

- Schował to do kieszeni. Nawet nie próbował reagować. Jak na niego, to było

bardzo dziwne.

- Jak pani przypuszcza, kto go mógł sprzątać?
- Niech pan, poruczniku, nie wymaga ode mnie, abym rzuciła podejrzenia na przyjaciół.

• Ależ pani Janino - porucznik pocałował mecenasową w rączkę - nic podobnego. Po prostu chcę wykorzystać pani spostrzegawczość i nieprzeciętną intuicję. Nic więcej.

- No, dobrze. Powiem więc, kto na pewno nie otruł Lechnowicza.

- Zamieniam się w słuch.

• Przede wszystkim nie ja. Poza drobnymi plotkami, Lechnowicz mi się nie naraził. Po drugie mój mąż. Nie dlatego, aby nie miał powodu. Lechnowicz go bardzo skrzywdził. Ale to zdarzyło się wiele lat temu. Loniek nie jest aż tak pamiętliwy. A poza tym, żeby kogoś zabić, trzeba mieć samemu silny charakter. O, ja bym się na to zdobyła, ale nie mój mąż. Na pewno nie.

• Pani stoi poza wszelkimi podejrzeniami. Inaczej przecież nie przyszłaby tu pani i nie udzieliła nam tak cennych!

informacji.

- Nie zabił na pewno i Wojciechowski. On jest na to za dobrym człowiekiem. Zresztą te intrygi Lechnowicza dawno przestały go boleć. Od tamtych chwil zbyt wysoko poszedł w górę. Z jakiego powodu miałby ryzykować karierę? Z zemsty?

- Tak, to racja.

• Można także wykluczyć Elżbietę Wojciechowską. Jest zbyt mądra na to, aby wsypać do kieliszka truciznę i samej podać ją swojej ofierze. Gdyby ona truła, czekałaby, aż Lechnowicz sięgnie po koniak, albo w inny sposób sprowokowałaby gości do picia. Dla pani domu wyszukanie takiej okazji nie przedstawiało trudności. Wystarczyło powiedzieć docentowi: „Stachu, obsłuż swoich partnerów”. On zaniósłby grającym kieliszki z koniakiem, a przy okazji i sam by łyknął. A Ela w tym czasie siedziałaby z kartami w ręku. Tak jak to zrobił morderca. Poza tą czwórka, którą wymieniłam, każdy może być przestępcą.

• Pozostaje jeszcze pięć osób. To bardzo dużo. A szukamy tylko jednej. Nie znamy także powodu zbrodni.

• Oprócz mnie, to chyba wszyscy - roześmiała się mecenasowa - mieli powody, aby go zabić. A i ja nieraz miałam na to chętkę.

Nie szczędząc mecenasowej komplementów, Mierzejewski podziękował jej za „rozmowę”. Wytworna pani była tak zachwycona młodym oficerem milicji, że nawet coś wspominała o spotkaniu na neutralnym gruncie. Obiecywała, że gdyby coś sobie przypomniała, to zatelefonuje i umówi się.

Po wyjściu Poturyckiej Mierzejewski streścił na kartce rozmowę, która na pewno nie była bez znaczenia dla sprawy. Rzucała nowe światło na znane już fakty.

Pułkownika Niemirowicza ogromnie ciekawiło, z czym przyszła do Pałacu Mostowskich żona adwokata, bo wkrótce wezwał porucznika do swojego gabinetu.

Rozdział VII

Dwa słowa honoru

- Widzę, że zrobiliście konkiętę - roześmiał się pułkownik po zapoznaniu się z zeznaniami Poturyckiej. - Mój podwładny postanowił w dość szczególny sposób pomścić starego pułkownika, którego pewien adwokat szpetnie nabrał. Przyznaję, że Poturycka warta grzechu.

- Ależ panie pułkowniku - zastrzegam się Mierzejewski - ja wyłącznie dla dobra sprawy zwracałem głowę tej kobiecie.

- Żarty żartami, ale dzięki mecenasowej dowiedzieliśmy się o ciekawych sprawach. Jak przypuszczałem, posąg ze szlachetnego złota okazał się zwykłym gipsem. W opisie Poturyckiej postać Lechnowicza maluje się raczej w ciemnych barwach.

- Nie wiadomo, czy powiedziała prawdę.

- Na pewno powiedziała prawdę. Tylko pytanie, czy całą prawdę i co przemilczała, a co odpowiednio podkolorowała? O tym słynnym procesie o zaprzeczenie ojcostwa naturalnie słyszałem. Cała Warszawa miała wtedy dobrą zabawę. Zupełnie zapomniałem, że to chodziło o Jasieńczaka i Lechnowicza. Ta historia jest na pewno prawdziwa.

- A inne uwagi? Co pan pułkownik o tym sądzi?

- Będziemy sprawdzać. Ale dzięki mecenasowej mamy pewien punkt zaczepienia. To już coś znaczy.

- Moim skromnym zdaniem, najciekawsza jest informacja, że Lechnowicz i ten Anglik znali się od dawna, i to nawet tak dobrze, że byli ze sobą na „ty”.

Interesujące, dlaczego ukrywali to przed resztą gości? W swoich zeznaniach Anglik wyraźnie powiedział, że Lechnowicza nie znał osobiście, ale prosił Wojciechowskiego, aby ten skontaktował go z docentem. To jest zagadkowe. Przecież parł Lepato nic nie ryzykował przyznając się, że przy jakiejś okazji poznał Lechnowicza. Wiem, że docent kilkakrotnie wyjeżdżał za granicę. Między innymi do Wielkiej Brytanii. A jednak Anglik uważał za stosowne ukryć przed nami tę znajomość.

- Pan Lepato - wyjaśnił pułkownik - przed godziną dzwonił do mnie prosząc o rozmowę. Będziemy mieli okazję zapytać o ten ciekawy szczegół.

- Kiedy przyjdzie?

- Zaproponowałem mu spotkanie o godzinie drugiej - tu pułkownik spojrzał na zegarek. - Nasz gość powinien zjawić się za jakieś dziesięć minut.

- Pan pułkownik porozmawia z nim w cztery oczy?

- Nie. Chcę, żebyś był przy tym. Jako protokolant. Wprawdzie to Polak z pochodzenia, ale przywykł do zwyczajów angielskich. Tam własnoręczny podpis pod zeznaniami ma zasadnicze znaczenie. Falszywe zeznania są surowo karane. Dużo surowiej, niż przewiduje nasz kodeks karny. On się boi, bo już raz zełgał do protokołu. Nie zaryzykuje powtórnego kłamstwa.

Henryk Lepato zjawił się w gabinecie Niemirocha z punktualnością zegarka. Nie żądał rozmowy w cztery oczy, nie zdziwił go widok porucznika siedzącego przy maszynie do pisania ani też magnetofonu stojącego na biurku. Zachowywał się grzecznie, ale ze spokojem człowieka niewinnego. Pewnym głosem podyktował swoje personalia. Następnie umilkł oczekując na pytania.

-Usiłował pan nas wprowadzić w błąd - z żalem powiedział pułkownik Niemiroch.

Anglik roześmiał się:

- Wszyscy kłamali, każdy następny chciał prześcignąć poprzedniego. Już tam na miejscu, w willi Wojciechowskiego. A ja miałbym być tym jedynym naiwniakiem, który mówi prawdę i naraża się zarówno milicji, jak i współtowarzyszom niedoli?

- A co było nieprawdą? Nie byłem na Prezydenckiej, znam jedynie protokoły przesłuchań sporządzone nazajutrz.

- Wszyscy dobrze wiedzieli albo się domyślali, że ta śmierć jest nienaturalna.

Najpierw usiłowali namówić lekarza pogotowia, aby zabrał ciało do karetki i wystawił świadectwo zgonu, że chory zmarł w drodze do szpitala na zawał serca. Taki rzekomo sławny kardiolog, a nie umiał odróżnić zawału od cyjanku potasu? Choćby po zapachu gorzkich migdałów.

- Pan by rozpoznał? Cyjanek był w alkoholu, a wszyscy przegryzali koniak migdałkami.

- Ja może nie, ale już student trzeciego roku medycyny powinien rozpoznać. Pułkownik machnął ręką: - To były drobiazgi. Są poważniejsze grzechy obciążające pana.

- Jakie?

- Zeznał pan i podpisał własnoręcznie to zeznanie, że nie zna pan Lechnowicza. A to nieprawda. Znał go pan, i to dobrze znał.

Anglik wyraźnie się zmieszał.

- Właśnie dlatego przyszedłem do pana pułkownika. Chodzi mi o to, aby pan pozwolił mi wyjechać do Londynu. Nie mogę tu siedzieć bez końca. Nawet gdybyście to finansowali, ale na to się chyba nie zanoszą. Mam zajęcia ze studentami, pilne prace naukowe. Doświadczenia, których nie można przerwać.

- Cóż ja na to poradzę - pułkownik rozłożył ręce. -

Przykra konieczność.

- Zdaję sobie sprawę z tego, że gdybym poszedł do ambasady angielskiej i gdyby interweniowano na odpowiednio wysokim szczeblu w waszym Ministerstwie Spraw Zagranicznych, nie byłby pan w stanie zatrzymać mnie w Warszawie. Nie jestem mordercą i nikt mi tego nie dowiedzie. Ale ja przyszedłem tutaj z gałązką oliwną w ręku. Nie chcę wojny, chciałbym zaproponować wam układ pokojowy..-
Jaki?

- Powiem wam szczerą prawdę. Wszystko, co wiem. To będą dla was ważne wiadomości. Może byście do tego doszli i sami. Nie mam podstaw wątpić w sprawność polskiej milicji, ale to by wam kosztowało parę tygodni pracy. Tymczasem ja wam to powiem w ciągu kilku minut.

- A w zamian?

- W zamian wyjadę do Anglii bez żadnych przeszkód z waszej strony.

- A jaką ja będę miał gwarancję, że pan powiedział prawdę i niczego nie przemilczał? My nie stosujemy testów na prawdomówność. Nie mamy „wykrywacza

kłamstw”.

• Będziecie mieli moje słowo honoru. Słowo honoru Polaka, żołnierza Polski Podziemnej i angielskiego profesora Cambridge. To wam powinno wystarczyć. Zresztą ja także mogę zapytać, jaką ja mam pewność, że wy mnie wysłuchacie i potem pozwolicie wyjechać z kraju?

Niemiroch uśmiechnął się:

- Słowo pułkownika.

- Dobrze! Idę na to. A pan?

Pułkownik chwilę się namyślał, wreszcie potaknął.

- Zgadzam się. Choć uprzedzam, że muszę najpierw sprawdzić pana zeznania.
- Zatem układ zawarty.
- Proszę zeznawać. Słucham.

• Zacznę od tego - Henryk Lepato poprawił się w fotelu - że znałem Lechnowicza jeszcze z czasów okupacji. Obaj należeliśmy do Szarych Szeregów. Byliśmy w jednej grupie. Miałem wtedy nie więcej niż siedemnaście lat. Razem uczestniczyliśmy w różnych akcjach. Pewnego razu nastąpiła wyspa. Cała nasza komórka znalazła się w rękach gestapo. Już z pierwszych przesłuchań mogliśmy się zorientować, że wiedzą o nas prawie wszystko. Wygarnięto nas z punktu, skąd mieliśmy wyruszyć na nową akcję. Wśród aresztowanych nie było jedynie Lechnowicza. Od razu z Pawiaka poszły grypsy z wiadomością, że prawdopodobnie on nas sypnął. Każdy miał jakiś szumny pseudonim, ale znaleźliśmy swoje nazwiska. Przecież wywodziliśmy się z tej samej drużyny harcerskiej. Wiedziałem więc, że Sęp to Stanisław Lechnowicz.

- Znał pan dalszy ciąg tej sprawy? Czy grypsy doszły do adresatów?

• Nie wiem. Część z naszej grupy rozstrzelano w ruinach getta. Resztę posłano do różnych obozów koncentracyjnych. Mało kto miał szczęście przeżyć. Po wojnie nie wróciłem do Polski. Dopiero po latach spotkałem w jakimś fachowym miesięczniku chemicznym podpis polskiego uczonego Stanisława Lechnowicza. Przypomniałem sobie tamtą wyspę i podejrzenia, jakie ciążyły na Sępie.

- Dlatego pan przyjechał do Polski?

- Nie! Przyjechałem naprawdę tylko dla wygłoszenia dwóch odczytów.

Naturalnie motywem podróży były także sentymenty do starej ojczyzny i ciekawość, jak się teraz ludziom żyje w Polsce. Tamte dawne sprawy normalnie mnie nie

obchodzą. Jestem obywatelem angielskim. Za więzienie i obóz otrzymałem wysokie odszkodowanie z Republiki Federalnej Niemiec. Nauczyłem się na Zachodzie, że każdą sprawę można uregulować za pomocą pieniędzy.

- Nawet honor?

• Tam nawet honor. Jako Polak z pochodzenia mam własny pogląd na tę sprawę. Ale tutaj honor, przynajmniej mój, nie wchodził w grę. Najwyżej Lechnowicza. Wybierając się do Warszawy, z góry postanowiłem zobaczyć się i z byłym Sępem. Tym bardziej że i inne zastrzeżenia wiązały się z jego osobą.

- Jakież?

• Dojdę i do nich. W Warszawie profesor Wojciechowski bardzo serdecznie się mną opiekował. Powiedziałem!

mu, że chciałbym poznać docenta Lechnowicza, o którym słyszałem, że jest wschodzącą gwiazdą polskiej chemii. Profesor powiedział parę komplementów pod adresem swojego ucznia i ucieszył się z tej propozycji. Okazało się bowiem, że docent także pała chęcią zobaczenia mnie i nawet namówił Wojciechowskiego, aby ten urządził w sobotę małe party towarzyskie, na którym będziemy obaj.

- I w ten sposób doszło do spotkania?

• Nie. Jeszcze przedtem Lechnowicz zatelefonował do mnie, do hotelu „Bristol”, i zaproponował wspólne zjedzenie obiadu i później wspólną jazdę do Wojciechowskich.

- Pan się zgodził obiadować z kimś, kto mógł wydać pana w ręce gestapo?

• Romantyzm nie wygasł w Polsce - uśmiechnął się Anglik. - Ja to potraktowałem inaczej. Zgodziłem się na spotkanie z Sępem, bo chciałem się dowiedzieć, co on mi powie. Byłem pewien, że będzie wracał do przeszłości.

- Czy tak się stało?

• Lechnowicz obawiał się, że przyjechałem do Warszawy, aby go zadenuncjować przed polskimi władzami. Oświadczył mi, że jest niewinny, że jeszcze w czasie okupacji specjalny sąd badał tę sprawę i ustalił przyczyny wyspy. Nastąpiła, bo zdradził nas agent gestapo, który był narzeczonym siostry jednego z chłopców i od jego siostry wyciągnął pewne wiadomości, a potem zaczął nas śledzić. Lechnowicz dodał, że tego sprzedawczyka zastrzelono z wyroku sądu w miesiąc po naszej wpadce. Docent powoływał się na fakt, że w Wojskowym Biurze Historycznym zachowały się akta tej sprawy i mogę je przejrzeć. On nie mógł wtedy przybyć na

zbiórkę, bo trafił na Pradze w łapankę uliczną i kilka godzin przesiedział w jakiejś piwnicy.

- Pan to później sprawdził?

- Nie. Nie uważałem za stosowne. Już powiedziałem panu pułkownikowi, że tamte stare ognie we mnie wygasły. Lechnowicz prosił mnie jedynie, abym tego nie rozpowiadał, zachował w tajemnicy naszą dawną znajomość i przynależność do Szarych Szeregów.

- Pan pozwoli, że jednak my sprawdzimy ten szczegół życiorysu

Lechnowicza?

- Proszę bardzo.

- Czy rozmawialiście o profesorze Wojciechowskim?

- Tak. Lechnowicz dużo opowiadał o nim i o jego małżonce, której przecież jeszcze nie znałem.

- Jak się o nich wyrażał?

- W samych superlatywach. Aż byłem tym zdziwiony. Docenci nie lubią swoich profesorów. Przecież ci zagradzają im drogę do dalszej kariery. Czekają raczej na ich śmierć, aby się katedra zwolniła. Panią Wojciechowską wychwalał jako wzór wszelkich cnót, wzorową matkę, przyjaciela i opiekuna profesora, znacznie od niej starszego.:

- Czy robił jakieś uwagi o ludziach, których miał pan spotkać u Wojciechowskich?

- Tak. Mówił, że będą tam ciekawi i przyjemni ludzie. Sławny kardiolog z piękną żoną i nie mniej wzięty mecenas, również z miłą, interesującą panią. Wspomniał także, że będzie jego dziewczyna, aktorka filmowa. W ogóle Sęp starał się przybrać ton dawno nie widzianego, starego przyjaciela. Zaproponował mi nawet pieniądze, że jeśli ich potrzebuję, to może mi służyć.

- Pożyczkę płatną w walucie w Anglii?

- Nie! Nie było o tym mowy. Po prostu powiedział: jeżeli, stary, nie masz forsy, to nie krępuj się, dam ci tyle, ile tylko potrzebujesz.

- Sądząc z tej propozycji, on także dawny problem usiłował załatwić pieniędzmi. Widocznie z tą wyspą nie było wszystko tak, jak to Sęp przedstawiał.

- Był bardzo pewny siebie. Ale naturalnie mógł blefować!

- Czym może pan jeszcze uzupełnić swoje informacje?

- Jeśli chodzi o przebieg zajścia i samą śmierć Lechnowicza, opisałem to wiernie w moich zeznaniach. On rzeczywiście skonał siedemnaście minut po dziesiątej. Zatałem tylko to, co już powiedziałem dzisiaj. Właściwie to ja od razu wątpiłem w zawał.

- A kto go zabił, według pana?
- Ten, kto zyskiwał na tej śmierci - odpowiedział Anglik.
- Is fecit cui prodest - Niemiroch zacytował klasyczną formułę prawa rzymskiego. - Cały sęk w tym, że ciągle nie możemy się dowiedzieć, kto korzystał na tej śmierci.

- Nie znam układów, jakie łączyły ludzi zgromadzonych w sobotę w willi państwa Wojciechowskich, i nie wiem, jakie nienawiści wchodziły w grę. Natomiast rozumując pojęciami człowieka z Zachodu sprawa jest dla mnie zupełnie jasna. Daję panu pułkownikowi dowód mojej zupełnej szczerości, bo to, co teraz powiem, najbardziej obciąża chyba mnie. Powodem zabójstwa był wynalazek docenta Lechnowicza.

W tej grze Adam Niemiroch także postanowił być zupełnie szczery i zapytał:

- Jaki wynalazek? Nic o nim nie wiemy.
- Jak pan pułkownik wie, jestem specjalistą od wysokich prądów. Nasze laboratoria w Cambridge reprezentują najwyższy poziom światowy. Mamy unikalną aparaturę. Dlatego też często różne koncerny angielskie i zagraniczne zwracają się do nas o pomoc. Zresztą, jak się orientuję, polskie placówki naukowe także ściśle współpracują z waszym przemysłem.

- To zupełnie zrozumiałe - potaknął Niemiroch.
- Otóż przed kilkoma miesiącami wielki amerykański koncern lotniczy zwrócił się do mnie z prośbą o zbadanie właściwości fizycznych pewnej materii. Nowego tworzywa sztucznego. Na pewno u siebie także przeprowadzali badania, ale chcieli skontrolować własne wyniki. Z tym koncernem, a właściwie z szefem jego zakładu doświadczalnego, pracuję od lat. U nas w Anglii takie współprace są powszechnie przyjęte i całkowicie legalne. Przywożąc osobiście do Anglii próbki potrzebne do doświadczeń, ten pan zdradził mi, kim jest wynalazca. Nazwisko i nazwę koncernu, który on reprezentuje, pułkownik pozwoli, że przemilczę. Nie ma to zresztą żadnego znaczenia w tej sprawie. Dodam tylko, że nowe tworzywo okazało się prawdziwą rewelacją. Znacznie twardsze od najtwardszej stali, za to dużo lżejsze.

Pozwalające się bardzo łatwo formować w dowolne kształty i odporne na bardzo wysokie temperatury. Całkowicie niepalne. Nie poddające się wysokim prądom o mocy uderzenia pioruna. Idealny materiał dla przemysłu lotniczego. Wymaga jednak jeszcze sporo pracy dla usunięcia posiadanych także wad. Ku wielkiemu swojemu zdziwieniu dowiedziałem się, że jest to wynalazek polskiego chemika, Stanisława Lechnowicza.

- Pan przypuszcza, że przekupiono docenta, aby im sprzedał ten wynalazek?

Anglik uśmiechnął się lekko:

- A fe! Któż dzisiaj używa tak brzydkich wyrazów. „Przekupiono”. Od czasu wielkiej afery łąpówkarskiej Lockheeda te metody zostały definitywnie zarzucone. Używa się innych, bardziej eleganckich. Na przykład, w odpowiednim czasie wpłynęłoby do Polski zaproszenie do zwiedzania fabryk tegoż koncernu. Zaproszenie obejmowałoby listę kilku czy nawet kilkunastu dyrektorów, w skali koncernu to nie jest żaden wydatek, i kilku polskich uczonych. Między innymi Lechnowicza. W czasie wycieczki dyrekcja koncernu zaproponowałaby wymianę fachowców. Powiedzmy, na okres jednego roku. Taką ofertę wasz przemysł, który w porównaniu z amerykańskim jest o krok za nim, przyjąłby z wielkim zadowoleniem. Albo jakaś amerykańska fundacja ofiarowałaby kilka stypendiów dla polskich chemików i fizyków. Na każdej z tych list figurowałoby nazwisko Lechnowicza.

• Rozumiem - domyślił się pułkownik. - Docent wyjechałby razem ze swoim wynalazkiem?

• Jest pan dość blisko, ale metody działania wielkich koncernów są dzisiaj jeszcze bardziej subtelne. Mając formułę i sposób produkcji jakiegoś twrzywa sztucznego łatwo jest otrzymać trochę inne, o prawie identycznych właściwościach. Przytoczę znany przykład: nylon, perlon, stilon różnią się nazwami i innym sposobem produkcji, a właściwości mają, praktycznie biorąc, te same.

• A ile by dostał Lechnowicz?

• Tyle, ile zdołałby wytargować. Sądzę jednak, że najmniej sto tysięcy dolarów. Zapłacono by mu oficjalnie za jakieś opracowanie, które nie budziłoby żadnych podejrzeń. Może nawet dla zachowania wszelkich pozorów i inni polscy chemicy otrzymaliby jakieś na wasze stosunki wysokie wynagrodzenie za różne pomysły racjonalizatorskie. W wielkich zakładach przemysłowych o pomysł racjonalizatorski nie jest trudno. Zwłaszcza kiedy się jest prawdziwym, zdolnym uczonym. Być może, że Lechnowicz otrzymawszy poważną kwotę nie powróciłby do

Polski, ale sprawę tak by przeprowadzono, że najmniejszy cień podejrzeń nie padłby na koncern.

- A jednak ciągle nie widzę zabójcy.

• Tu są dwa warianty: pierwszy to konkurencja. Zdobyć przez jeden koncern takiego rewelacyjnego tworzywa postawiłoby w trudnej sytuacji całą konkurencję. Przynajmniej na dwa, trzy lata, zanim inni nie zdobyliby podobnego materiału. Znowu posłużę się znanym przykładem. Wynalazek długopisu doprowadził prawie do bankructwa amerykańskie fabryki wiecznych piór i ołówków. Dopiero kiedy wykradły nowy pomysł i same wprowadziły go do produkcji, uniknęły krachu, ale i tak poniosły milionowe straty. Skończyło się na wieloletnich procesach sądowych. Tej konkurencji opłacało się kupić pół grama cyjanku potasu, żeby Lechnowiczowi zamknąć usta. Mówiąc szczerze najbardziej podejrzany jest przedstawiciel konkurencji, czyli właśnie ja. Ale gdybym nim był, nie zdradzałbym panu pułkownikowi całego mechanizmu działania.

- Pan wspominał o dwóch wersjach. Jaka jest ta druga?

• To proste. Polski kontrwywiad. On też mógł być zainteresowany, aby ważny dla obronności kraju wynalazek nie wywędrował za ocean.

- Poniosła pana fantazja, profesorze.

• Na początku rozmowy podkreśliłem, że patrzę na te sprawy oczyma człowieka Zachodu. Pańską sprawą, pułkowniku, jest wysnucie z moich zeznań takich wniosków, jakie pan uzna za stosowne,

- U nas takich metod się nie stosuje. Może pan to sobie dobrze zapamiętać.
- Piękny polski romantyzm. Jedyna oaza w Europie.
- Być może - zgodził się pułkownik. - Jesteśmy z niego dumni.

• Wracając do sprawy - dodał Lepato - pod względem technicznym zabójstwo Lechnowicza nie przedstawiało trudności dla nikogo z obecnych w willi Wojciechowskiego. Kieliszki stały mniej więcej w równej odległości od dwóch stolików. Coraz to ktoś z grających podchodził do barku, aby wypić trochę koniaku czy likieru, soku pomarańczowego albo coca-coli. KCN, cyjanek potasu, jest związkiem chemicznym łatwo rozpuszczalnym w różnych płynach. Między innymi w alkoholu. Lechnowicz tego wieczoru nie żałował kolekcji profesora Wojciechowskiego. Wystarczyło więc wrzucić truciznę do kieliszka i dalej grać w brydża. Można było spokojnie oczekiwać, że prędzej czy później docent podejdzie do

barku i szybko przeniesie się w zaświaty, jak to ładnie określają poeci.

- Czy nie zauważył pan, żeby ktoś jeszcze przed tą kłótnią brydżową był nadmiernie podniecony lub za opanowany jak na rozrywkowe spotkanie towarzyskie.

- Pan myśli o mordercy?

- Przypuszczam - wyjaśniał pułkownik - że człowiek decydujący się na wrzucenie trucizny do kieliszka lub już po jej wrzuceniu do koniaku Lecimowicza musiał przeżywać bardzo silne emocje. On jeden wiedział, co się stanie za chwilę. Dlatego albo objawiał nienaturalne podniecenie, albo panując nad swoimi nerwami zachowywał taki spokój, że tym się wyróżniał. W każdym razie odbiegał od normy. Przecież to nie jest ktoś, kto codziennie wyprawia swoich bliźnich w daleką podróż bez powrotnego biletu.

- Zbrodniarz był przebiegłym człowiekiem. Doskonale wybrał moment wsypania trucizny do koniaku. Mógł przecież załatwić Lechnowicza jeszcze przed kolacją. Wolał jednak nie tracić tak wyrafinowanej uczyty, jaką było przyjęcie u profesora. A po kolacji, rozgrzani dobrym jedzeniem i jeszcze lepszymi napojami, wszyscy byli na małym rauszu. Jeśli morderca nawet był bardziej podniecony od innych, ci pozostali nie byli w stanie tego zauważyć.

- Słuszne spostrzeżenie.

- Panie pułkowniku - Henryk Lepato przyjął ton bardziej uroczysty - daję słowo honoru, że powiedziałem wszystko, co mi było wiadomo. Nawet nieco więcej, bo sam się postawiłem w podejrzanym świetle.

- Zeznania pana profesora mogą okazać się dla nas ogromnie cenne. Bardzo panu dziękuję. Proszę jeszcze odpisać protokół przesłuchania świadka, Na każdej stronie u dołu i na końcu zeznań. Czytelnie, pełnym imieniem i nazwiskiem.

Anglik dokonał żądanych formalności.

- Pozostaje mi tylko - pułkownik Niemiroch podniósł się zza biurka - pożegnać pana profesora i życzyć mu szczęśliwej podróży. Mam nadzieję, że ten pierwszy niezbyt udany przyjazd do kraju nie zniechęci pana do powtórnych odwiedzin.

Rozdział VIII

Coraz więcej podejrzanych

- Diabli mnie brali, kiedy słuchałem tego angielskiego lalusia. Myślałem, że wyskoczę zza maszyny, jak on mówił, że Lechnowicza zamordował polski kontrwywiad. Z jaką chęcią trzepnąłbym go w tę wygoloną twarz. A jak on podkreślał „my ludzie Zachodu”.

Niemirowicz śmiał się widząc wzburzenie porucznika Mierzejewskiego.

- Mój drogi, do pewnego stopnia Lepato miał rację. Tam, na Zachodzie, w Stanach Zjednoczonych czy w jakimś stopniu w Anglii, walka konkurencyjna jest bezpardonowa. Jeden trup to żaden ewenement w tych zapasach.

- Ale nie nasz kontrwywiad.

- Nasz na pewno nie. Ale czy inny nie postąpiłby w ten sposób? Nie wiem!

• Przecież to Polak z pochodzenia - porucznik nie mógł się uspokoić. - Jak on mógł coś podobnego nawet pomyśleć.

- Podobno nowo nawróceni są najbardziej prawowierni. A właśnie dawny Henryk Lepatowicz, a dzisiejszy Lepato jest takim nowo nawróconym na wiarę zachodnią. Czego więc od niego wymagasz?

- Jeszcze teraz cholera mnie trzęsie.

- Niemniej sądzę, że tym razem Anglik powiedział prawdę i niewiele ukrył przed nami. Nie było sensu zatrzymywać go dłużej w Warszawie. Nie przypuszczam, aby popełnił zbrodnię. A jeżeli nawet tak, to poczynimy odpowiednie kroki.

- W czasie przeszukiwania mieszkania zmarłego - wyjaśniał Roman Mierzejewski - nie znaleźliśmy żadnej podejrzanej korespondencji ani prac naukowych dotyczących jakichś tworzyw sztucznych. Nie było także żadnych próbek.

- Jeżeli naprawdę Lechnowicz kombinował z koncernem amerykańskim, to był zbyt szcwanym lisem, aby przechowywać w domu jakieś obciążające go dowody. Będziecie musieli dyskretnie popytać o te sprawy w Zakładzie Chemii PAN.

- Mam tam znajomego, młodego inżyniera. Może od niego zdołam się czegoś dowiedzieć. Jeszcze dzisiaj spróbuję go złapać telefonicznie i umówić na spotkanie.

- Tak, to niezły pomysł. Wolałbym unikać rozgłosu.

- Najpierw pojedę do Biura Historycznego Wojska Polskiego - zaproponował porucznik. - Jeżeli ten fragment zeznań Lepaty okaże się fałszywy, będziemy mieli dowód, że i w innych opowiadaniach Anglika mało było prawdy.

Adam Niemiroch roześmiał się.

- Ponosi cię zapalczywość, Romeczku. Za bardzo ci się ten profesor z Cambridge nie podobał. To nie on przecież opowiadał o Biurze Historycznym, gdzie rzekomo mają się znajdować dokumenty wyjaśniające wyspę w Szarych Szeregach. Anglik powtarzał nam słowa Lechnowicza, że jego sprawa została wyjaśniona i Lepato może to sprawdzić w Biurze Historycznym. A to duża różnica. Poza tym zapominasz, którą godzinę mamy w tej chwili. Dochodzi czwarta po południu. Nie złapiesz więc ani twojego inżyniera z PAN-u, ani nikogo w Biurze Historycznym. Na dzisiaj kończymy pracę, a jutro z rana najpierw idź do wojskowych. A z inżynierem umów się na popołudnie. I tak odwaliliśmy kawał roboty. Dochodzenie zaczyna ruszać z miejsca.

- Z szybkością żółwia.

- Ty byś chciał od razu rakiety kosmicznej. Zanim ustalimy, kto wyekspediował Lechnowicza na tamten świat, jeszcze sporo wody w Wiśle upłynie. Grunt jednak, że zaczęło się coś dziać. Najważniejsze, że prysła solidarność grupy przyjaciół. Teraz każdy z pozostałych postara się dorzucić cegiełkę do naszego gmachu.

- Aż powstanie ceka śmierci dla mordercy - roześmiał się porucznik.

- Można to i tak ująć. Na razie nikt więcej dobrowolnie się nie zgłosił. Wobec tego my musimy przejąć inicjatywę.

- Kogo wezwać na jutro?

- Jutro nie ma na to wiele czasu. Ja mira odprawę w Komendzie Głównej, a nie wiem, ile ty stracisz godzin w Biurze Historycznym. Ale gdzieś około pierwszej powinienem być wolny. Może i ty zdążysz się uporać. Byłoby więc wskazane zaprosić jedną osobę do spowiedzi.

- Może tę Mariolę Boweri? Nie przypuszczam, aby miała wiele do powiedzenia.

- Jak chcecie, może być pani Boweri. Kolejność przesłuchiwania pozostałej siódemki nie gra większej roli.

Nazajutrz porucznik Mierzejewski zjawił się w Pałacu Mostowskich dopiero po godzinie dwunastej. Ponieważ pułkownik Niemiroch zdążył już wrócić z Ksawerowa, natychmiast przyjął swojego podwładnego.

- Miałem dużo szczęścia - meldował porucznik - że udało mi się w Biurze

Historycznym trafić na pewnego pułkownika, który sam był w Szarych Szeregach. Wprawdzie nie uczestniczył w tamtej wyspie, ale słyszał o niej i co ważniejsze, wiedział, gdzie szukać odpowiedniego materiału historycznego. W przeciwnym razie musiałbym się przebijać przez ogromną stertę najrozmaitszych dokumentów. A tymczasem, dzięki tak cennej pomocy, odnalezienie właściwej teczki zajęło mi nie więcej niż półtorej godziny.

- No i co?

• Anglik mówił prawdę. Znalazłem nawet jego dawne nazwisko w spisach Szarych Szeregów. A także i Stanisława Lechnowicza. W sprawie przyszłego docenta prowadzono w Szarych Szeregach specjalne śledztwo. Mało brakowało, aby nie wydano na niego wyroku. Takie pomyłki na pewno mogły się zdarzyć. A jednak okazał się niewinnym. Rzeczywiście o działalności tej komórki doniósł jakiś agent gestapo, który umiejętnie zawrócił głowę siostrze jednego z młodych konspiratorów. Zastrzelono go w rikszy na Tamce.

• No to mamy z głowy ten kłopot - stwierdził pułkownik. - A jak tam Zakład Chemii PAN? Czy coś zwojowałeś?

• Umówiłem się ze znajomym inżynierem na piątą po południu w kawiarni „Danusia”.

Niemiroch lekko się skrzywił:

• Spokojniejszego lokalu nie mogliście wybrać. Naprzeciwko dworca, zawsze duży ruch. Przyjezdnych i miejscowych...

• Jemu było najwygodniej, bo mieszka poza Warszawą. A stamtąd do Dworca Śródmieście kilka kroków. Zastrzegał się od razu, że niewiele czasu mi dzisiaj poświęci. Ale to nic. Byleby wiedział, o co mi chodzi. Później się dowie wszystkiego. To solidny facet. Nie rozgada i nie zrobi nam kawału. Można na nim polegać.

- To świetnie.

• Czy pan pułkownik sam będzie przesłuchiwał tę aktorkę?

• Wolę zaufać twojemu czarowi osobistemu. Z młodą, ładną babką prędzej się dogadasz niż ja, stary dziad.

• Niejednego młodego pan pułkownik by przeskoczył.

• Gadaj sobie zdrów. Naturalnie, jak ją przesłuchasz, przyjdź do mnie natychmiast i powiedz, czegoś się dowiedział.

- Czy mam sporządzić oficjalny protokół zeznania?

- Sam się zorientujesz, co trzeba robić. Grunt, żebyś z niej jak najwięcej wyciągnął o Lechnowiczu. Mieszkała u niego przez kilka miesięcy, będzie chyba mogła coś niecoś powiedzieć o swoim narzeczonym.

Pani Mariola kazała na siebie czekać aż dziesięć minut. Nawet nie uważała za stosowne usprawiedliwić spóźnienia. Dla niej było jasne, że wszyscy powinni czekać na piękną kobietę. Była rzeczywiście przystojna, chociaż tym wulgarnym rodzajem urody kobiecej. A poza tym za mocno się malowała. To może byłoby dobre przed kamerą czy wieczorem w lokalu, ale nie w południe, w gmachu Komendy Milicji. Wbrew insynuacjom mecenasowej Janiny Poturyckiej, artystka miała dopiero dwadzieścia pięć lat. Z wykształceniem było gorzej. Szkoły Teatralnej czy Filmowej nawet nie widziała. Matury „ze względu na zły stan zdrowia” także nie udało się jej uzyskać.

Mariola nie miała nic przeciwko pisaniu protokołu, chociaż wizytę w Komendzie Milicji traktowała jako spotkanie towarzyskie.

- Jak się cieszę - powiedziała - że rozmawiam z panem, a nie z tym starym pułkownikiem. Nadymał się jak purchawka i myślał, że kogokolwiek nastraszy. Takim to w przedszkolach dzieci straszą.

Porucznik taktownie milczał, zaś aktoreczka szczebiotała nadal:

- Ach, jak ja panu zazdroszczę. To wspaniała rzecz mieć taką pasjonującą pracę. Nie to co ja, całymi dniami w studio po kilkanaście razy powtarzać przed kamerą ten sam ruch. Nieraz aż się mdło człowiekowi robi. A reżyserzy najczęściej sami nie wiedzą, czego chcą. Teraz także ledwie się wyrwałam.

Mierzejewski najmniejszym drgnięciem twarzy nie zdradził, że jest dobrze poinformowany. Mariola od dość dawna nie występowała nawet jako statystka w żadnym z kręconych w Warszawie filmów. I nie zapowiadało się, żeby jej sytuacja miała w najbliższej przyszłości ulec zmianie.

- Nasza praca tylko z zewnątrz wygląda efektownie. A naprawdę to tylko żmudne zbieranie różnych wiadomości. Poszukiwanie jakichś chuliganów, którzy włamali się do budki z piwem. Bardzo rzadko trafia się taka przyjemność jak rozmowa z młodą, piękną i inteligentną kobietą.

Mariola nie wątpiła, że tą kobietą jest właśnie ona.

- A i to spotykamy się przy okazji tego strasznego wypadku na Prezydenckiej.
- Tak, to było nieprzyjemne zdarzenie. Ogromnie żałuję, że dałam się namówić na pójście do Wojciechowskich.

- Pani ich znała?

• Nie. Co mnie obchodzi jakiś stary grzyb i jego brzydula? Tylko że Lechnowicz tak mnie namawiał, że musiałam to dla niego zrobić. Po prostu na pożegnanie jeden dobry uczynek.

- Jak to na pożegnanie? Pani wiedziała, że umrze? Mariola wybuchnęła śmiechem. Z kategorii tych „perlistych”, dobrze wystudiuowanych.

• Może pan jeszcze podejrzewa, że to ja go zabiłam? Nie, po prostu miałam go już dosyć. Po same dziurki od nosa.

- Oooo?

• Powiem panu otwarcie, że to był łobuz.

• Niemożliwe!

• A tak. Dziwkarz. Czy pan może sobie wyobrazić, że on mnie chciał zdradzić?

• Co pani powie? - Mierzejewski usiłował wywołać na twarzy wyraz niezmiernego zdumienia.

• Tak. I to z kim? Z taką jedną lafiryndą.

• Potworne!

• Całe szczęście, że ja go przejrzałam. Mnie on całkowicie obrzydł. Skąpy, bez gestu, bez żadnych znajomości. A blagier i przechwalacz. Co on mi nie naopowiadał! Czego on rzekomo nie zrobił! Nie było kobiety w Warszawie, żeby jej nie miał. A w gruncie rzeczy to było kompletne zero. Mógł uwodzić studentki, które chciały mieć trójkę czy czwórkę na egzaminie. Nikogo więcej.

- Podobno jednak był bardzo zdolnym chemikiem.

Pani Boweri machnęła ręką.

• Nie wiem. Ale jestem przekonana, że tylko się przechwalał. Jak zwykle. U niego wszyscy byli durniami, a tylko on geniuszem. Wojciechowski niczego by nie dokonał, gdyby nie on. Nawet dziecko pomógł mu zrobić. Specjalnie poszłam na Prezydencką, żeby się przyjrzeć temu profesorowi. Facet stary, ale od pierwszego wejrzenia widać, że nadziany. Zauważył pan, jaki brylant na palcu nosi ta Elżbieta? Za dwieście tysięcy go nie kupi. Willa warta z półtora miliona. A co Lechnowicz? M-3 w spółdzielni lokatorskiej i pensyjka docenta. Czasem jakieś dodatkowe obrywki. Za jedną główną rolę w zagranicznym filmie dostanę tyle, ile by pan docent do końca najdłuższego życia nie zarobił. Jak taki może podskakiwać do Wojciechowskiego? O

swoich stosunkach tyle mi naopowiadał, a jak przyszło co do czego, to okazało się, że nie zna żadnego reżysera, nawet w Polsce. O tym ze Związku Radzieckiego to mi kłamał w żywe oczy. Kiedy zatelefonowałam do Moskwy, tamten mi odpowiedział, że żadnego pana Lechnowicza nie zna i nigdy nic o takim nie słyszał.

- Podobno jednak dokonał jakiegoś wielkiego wynalazku?

• Wynalazku? Pierwsze słyszę. Na pewno pana zbujał. Przecież on by się tym chwalił dniami i nocami. A tymczasem nigdy najmniejszego słówka o żadnym wynalazku nie słyszałam. Przechwalał się, że jak mu się praca w Zakładzie znudzi, to wystarczy, aby kiwnął palcem, a amerykańskie koncerty będą się o niego biły. Ale kiedy powiedziałam, to zrób coś, żeby się zaczęły bić, śmiał się i tłumaczy że jeszcze nie czas. Jak przyjdzie pora, to o nim usłyszę.

- Listy z zagranicy otrzymywał?

• Jakież pisma zagraniczne przychodziły. Czasami jakieś prospekty reklamowe. Ale to wszystko. Mój młodszy braciszek jest wielkim filatelistą, ale Stach nawet mi nie pozwolił znaczka oderwać od koperty. Sam je zabierał. Mówił, że jakimś woźnemu daje. A kiedy wzięłam z jego biurka kolorowy znaczek, chyba Madagaskaru, to myślałam, że mnie pobije, tak się na mnie rzucił.

- Taki był skąpy?

- Skąpy nawet nie był. Po prostu goły. Co on miał? Głupie osiem czy dziewięć tysięcy miesięcznie. Może i tego nie wyciągał?

Porucznik potakiwał. Nie wyjaśnił pani Boweri, że to i tak prawie dwie pensje młodego oficera milicji.

- Pan rozumie, kobieta musi mieć odpowiednią oprawę. Zwłaszcza artystka.

• Oczywiście - porucznik potwierdził bez wahania. - Pani ma taki piękny głos, powinna pani także śpiewać.

• Rzeczywiście mam niezwykły głos - skromnie przytaknęła pani Boweri - ale po prostu me mam siły walczyć z tą kliką.

Mierzejewski ze zrozumieniem pokiwał głową.

• Wracając jednak do Lechnowicza, jest faktem, że ktoś go zabił. Jak pani myśli, kto? Może pani zauważyła coś podejrzanego?

- Kto zabił? To dla mnie nie ulega najmniejszej wątpliwości.

• Kto?

- Ten doktor. Jakże mu tam? Już wiem, Jasińczak.

- Dlaczego doktor?

• Żeby pan widział, jak ta jego Krysia wodziła ślepiami za Stachem. Gdyby mogła, to natychmiast, tam na Prezydenckiej, zaciągnęłaby go na górę do sypialni. My, dziewczyny, umiemy to spostrzegać. Ale i doktor nie był ślepy. Cały wieczór ich pilnował, żeby się nie zwąchali. Jednak nie zdołał przeszkodzić. Był taki moment przed kolacją, że doktorowa pauzowała i poszła do kuchni niby w coś wyręczyć Elżbietę, która wtenczas grała. A Stach akurat rozłożył karty na stole, bo jego partner rozgrywał. Lechnowicz poszedł rzekomo do łazienki, ale widziałam, że pozorował, bo otworzył drzwi, zamknął je i zaraz wszedł do kuchni. Siedział tam tak długo, że partnerzy musieli czekać z rozpoczęciem następnej licytacji. Myślałam, że Jasieńczaka szlag trafi. Wtedy przegrał głupie trzy trefle bez dwóch, chociaż mógł zrobić szlemika.

- Ale żeby aż zabić?

• Pan nie wie, do czego jest zdolny starzejący się mąż młodej żony, która nagle poczuła wolę bożą. Może zresztą nie nagle? Może ten układ już się przedtem zawiązał? Ja nie byłam zazdrosna i nie pilnowałam Stacha. Ani nie potrzebowałam wodzić za nim oczyma.

• Dziwię się - zauważył Mierzejewski - że ludzie mogą się przy kartach tak pokłócić, aby doszło prawie do bójki. Przecież nie grali o majątek.

• Tamten brydż raczej przebiegał spokojnie. Chociaż mężczyźni, jak to mężczyźni, korzystają z każdej okazji, aby sobie nawzajem trochę nagadać. Tę ostatnią awanturę wywołał Lechnowicz.

- Nagle mu szajba odbiła?

- Na pewno nie. On nie był z tych, co tracą panowanie nad sobą.

- Więc jak to było?

• On specjalnie dążył do wywołania kłótni czy nawet bójki. Ale sam dopiero później się rozпалиł, bo na początku, ostatecznie poznałam Lechnowicza dość dobrze, z całym rozmysłem prowokował mecenasa. Pewnie wiedział, że taki gruby, krwisty facet musi być cholerykiem. Rzeczywiście, słowa Stacha podziały na adwokata jak płachta na byka. Zaraz się zaperzył i zaczął trzaskać kartami o stół.

Tylko nie rozumiem, dlaczego nazwał Stacha donosicielem?

• Pewnie w gniewie rzucił pierwszą lepszą obelgę, jaka mu przyszła na myśl - porucznik umiejętnie zbagatelizował zdobytą od Marioli wiadomość. Nikt z

zeczających nie uważał za stosowne ujawnienie tego szczegółu awantury.

- Tak nam się miło rozmawiało - powiedział - że z prawdziwym żalem myślę o rozstaniu. Ale rozumiem, że pani czas jest niezmiernie cenny. W studio pewnie na panią czekają z niecierpliwością.

Mariola spojrzała na zegarek.

- Na dzisiejsze zdjęcia zapewne nie zdążę. Oj, da mi reżyser, da!
- Bardzo przepraszam, bardzo dziękuję. Jeszcze mała formalność podpisania protokołu.

Mariola wzięła podany jej długopis.

- Tylko proszę nazwiskiem z dowodu osobistego - dodał Mierzejewski - czytelnie.
- Ach - westchnęła pani Boweri - jak ja nienawidzę tego Skowronka. Niech pan sam powie, czy można zrobić karierę artystyczną z takim nazwiskiem? Afisze „w roli głównej Maria Skowronek”. Straszne!

- Za to Mariola Boweri pięknie brzmi. I jak oryginalnie - łął porucznik.

Ale Mariola wszystko kupowała.

- Gdyby pan mnie jeszcze potrzebował, chętnie się z tak miłym oficerem zobaczę. A może byłoby wygodniej gdzieś na mieście? Proszę się jednak pospieszyć, bo właśnie mój impresario kończy rokowania z pewną zagraniczną wytwórnią. Będę musiała na dłużej wyjechać. Koniecznie chcą mnie obsadzić w paru filmach.

- W Republice Federalnej Niemiec?

- Może... Przede wszystkim jednak Paryż i Rzym. Nie wiem, jak mi się uda pogodzić te terminy. Ale trudno.

- Jakże pani zazdroścę.

Mariola machnęła lekceważąco ręką.

- Wszędzie jest ta sama orka. A o inteligentnego reżysera naprawdę trudno.

Po wyjściu aktorki porucznik chciał się zobaczyć z pułkownikiem Niemirochem, ale sekretarka poinformowała go, że „stary” wyjechał do ministerstwa i już dzisiaj prawdopodobnie nie wróci. Mierzejewski uporządkował akta sprawy i sam także opuścił Pałac Mostowskich.

Punktualnie o piątej siedział w „Danusi” oglądając dziewczęta „drugiego rzutu” i „panów na delegacji”. W parę minut później zjawił się inżynier Zakrzewski. Wysłuchał uważnie opowiadania porucznika. Mierzejewski nie wtajemniczał

przyjaciela w zeznania angielskiego profesora, Henryka Lepato, a tylko wspominał, że prowadzi śledztwo w sprawie śmierci Lechnowicza, który ostatnio dokonał rewelacyjnego wynalazku z dziedziny tworzyw sztucznych.

Zakrzewskiego zdziwiła ta informacja.

- Nic o tym nie wiem. A przecież pracowałem blisko Lechnowicza.

Badaliśmy podobny temat. Czy tobie się coś nie pomieszało? Słyszałeś dzwon, ale nie wiesz, w którym kościele dzwonili.

- Nic mi się nie mogło pomieszać - oburzył się porucznik. - Wiem, co mówię.

• Nasz zakład w ogóle nie zajmuje się sztucznymi tworzywami. To dziedzina Instytutu Tworzyw Sztucznych z Politechniki Warszawskiej.

• To wcale nie znaczy, że Lechnowicz nie mógł się tym zajmować prywatnie. Choćby w godzinach po pracy. Albo w domu.

• W probówce lub jakimś kuchennym garczku nad lampą spirytusową dokonał epokowego wynalazku? - roześmiał się Zakrzewski. - Takie cuda dawno minęły. Dzisiaj, żeby dokonać jakiegoś odkrycia z dziedziny chemii, trzeba dysponować obszernymi laboratoriami ze skomplikowaną specjalistyczną aparaturą. A także wielu pomocnikami i laborantami. Praca wymaga dokonywania tysięcy czy nawet dziesiątków tysięcy doświadczeń, zanim się uda to jedno - właściwe. A i komputery mają niemały swój udział.

• A jednak ja się nie mylę. Wiem z bardzo poważnego źródła, że Lechnowicz wynalazł wprost epokowe tworzywo sztuczne. Twardsze od stali, mniej topliwe niż wanad czy tantal, a łatwe w obróbce jak glina.

- Brednie! - Zakrzewski wzruszył ramionami.

• A mimo to proszę cię, żebyś się rozejrzał w waszym zakładzie i trochę porozmawiał na ten temat z ludźmi. Tobie będzie łatwiej niż mnie bo jesteś z branży i siedzisz w środku. Ja mógłbym tylko przyjść oficjalnie w charakterze milicjanta prowadzącego dochodzenie. A tego właśnie chcielibyśmy uniknąć. To zamyka usta ludziom. Łącznie z takimi, którzy nie mają nic na sumieniu. Poza tym stwarza niepotrzebne plotki mogące zaszkodzić sprawie.

- Chcesz ze mnie durnia zrobić?
- Daj spokój, stary!
- To tak, jak gdybym się pytał w piekarni, czy robią kiełbasy.
- A jednak proszę o tę przysługę.

- Ty mnie zawsze wykorzystujesz. Dobrze, dam się jeszcze raz nabrać.

Popytam, kto w Warszawie zajmuje się tworzywami sztucznymi, i postaram się złapać kontakt z paroma facetami z tamtej branży. Może oni będą coś na ten temat wiedzieli. Bo u nas w Zakładzie nikt się tym nie zajmuje. Nie ma nawet aparatury, która dałaby się zastosować w tym celu. Ostatecznie znam się trochę na chemii, chociaż tworzywa sztuczne nie są moją specjalnością. Ale coś niecoś stary Wojciechowski włożył mi do łba.

- Lechnowicz był uczniem i później asystentem Wojciechowskiego. Robił u niego doktorat.

- Wtedy pewnie znał się na tworzywach sztucznych.

Ale to było przeszło dziesięć lat temu. Obecnie dziesięć lat w chemii tworzyw sztucznych to więcej niż trzy wieki przed tym. A Lechnowicz dziesięć lat pracował w naszym zakładzie i zupełnie wypadł z tamtych zagadnień. No - Zakrzewski spojrzął na zegarek - czas na mnie. Postaram się jutro coś ci przekablować. Zadzwoń o około drugiej. Może już będę coś wiedział.

Rozdział IX

Gdzie jest cyjanek potasu?

- Zapomniałem wam powiedzieć, poruczniku - wyjaśnił pułkownik Adam Niemiroch - że wezwałem na dzisiaj panią Krystynę Jasińczakową. Zgłosił się także profesor Andrzej Badowicz.

- Chciał złożyć zeznania?

- Nie. Cierpkim głosem zapytał, ile jeszcze miesięcy ma siedzieć w Warszawie i czy milicja wystawi mu delegację oraz pokryje koszty diet i hotelu.

- Co pan pułkownik na to?

- Odpowiedziałem, że widocznie pobyt w stolicy mu odpowiada, bo nie kwapi się z wizytą do nas. A za cudze przyjemności nie mamy zamiaru płacić. Inni, którym na tym zależało, dawno nas odwiedzili, uregulowali swoje sprawy i nawet wyjechali za granicę. Ale jeśli profesor czeka na oficjalne zaproszenie, to je otrzyma, kiedy na niego przyjdzie kolej.

- Wtedy pękł?

- Powiedział, że gotów jest stawić się choćby natychmiast. Poprosiłem go na dziesiątą. Jasińczakową przyjdzie o dwunastą. Przesłuchamy go we dwóch.

- A dlaczego pułkownik nie wezwał także i doktora?

- Niech trochę zmięknie. Ustaliliśmy, że ten człowiek miał jak dotychczas najpoważniejsze powody do zabicia Lechnowicza. Ośmieszenie jest najlepszym sposobem zrobienia sobie śmiertelnych wrogów. A Lechnowicz bardzo ośmieszył lekarza. Nawet gdyby wszystko, co pani Boweri powiedziała o Jasieńczakowej, nie było prawdą, motyw zemsty zostaje.

- Sporo lat od tego czasu upłynęło. Całe zajście zatarło się w ludzkiej pamięci.

- Ale czy w sercu lekarza?

- Nie wiem - przyznał szczerze Roman Mierzejewski.

- W naszym dochodzeniu zaniedbaliśmy jedną sprawę - dodał pułkownik. - Musicie się tym, poruczniku, szybko zająć.

- Czym?

- Trucizną. Bądź co bądź cyjanku potasu nie znajduje się na ulicy ani nie sprzedają go w pierwszej lepszej mydlarni.

- Myślałem o tym - odpowiedział porucznik - ale sprawa wydaje się dość prosta. Oboje Wojciechowscy to chemicy. Mają pięknie urządzone laboratorium w suterenie swojej wili. Wprawdzie pewien znajomy chemik tłumaczył mi, że dla dokonania wielkich odkryć potrzebne są ogromne laboratoria, dziesiątki laborantów i specjalna aparatura, ale na wyprodukowanie ćwierci grama cyjanku potasu pracownia Wojciechowskich jest aż za dobra. Takie same możliwości miał i profesor Badowicz, a zapewne także i nasz polski Anglik, pan Lepato.

- Z tego ostatniego zrezygnowaliśmy. Pozostaje jednak piątka ewentualnych trucicieli: Janina i Leonard Poturyccy, Jasieńczakowie i pani Boweri.

- Aktoreczka chyba na to za głupia.

- Jeżeli oficer milicji prowadzący dochodzenie uważa ją za głupią, to znaczy, że jest mądry. A czy otruła, zobaczymy. Na razie trzeba sprawdzić, czy miała jakieś możliwości dostępu do trucizny. Mogła ją dostać od Lechnowicza.

- Od Lechnowicza?

- Dlaczego by nie? On także był chemikiem. Produkcja KCN i dla niego nie stanowiła ani tajemnicy, ani trudności.

- Przecież nie dałby jej takiej trucizny.

- Dlaczego? Zawsze mogła wymyślić jakąś bajeczkę, że potrzebna jest jej

trucizna jako trutka dla szczurów. Mogła na to zużyć część trucizny, a resztę zachować dla swojego narzeczonego. W tej grze musimy się liczyć z różnymi ewentualnościami.

- Sprawdzę.
- W porządku. A teraz przyszykuj się do protokołowania. Dochodzi dziesiąta, Ślązaka tylko patrzeć.

Profesor Badowicz jedynie przez telefon był złośliwy. W Pałacu Mostowskich od razu stracił na rezonie. Już nie wspominał o kosztach i konieczności powrotu na Śląsk. Podawał swoje personalia cichym, spokojnym głosem, który jednak niezupełnie maskował podniecenie.

- Pan profesor złożył nam zeznania. Niestety, tak jak i w innych protokołach dopatrzyliśmy się w pańskich oświadczeniach wielu nieścisłości - pułkownik rozpoczął właściwe przesłuchanie. - Chcieliśmy teraz dać panu szansę sprostowania pierwotnych wyjaśnień. Sam pan rozumie, że dochodzenie w sprawie o zabójstwo ma swoją wagę. Żarty się skończyły. Słucham więc pana profesora.

- W sprawach zasadniczych moje zeznania są całkowicie prawdziwe - bronił się Badowicz. - Potwierdzam je w całej rozciągłości. Grałem przy innym stoliku, sprzeczkę słyszałem piąte przez dziesiąte. Kiedy znalazłem się w drugim pokoju, Lechnowicz już nie żył, względnie dogorywał.

- A reszta?
- Jaka reszta? Że mówiłem dobrze o panu Lechnowiczu? To zwykła konwencja. O umarłych mówi się dobrze. Czy czytał pan choć jeden nekrolog, w którym zamiast „nieodżałowany, najdroższy, ceniony i ofiarny pracownik, szlachetny człowiek” byłoby napisane „z zadowoleniem zawiadamiamy o śmierci XY, nareszcie pozbyliśmy się z biura tego lenia i rozrabiaki” albo „z ulgą odetchnęłam po śmierci mojego męża pijaka - żona”.

Na samą myśl o takim nekrologu porucznik protokołujący zeznania roześmiał się prawie w głos. Pułkownik zaś uznał, że ma do czynienia z nieprzeciętnym przeciwnikiem. Dlatego zagrał ostro.

- Pan dobrze wie, że w sprawach o zabójstwo podobne konwenanse nie obowiązują.
- Kiedy składałem pierwsze zeznania - profesor uśmiechnął się - byłem pod wrażeniem zapewnień pewnego słynnego kardiologa, że śmierć Lechnowicza to

klasyczny zawał. Nie miałem żadnych podstaw, aby kwestionować opinię lekarza. Chyba pan mnie nie posądza, że od początku znałem prawdę. Znał ją przecież wyłącznie morderca. Chyba nie jestem o to podejrzewany?

- Wszyscy, którzy byli na przyjęciu w willi na Prezydenckiej, są podejrzani.

Pan także miał ważne powody, żeby otruć Lechnowicza - zablokował pułkownik.

Ślżak nie stracił zimnej krwi.

- To, że pan wie o naszej aferze - odpowiedział - ułatwia mi sytuację.

Wprawdzie docent zrobił mi pierwszorzędne świństwo, ale to jeszcze za mały powód do zbrodni. Najwyżej do dania temu łobuzowi w pysk lub oskarżenia go na forum Polskiej Akademii Nauk. Ostatecznie poza kilkunastu tysiącami złotych nic na tym nie straciłem.

• Z naszej praktyki wiemy, że i dla mniejszych sum ludzie mordują. A pańska reputacja naukowa? - Niemiroch brnął dalej.

• Reputację odzyskałem. Na szczęście miałem dowody na piśmie, że wprowadzono mnie w błąd. To właśnie Lechnowicz mógłby wyjść z tej afery z poważnym uszczerbkiem na swojej opinii „wschodzącej gwiazdy polskiej chemii”.

- Pragnienie zemsty czasami odbiera rozum.
- Nie jestem z kategorii ludzi, którzy zbyt łatwo tracą rozum.
- Proszę opowiedzieć szczegółowo o całej sprawie - zażądał pułkownik.
- Po co, skoro pan ją zna?

• Znam, ale nie z pańskich ust. Poza tym uważam, że to powinno figurować w protokole przesłuchania.

• Jak pan sobie życzy - przystał Badowicz. - Politechnika Śląska współpracuje z wieloma zakładami przemysłowymi. Opracowujemy dla nich zleczone nam zagadnienia. Między innymi z Zakładami Chemicznymi w Oświęcimiu. Uczelnia za wykonane prace badawcze wystawia rachunki, zaś ludzie zatrudnieni przy tych pracach są z tego tytułu dodatkowo wynagradzani lub premiiowani. Często zresztą otrzymują wynagrodzenie bezpośrednio z zakładu. Różne stosuje się formy. Ale wszyscy chcą mieć takie dodatkowe dochody.

- Oczywiście - potaknął Mierzejewski, który spisywał zeznania Badowicza.
- Przed przeszło rokiem otrzymaliśmy, mój zespół, pewne zlecenie z Zakładów Chemicznych w Oświęcimiu. Praca poważna, a przede wszystkim bardzo ciekawa. Nie będę tu mówił, na czym zagadnienie polegało, bo to w niczym nie łączy

się z waszym śledztwem. Poza tym są to problemy ściśle fachowe. Rozwiązywanie zadanych nam problemów potrwałoby co najmniej rok, jeśli nie znacznie dłużej. Zakładom się śpieszyło, my także byliśmy zainteresowani w jak najszybszym znalezieniu końcowej formuły. Wiedziałem, że w Warszawie, w Zakładzie Chemii PAN, bada się podobny problem. Opracował go docent Lechnowicz razem ze swoimi pomocnikami.

- Też dla Oświęcimia?

• Nie. Oni to robili chyba dla Polic czy też dla Brzegu Dolnego. Dokładnie nie wiem dla kogo, bo to mnie nie interesowało. Dość, że zaproponowałem docentowi współpracę i wymianę doświadczeń. Niektóre badania mieliśmy my robić na Śląsku, inne oni w Warszawie. W ten sposób zarówno nam, jak i im spadałoby sporo roboty i unikało się dublowania takich doświadczeń. Oczywiście wtajemniczyliśmy tych z PAN, co jest naszym tematem, oni także podali nam kierunek ich badań. Najwyżej jedna czwarta pracy różniła się. Inne zadania były identyczne. Nie muszę panu pułkownikowi tłumaczyć, jakie to ogromne skrócenie czasu.

- Co najmniej o połowę - przytaknął Niemiroch.

• Może nie o połowę, ale i tak dość znaczne. My lojalnie przekazaliśmy wyniki naszych badań do Warszawy, oni nam przysłali swoje. Z tego wyszedł wielki klops. Wszystko wzięło w łeb. Przy próbach produkcji fabryka poniosła straty, bo finalny produkt nadawał się na śmietnik. Dyrekcja fabryki nie tylko nie zapłaciła za naszą pracę, ale jeszcze oskarżyła nas o brakoróbstwo. Kiedy zaczęliśmy całą sprawę badać od początku, aby stwierdzić, co się stało, zorientowaliśmy się, że Warszawa podała nam fałszywe dane swoich doświadczeń.

- To świństwo - zauważył pułkownik.

• Wyjątkowe świństwo - potaknął profesor. - Mało tego, wiedząc o negatywnych skutkach naszej pracy, Lechnowicz zaproponował fabryce podjęcie się całej roboty. Obiecywali krótki, paromiesięczny termin rozwiązania problemu. Dyrekcja mając nóż na karku, bo przemysł domagał się uruchomienia jak najszybciej nowej produkcji, chętnie przyjęła tę propozycję. A Lechnowicz wziął nasze dane, dodał swoje wyniki, naturalnie te prawdziwe, i zagarnął ładną sumkę, już nie mówiąc o reklamie, jaką sobie w ten sposób zrobił. Politechnika Śląska osiem miesięcy pracowała nad zagadnieniem i sknociła je, zaś „wschodząca gwiazda polskiej chemii” pokonała wszystkie trudności w zaledwie trzy miesiące.

- Czyba na to zareagowaliście odpowiednio ostro?

• Ta świnka wykręciła się, że to maszynistka omyłkowo wysłała nam błędne dane. Był przy tym tak przebiegły, że na tych wynikach nigdzie nie figurował jego podpis. Pismo przewodnie sygnował kierownik administracji nie mający technicznego wykształcenia. Całą aferę opracowano koronkowo. W piśmie z przeprosinami nie brakowało „wyrazów ubolewania” i wyjaśnień „winna niedociągnięć urzędniczka została surowo ukarana”. A ja musiałem świecić oczyma, że wprawdzie pracochłonnego, ale w gruncie rzeczy łatwego problemu nie potrafiłem rozwiązać. Naraziłem się także kolegom, bo Zakłady Chemiczne w Oświęcimiu na jakiś czas zerwały współpracę z naszą uczelnią.

• Pan zeznał w czasie pierwszego przesłuchania, że umówił się pan z Lechnowiczem na poniedziałek.

• Od dawna chciałem z nim porozmawiać. Ale zawsze wykręcał się jak piskorz. Wiem, że sprawdzał listy uczestników różnych zjazdów i konferencji naukowych. Jeśli tam znalazł nazwisko Badowicz, po prostu się nie zjawiał. Jeśli wiedział, że jestem w Warszawie, przezornie wyjeżdżał na drugi kraniec Polski. Dopadłem go wreszcie u Wojciechowskich i zagroziłem, że jeżeli się ze mną w poniedziałek nie spotka, to przy pierwszej okazji dam mu publicznie w pysk.

- O czym pan chciał z nim mówić?

- O zadośćuczynieniu. Nie tylko mnie, ale całej naszej uczelni. Chciałem oficjalnego stwierdzenia, że wprowadził nas w błąd przesyłając fałszywe dane. Przeproszenia nas w fachowej prasie i wyjaśnienia przesłanego dyrekcji Zakładów Chemicznych w Oświęcimiu, że to Zakład Chemii PAN, a nie nasza uczelnia ponosi odpowiedzialność za nieudaną produkcję.

• Pan sądzi, że Lechnowicz zgodziłby się na takie pójście do Canossy?

• Mam przy sobie pismo naszego dziekana, grożącego wytoczeniem sprawy na forum prezydium PAN, a nawet skierowaniem jej do sądu państwowego. Tam nie mógłby zwać winy na maszynistkę. Proszę, oto pismo z politechniki.

Profesor podał list pułkownikowi, ten przeczytał i zwrócił dokument.

• Lechnowicz na pewno dobrze by sobie wszystko przekalkulował - ciągnął dalej Badowicz. - Ostatecznie dawaliśmy mu dość honorowe wyjście z całej afery. Tylko przyznanie się do błędu. Nie zarzucaliśmy umyślnej złej woli, bo tego nie potrafilibyśmy mu dowieść, chociaż dla nikogo z nas zła wola docenta nie ulegała

wątpliwości. Nie żądaliśmy zwrotu pieniędzy, które jemu zapłacono za naszą pracę. Mało prawdopodobne, żeby dyrekcja Oświećmnia wystąpiła przeciwko niemu o pokrycie strat poniesionych wskutek złej produkcji. Przedsiębiorstwo ma w swoim budżecie pewne kwoty na „ponoszenie ryzyka” i nie chcieliby zaczynać sporów z Polską Akademią Nauk.

- Ale w ten sposób Lechnowicz narażał swoją opinię?

• Jeszcze bardziej naraziłby ją, gdyby sprawa trafiła na forum prezydium PAN. A tak mógł liczyć, że za rok czy dwa wszyscy o tym zapomną lub całą sprawę potraktują jako drobne potknięcie „młodego naukowca”.

- Nie był takim młodym. Pod pięćdziesiątkę.

• Docent zawsze jest młody. Musi czekać, aż stary profesor umrze albo przejdzie na emeryturę. Aż do tego czasu docent jest młodym naukowcem. Z chwilą nominacji okazuje się najczęściej już za stary na tę ofiarowaną mu katedrę. Lata, kiedy można najintensywniej pracować naukowo, ma przeważnie za sobą. I przeważnie są to lata zmarnowane z punktu widzenia nauki.

- Czy pan wiedział o tym, że Lechnowicz będzie na brydżu u profesora?

• Nie tylko wiedziałem, ale orientując się, że profesor Wojciechowski znowu jest w dobrych stosunkach z docentem, sam prosiłem Zygmunta o przysługę i zaproszenie Lechnowicza na Prezydencką. Zazaczyłem jedynie, aby Wojciechowski nie uprzedzał go o mojej obecności w Warszawie.

- Dlaczego?

• To był jedyny sposób dopadnięcia Lechnowicza i zmuszenia go do rozmowy ze mną. Gdyby wiedział, że wybieram się na Prezydencką, na pewno wykręciłby się z tego brydża. Dostatecznie długo polowałem na tego pana, aby poznać metody jego postępowania. To był najlepszy sposób przyparcia go do muru.

- Czy profesor Wojciechowski wiedział o waszym zatargu?

• Nie. Specjalnie go nie wtajemniczałem, bo mógłby się nie zgodzić na mój projekt. Poza tym, gdyby doszło do sporu sądowego, właśnie nasza uczelnia miała prosić Wojciechowskiego na eksperta w tej sprawie.

- Pomimo że Lechnowicz jest jego uczniem?

• Profesor Wojciechowski jest znany ze swojej prawości. Jego orzeczenia nawet Lechnowicz nie śmiałyby negować, chociaż także narobił Zygmuntowi wiele świństw. Byłem nawet zdziwiony przywróceniem dobrych stosunków między

Wojciechowskim a docentem. Zygmunt za łatwo puścił w niepamięć jego świństwa.

- Może pan coś więcej powie na ten temat?
- Mogę powiedzieć. To tylko dobrze świadczy o szlachetności i

wielkoduszności profesora Wojciechowskiego. Otóż, jak panu wiadomo, Lechnowicz był uczniem, a następnie asystentem Zygmunta. Także u niego zrobił doktorat. Wszystko, do czego Lechnowicz doszedł, zawdzięcza Wojciechowskiemu. Również później, kiedy był już samodzielnym pracownikiem naukowym, Zygmunt nigdy nie szczędził mu pomocy. Służył zarówno swoją wiedzą i doświadczeniem, jak i wynikami nie publikowanych jeszcze swoich prac. W zamian za to Lechnowicz oskarżył profesora, że ten dopisuje swoje nazwisko na pracach magistrów i doktorantów oraz że w swoich pracach naukowych posługuje się studentami i asystentami.

- Poważny zarzut.
- Bardzo poważny.
- Czy był prawdziwy?

• Profesor każdą pracę swoich uczniów badał skrupulatnie. Niejednokrotnie nie tylko poprawiał błędy, ale proponował nowe, własne koncepcje i razem ze swoimi uczniami je omawiał. W takich przypadkach praca była wynikiem wspólnych badań i Wojciechowski miał prawo ją podpisać. To zresztą dla młodych ludzi było zarówno zaszczytem, jak i wielkim ułatwieniem dalszej kariery. W świecie naukowym nazwisko „Wojciechowski” bardzo się liczy. Blask tej sławy spadał także i na współautora. Na pewno nikt się o to nie obraził ani nie protestował. Natomiast nie zdarzyło się, aby Zygmunt „dopisał się” do cudzej pracy, którą jedynie sprawdzał. To nie leży w jego zwyczajach.

- A ten drugi zarzut?

Równie absurdalny. Prowadząc jakieś badania naukowe, żaden profesor nie wykonuje sam wszystkich czynności. Nie sprząta laboratorium, nie chodzi do magazynu po potrzebne mu chemikalia, nie zajmuje się ich dozowaniem czy też nie stoi nad retortą pilnując, kiedy mieszanina osiągnie wymaganą temperaturę. Od tego są laboranci i studenci, którzy w ten sposób zapoznają się z pracą chemika. Naukowiec powinien inicjować kierunek badań, kontrolować i sprawdzać wyniki oraz asystować przy najważniejszych pracach mających zasadnicze znaczenie dla wybranego problemu. Gdyby jednak ten naukowiec korzystał z rezultatów czyichś wcześniejszych

opracowań, powinien to lojalnie zaznaczyć w swoim doniesieniu. Profesor Wojciechowski zawsze postępował w ten sposób.

- Jak się to skończyło?
- Profesor zagroził, że ustąpi, jeżeli Rada Wydziału nie przeprowadzi

dochodzenia, a dochodzenie oczyściło Zygmunta ze wszystkich zarzutów.

Lechnowicza wylano z politechniki. Zaczepił się w Zakładzie Chemii PAN-u i tam się habilitował. Wojciechowski zerwał z nim wszelkie stosunki.

- Jednak zaprosił go na brydża.

• Zygmunt nie umiał długo chować urazy do kogoś. Sam byłem zdziwiony, kiedy po moim przyjeździe do Warszawy słyszałem z ust profesora same pochwały pod adresem docenta. Zapytałem wprost, co jest tego przyczyną. Wojciechowski wyjaśnił, że przed jakimś pół rokiem Lechnowicz zjawił się na politechnice. Najpierw u rektora publicznie przeprosił Wojciechowskiego, tłumacząc swoje postępowanie własną głupotą i złym stanem nerwów, Później jeszcze ponowił te przeprosiny w obecności współpracowników profesora. Prosił go także, aby ten pozwolił zadedykować sobie nową pracę naukową, którą Lechnowicz właśnie zamierzał ogłosić. Wojciechowski nie dość, że mu przebaczył, ale był tym głęboko rozczulony. W gruncie rzeczy Zygmunt miał do niego słabość. To rzeczywiście był najlepszy z jego uczniów. Najzdolniejszy.

- A Lechnowicz?

• Podobno od tamtej pory w samych superlatywach wyrażał się o swoim „mistrzu”. Zastrzegam, że znam tę historię z trzecich ust, bo w tym czasie docent unikał mnie jak diabeł święconej wody. Natomiast stwierdzam, że na przyjęciu docent zasypywał Zygmunta pochwałami i komplementami.

• A propos przyjęcia, czy nie zauważył pan, aby ktoś się tam nienaturalnie zachowywał? Na przykład był zbyt podniecony lub za spokojny?

- Nie.

- A co mógłby pan dodać w sprawie zdarzeń tamtego dnia?

• Zrozumiałe było, że towarzystwo zgromadzone u profesora chciało, choćby ze względu na osobę gospodarza, umknąć rozgłosu w tej sprawie. Jednakże starania w tym kierunku doktora Jasińczaka chyba poszły zbyt daleko. To nie znaczy jednak, że uważam go za sprawcę zbrodni.

- A niech pan mi szczerze powie, czy od początku nie miał pan wątpliwości,

że ten zgon nie jest normalny?

Badowicz lekko się zawahał:

- Ponieważ nienawidziłem Lechnowicza, z pewną satysfakcją pomyślałem, że nareszcie szlag go trafił. A kiedy tak słynny kardiolog stwierdził zawał, byłem daleki od kwestionowania tej diagnozy.

- A na jakiej serweteczce stał pański kieliszek?

- Na fioletowej. Doskonale pamiętam, że pani mecenasowa miała też ten sam kolor.

- Nie pomieszały się wam?

- Nie. Ja piłem koniak, ona likier „Parfait d’amour” w kolorze podobny do denaturatu i pachnący fiołkami. Jej kieliszek był zupełnie innego kształtu. Wąski, wysoki. Dlatego też mogliśmy mieć te same kolory podstawek. Pamiętam także, że pani Krystyna, żona doktora, wybrała sobie serweteczkę w kolorze żółtym. Ona zresztą także piła likier, ale inny. Ananasowy, kubański.

- A profesor Wojciechowski i jego żona?

- Pani Wojciechowska piła tylko wino. Czerwone, wytrawne. Chyba w ogóle nie używała serwetki, bo napój i kieliszek zasadniczo się różniły od pozostałych. A co do koloru serwetki Zygmunta, to doprawdy nie pamiętam.

- W laboratoriach chemicznych łatwo o cyjanek potasu?

Badowicz uśmiechnął się:

- Tak samo łatwo jak i na przykład w pracowniach przyrodniczych, w zakładach farmakologicznych czy w garbarskich. Ta trucizna, wbrew opinii laików, ma dość duże zastosowanie. I my mamy cyjanek potasu. Jest zamknięty w specjalnej szafce z truciznami i prowadzi się ścisłą ewidencję, kto, ile i w jakim celu go pobiera. Może pan sprawdzić, że przynajmniej od roku do swoich prac nie potrzebowałem tego związku.

- My wszystko sprawdzamy. To nasz obowiązek.

- Nie mam nic przeciwko temu. Zresztą jeśli chodzi o śmierć Lechnowicza, to trucizny nie trzeba szukać aż na Śląsku. Stoi ona spokojnie w pracowni chemicznej, którą sobie profesor Wojciechowski urządził w suterenie własnej willi.

- Pan widział ten cyjanek potasu?

- Oczywiście. Profesor pokazywał nam swoje domowe laboratorium.

Wewnętrznymi schodami z holu wchodzi się do tej pracowni. Na jednej ze ścian wisi

szafka z dużym napisem „Uwaga! Trucizna”. W szafce cała kolekcja najrozmaitszych słoików i buteleczek. Na samym wierzchu zauważyłem jeden z etykietką ręcznie wypisaną „Cyjanek potasu”, a w nawiasie „KCN”. Słoik był do połowy wypełniony. To by wystarczyło do wytrucia pół Katowic.

- Czy szafka była zamknięta?
- Chyba tak, ale kluczyk tkwił w zamku. Natomiast szafka wisiała bardzo wysoko. Nawet tak wysoki mężczyzna jak Zygmunt z trudem mógłby do niej dosięgnąć bez wejścia na krzesło.
- Taka wysoka suterena?
- Profesor Wojciechowski budował to pomieszczenie specjalnie na laboratorium chemiczne i nie musiał się liczyć z kosztami. Wyjaśniał nam, że dlatego, umieścił, szafkę tak wysoko, aby dziecko nie mogło do niej dosięgnąć nawet stając na krześle.
- Czy w czasie przyjęcia ktoś wchodził do laboratorium?
- Co najmniej kilka razy i kilka osób. W laboratorium jest aparat do uzyskiwania niskich temperatur. Coś w rodzaju zwykłej chłodziarki, lecz znacznie szybciej działającej i chłodzącej nie do 12 stopni, ale znacznie poniżej tej temperatury. Wojciechowscy używali tej maszyny także do produkowania kostek lodu. Kilkakrotnie profesor i jego żona w czasie tego brydża schodzili po lód. Chyba Lechnowicz także przynosił kostki lodu i bodaj że doktor Jasieńczyk. Poza tym pod pretekstem pójścia do łazienki można było zejść schodami w dół i zaopatrzyć się w cyjanek. Przecież nikt nikogo nie kontrolował.
- To prawda.
- W czasie kolacji - ciągnął dalej Badowicz - mecenas Poturycki dużo opowiadał o zdobyciu nowych okazów motyli. Podobno bardzo rzadkich. Wzbogaciły jego kolekcję, która podobno jest jedną z najwspanialszych w całym kraju, jeśli chodzi o zbiory prywatne. To hobby mecenasa. Entomolog także używa cyjanku potasu dla sporządzania zatruwaczek. Nie sądzę, żeby dla lekarza zdobycie trucizny stanowiło problem. Podstawowe znajomości chemii lekarze zdobywają na studiach, a sfabrykowanie tej trucizny nawet domowym sposobem nie jest zbyt skomplikowane. Inne sole potasu są dostępne w każdej aptece. Wystarczy wypisać receptę. Mówię to dlatego, aby pułkownik nie podejrzewał tylko nas, chemików, o popełnienie zbrodni. Bez zaglądania do laboratorium Wojciechowskiego każda z osób obecnych na brydżu

mogła zaopatrzyć się w truciznę. Każda też mogła zrobić z niej odpowiedni użytek, bo każdy mógł podejść do barku, gdy reszta była zajęta grą, i niepostrzeżenie wsypać cyjanek do kieliszka Lechnowicza.

- Ale kto to zrobił?

• Znalezienie sprawcy należy do panów. Życzę powodzenia, chociaż, jak już zaznaczyłem, nie oplakuję tego zgonu. Co do mnie, powiedziałem wszystko, co wiedziałem. Jeśli to się wam na coś przyda, będę z tego rad.

Pułkownik Niemiroch podziękował profesorowi za „tym razem szczere zeznania” i poprosił go o dopełnienie formalności podpisania protokołu. Badowicz bardzo dokładnie przestudiował maszynopis sporządzony przez porucznika Mierzejewskiego i w paru miejscach zaproponował poprawki tekstu. Następnie złożył na dokumencie swoje podpisy.

- Czy długo mam jeszcze tkwić w Warszawie? - zapytał.

• Pańska wola, nawet tylko do najbliższego pociągu odchodzącego do Katowic. Jeżeli będziemy jeszcze czegoś od pana potrzebowali, znajdziemy pana na Śląsku. Jednakże dla formalności, gdyby pan wyjeżdżał gdzieś na dłużej, proszę nas zawiadomić i podać nowy adres.

- Nigdzie się nie wybieram - Badowicz pożegnał się i wyszedł z gabinetu.

• Im więcej ludzi przesłuchujemy, tym bardziej zwiększa się krąg podejrzanych - roześmiał się porucznik. - Początkowo wykluczaliśmy Badowicza, teraz widać, że i on także miał powód, aby pozbyć się Lechnowicza.

- To, czego się dowiadujemy o ludziach zgromadzonych w sobotę na ulicy Prezydenckiej, jest coraz ciekawsze - stwierdził Niemiroch. - Rzuca dużo światła zarówno na ofiarę, jak i pozostałych uczestników brydża, ale to nadal nie daje nam odpowiedzi na dwa zasadnicze pytania: kto i dlaczego?

- Dla mnie, jak na razie, najbardziej podejrzany jest doktor Jasieńczak.

• Dlaczego? - zapytał pułkownik. - Czy dlatego, że chciał zatuszować sprawę? Być może, że każdy z nas na jego miejscu postąpiłby podobnie..

• Nie o to chodzi. Ale Jasieńczak miał aż dwa powody do rozprawienia się z Lechnowiczem. Pierwszy to ośmieszenie lekarza w tym procesie o zaprzeczenie ojcostwa. Drugi zazdrość. Jasieńczakowa, być może, nadal zachowała wiele sympatii czy nawet uczucia do swojego byłego męża. Wzięła udział w pogrzebie i nawet parę razy sięgała po chusteczkę, żeby dyskretnie otrzeć łzy. Moi ludzie obserwowali ten

pogrzeb. Nikt tam nie był tak przejęty jak pani Krystyna.

Rozdział X

Jeszcze jeden podejrzany

Pani Krystyna Jasińczakowa, w przeciwieństwie do Marioli Boweri, zjawiała się w komendzie milicji już piętnaście minut przed wyznaczonym terminem. Była zaleźniona. W milczeniu usiadła na wskazanym jej miejscu. Personalia swoje podawała tak cichym głosem, że porucznik Roman Mierzejewski musiał jej po dwa razy zadawać te same pytania.

- Imię i nazwisko?
- Krystyna Jasińczak.
- Nazwisko panieńskie?
- Kowalska.
- Rok urodzenia?
- Siódmy września 1935 roku.
- Miejsce urodzenia?
- Siedlce.
- Wykształcenie?
- Inżynier magister chemii.
- Miejsce pracy?
- Spółdzielnia Pracy „Sobol”.
- To jakaś spółdzielnia kuśnierska?
- Nie. Garbarska. Garbujemy szlachetne skóry. Norki, lisy, nutrie i tym

podobne.

- Liczba dzieci?
- Dwoje: syn i córka.
- Czyje to są dzieci?
- Jak pan śmie! - Jasińczakowa zrobiła się z gniewu purpurowa.

- Pytam o to, bo pani w dalszym ciągu ukrywa, że doktor Jasińczak nie był pani pierwszym mężem. A dzieci mogą być z różnych małżeństw.

- Przedtem byłam żoną Stanisława Lechnowicza. Nie miałam z nim dzieci.

Jeśli panu chodzi o proces o zaprzeczenie ojcostwa, to była podła insynuacja Lechnowicza, który postanowił się zabawić naszym kosztem.

- Pani pracowała w szpitalu? W jakim charakterze?
- Jako pielęgniarka.
- Przecież przed chwilą pani zeznała, że jest pani magistrem inżynierem chemii.

• Po maturze nie dostałam się na politechnikę i skończyłam roczny kurs pielęgniarski Polskiego Czerwonego Krzyża. Wtedy istniały takie kursy i kto miał maturę, zdawał egzamin i otrzymywał dyplom pielęgniarski. Kiedy rozeszliśmy się z Lechnowiczem, byłam na trzecim roku studiów chemicznych. Zostałam bez żadnych środków do życia, bo na skutek zabiegów mojego eks-mąża nawet nie dano mi stypendium. Przerwałam więc studia i poszłam do pracy w szpitalu. Kiedy wyszłam ponownie za mąż, za doktora Jasińczaka, wróciłam na Politechnikę Warszawską i skończyłam chemię.

- Wszystkie wiadomości trzeba z pani wyciągać jak wiadro z bardzo głębokiej studni. Czy pani naprawdę przypuszcza, że my nic nie wiemy i w niczym się nie orientujemy? To się pani grubo myli.

Krystyna Jasińczakowa znowu się zaczerwieniła. Miała łzy w oczach.

• Czy to dziwne, że nie lubię wracać do tamtych czasów? Najadłam się wtedy dużo upokorzeń, kpin i zwykłej nędzy.

• Co było powodem waszego rozvodu z Lechnowiczem?

• Chyba mu się znudziłam. Byłam młodym, zahukanym stworzeniem, zagubionym w stolicy po przybyciu z małego miasteczka, jakim wtedy były zniszczone wojną Siedlce. A Stach coraz bardziej dochodził do przekonania, że dla dalszej kariery potrzebna mu reprezentacyjna żona. Zamiast jednak rozejść się po ludzku, Lechnowicz urządził przedstawienie. Pewnego dnia uczyłam się z jednym z kolegów do jakiegoś egzaminu. Często uczyliśmy się wspólnie z tym kolegą. U mnie w domu. Lechnowicz wpadł, zrobił awanturę, że go zdradzam, wyrzucił mnie z domu, zamknął drzwi na klucz i nawet nigdy nie oddał mi moich osobistych rzeczy. Twierdził, że wszystko mi kupił za własne pieniądze.

• Przecież mogła pani pójść ze skargą do milicji.

• Byłam młoda i głupia. Miałam dwadzieścia jeden lat. Zupełnie straciłam głowę. Nie miałam nikogo, kto mógłby mi coś pomóc czy doradzić. Kilka tygodni

tułałam się po koleżankach, w końcu, zmuszona głodem, wzięłam pracę pielęgniarki w szpitalu, gdzie także pozwolono mi mieszkać w jakiejś dyżurce. W dwa lata później Lechnowicz urządził nowe przedstawienie, jeszcze głośniejsze, tym razem już na całą Warszawę, z wnioskiem o zaprzeczenie ojcostwa.

- A jednak poszła pani na jego pogrzeb i była bodaj jedyną osobą, która uroniła parę łez nad tym grobem.

- To tylko dowodzi, że do dzisiaj nie zmądrzałam.

- Muszę pani zadać jeszcze jedno niedyskretne pytanie. Lechnowicz dość szeroko rozповідаł, że wystarczyłoby mu, jak mówił, „gwizdnąć”, aby pani natychmiast do niego wróciła.

Krystyna po raz trzeci zaczerwieniła się:

- W tym właśnie cały Lechnowicz, bufon i samochwalca. Być może, że dzisiaj odpowiadałabym już jego wymaganiom „reprezentacyjnej żony”. Prowadząc śledztwo chyba poznaliście, panowie, jakim człowiekiem był zmarły? Ile były warte jego odezwania i zapewnienia? Ten człowiek, naturalnie według własnego mniemania, wszystko mógł. Wszyscy mu służyli, wszyscy wszystko wyłącznie jemu zawdzięczali. Każda kobieta tylko czekała na skinienie, aby zostać jego kochanką. Każdej też potrafił zaszargać opinię. Nawet takiej, której w ogóle nie znał. Pewnie wiecie, że się przechwalał, iż dziecko Wojciechowskich jest jego synem, a dość popatrzeć na chłopaka, aby stwierdzić jego uderzające podobieństwo do profesora. Ale to Lechnowiczowi wcale nie przeszkodziło do spotwarzania Elżbiety.

- Profesor wiedział o tych plotkach?

- Elżbieta chciała ostro reagować, Zygmunta mało to obeszło. Jak się przekonałam. Wojciechowski nie tylko przebaczył Lechnowiczowi wszystkie świństwa, jakie docent zrobił profesorowi, ale nawet z powrotem zaczął go przyjmować w swoim domu. Szkoda tylko, że o tym nie uprzedził innych swoich przyjaciół. Nie bylibyśmy narażeni na sobotnie spotkanie z Lechnowiczem i uniknęlibyśmy późniejszych kłopotów.

- W garbarstwie używa się cyjanku potasu?

- Rozumiem, do czego pan zmierza. Rzeczywiście przy garbowaniu pewnych gatunków skór dodaje się cyjanek potasu, ale w ogromnym rozrzedzeniu. Trucizna, której używa się w naszej spółdzielni, jest na wszelki wypadek już w słojach zmieszana z bardzo dużą ilością zwykłej soli. Nawet omyłkowe zażycie tej

mieszaniny nie spowodowałyby natychmiastowego zgonu, a jedynie zatrucie, a więc i uratowanie człowieka. Poza tym nasze zapasy cyjanku potasu przechowywane są pod zamknięciem i wydawane pod ścisłą kontrolą. Nie mieliśmy w naszej spółdzielni ani jednego wypadku zatrucia. Nie, gdybym chciała zabić Lechnowicza, nie mogłabym się posłużyć cyjankiem ze spółdzielni. Raczej tym z szafki Wojciechowskiego. Panowie naturalnie wiecie, że Zygmunt ma w domu wspaniałe urządzone laboratorium, gdzie nie brakuje i KCN. Przypuszczam jednak, że i cyjanek profesora nie służył do pozbycia się Stacha z grona żyjących. Ten słoik na górnej półce szafki stoi od kilku lat. Na pewno więc trucizna była zwietrzała. Natomiast ta użyta w sobotę musiała być zupełnie świeża, bo działała piorunująco.

- Tak pani sądzi? Przecież efekt zależał od ilości proszku, jaką się morderca posłużył. Tego zwietrzałego mógł wsypać odpowiednio więcej. Skutek byłby ten sam.

- To nie jest takie proste. Cyjanek potasu wietrzeje, czyli, mówiąc fachowo, utlenia się. Powstaje wtedy węglan potasu, a związek ten znacznie trudniej rozpuszcza się w wodzie, a zwłaszcza w alkoholu. A zatem na dnie kieliszka zebrałby się biały osad, a płyn byłby trochę mętny. Równie trujący, ale zmiana konsystencji płynu byłaby widoczna. Tego by morderca nie ryzykował. Natomiast czysty, świeży cyjanek rozpuściłby się natychmiast w alkoholu nie zmieniając wyglądu płynu.

Radziłabym więc przede wszystkim przeprowadzić analizę chemiczną cyjanku potasu znajdującego się wśród chemikaliów profesora. Będzie to miało także duże znaczenie dla wyłączenia Wojciechowskich z grona podejrzanych - mówiąc o sprawach fachowych pani Krystyna pozbyła się swojej poprzedniej nieśmiałości.

- Pani byłaby niezłym oficerem dochodzeniowo-śledczym - uśmiechnął się pułkownik Adam Niemirowich.

- Chemia jest nauką ścisłą. Uczy logicznego i ścisłego myślenia.

- Musiała się pani zastanawiać nad zabójstwem Lechnowicza. Mając tak ścisły umysł, na pewno doszła pani do jakichś wniosków w tej sprawie. Jaki, zdaniem pani, był motyw tej zbrodni?

- Zemsta.

- Wbrew pozorom, statystyki zbrodni dowodzą, że zemsta jest bardzo rzadkim powodem zabójstw. Najczęstszym są motywy materialne, dalej idą zabójstwa w bójce. W tej statystyce zemsta figuruje bodaj dopiero na czternastym miejscu.

Dlaczego pani uważa, że ten motyw jest tu najważniejszy?

- Ze względu na dobór ludzi zebranych wtedy na ulicy Prezydenckiej.

- Jak mam to rozumieć?

• W tym towarzystwie nie było ani jednej osoby, może z wyjątkiem tego profesora z Anglii, o nim nic nie wiem, która nie doznałaby od Lechnowicza mniejszej czy większej krzywdy. Wśród tych ośmiu czy nawet dziewięciu osób jedna z nich mogła uważać, że tylko śmierć docenta będzie zadośćuczynieniem za przeżyte przykrości. A właśnie taki układ towarzyski zachęcał zbrodniarza do wykonania swojego planu, bo dawał mu większe szanse ukrycia swojego czynu. Gdyby w tej dziewiątce jeden człowiek miał powody do znienawidzenia Lechnowicza, byłby jedynym podejrzanym. A tak podejrzanymi są wszyscy, nie wyłączając mnie.

- A także i pani męża.

• Witold nie jest zdolny do planowania na zimno morderstwa. Tamte historie, choć nas bardzo dotknęły, zwłaszcza jego, działały się przed przeszło szesnastu laty. Nasz syn, przedmiot owego procesu, w przyszłym roku zdaje maturę. To już przedawnione, i sprawa, i zemsta,

- Różne są reakcje psychiki ludzkiej - zauważył porucznik Mierzejewski.

• To prawda - przyznała Jasieńczakowa. - Ale zarówno ja, jak i mój mąż mamy jeden argument przemawiający za naszą niewinnością?

- Jaki?

• Idąc w sobotę na brydża ani ja, ani Witold nie przypuszczaliśmy, że u Wojciechowskich zastaniemy Lechnowicza. Nie bywał tam chyba od dziesięciu lat. Przedtem profesor, znając nasze wzajemne stosunki, nigdy nas razem nie zapraszał. To zresztą zupełnie zrozumiałe i łatwe do sprawdzenia. Nie poszlibyśmy na Prezydencką wiedząc, że spotkamy tam mojego byłego męża.

- Rozumowanie pani ma dwa błędy - powiedział pułkownik.

- Jakie błędy?

• Po pierwsze pani pomija drugi ewentualny powód, który mógłby popchnąć pani męża do zbrodni.

- Jaki powód? - przerwała Krystyna.

• Zazdrość. Doktor Jasieńczak jest wprost chorobliwie zazdrosny o swoją piękną żonę.

• Żałuję, że ten komplement słyszę przy niezbyt przyjemnej okazji. Każdy mężczyzna jest trochę zazdrosny. To chyba nieodłączny atrybut miłości. Ale Witold

dobrze wie, że nigdy nie dałam najmniejszego powodu do tej zazdrości, a tym bardziej już nie można tego łączyć z osobą Lechnowicza.

- Zazdrość jest ślepa i w statystykach zbrodni zajmuje miejsce dużo bliższe niż zemsta. Pani argumenty są łatwe do podważenia. Cóż z tego, że nie wiedzieliście o zaproszeniu Lechnowicza na brydża? Wystarczyło powziąć zamiar zabójstwa już na Prezydenckiej. Zejście na dół i sięgnięcie po cyjanek potasu nie przedstawiało dla nikogo trudności. Wszyscy, nawet profesor Badowicz ze Śląska, który w domu Wojciechowskich był po raz pierwszy w życiu, orientował się, że ta trucizna znajduje się w laboratorium.

- Pana rozumowanie jest słuszne pod warunkiem, że cyjanek nie jest utleniony. A to trzeba dopiero sprawdzić.

- Mógł być nawet utleniony. Wszyscy zgodnie zeznają, że owego popołudnia Lechnowicz zdradzał oznaki zdenerwowania. W takim stanie można nie zauważyć, że napój jest trochę mętny, a na dnie zebrało się nieco osadu. Jasieńczakowa zamilkła.

- Przysięgam na życie moich dzieci - powiedziała po chwili - że ani ja, ani Witold nie jesteśmy mordercami.

- Pani Krystyno - pułkownik pokiwał głową - w tym pokoju padały nie takie przysięgi. Fałszywe! Pragnąłbym, aby pani słowa były prawdą, ale my nie wierzymy żadnym przysięgom, żadnym zapewnieniom. Naszym obowiązkiem jest sprawdzić prawdziwość zeznań.

- Nie boję się tego. Wiem, że oboje jesteśmy niewinni.

- A kto z tych osób, zdaniem pani, jest winien?

- Poturycki.

- Tak pani sądzi? Dlaczego?

- On miał chyba najpoważniejszy powód do zemsty.

- Proszę nam to uzasadnić.

- Znam to z ust Stacha. Był czas, kiedy się tym przechwalał. Dopiero później zaczął się tego wypierać.

- Słuchamy.

- Lechnowicz i Poturycki to szkolni koledzy. Znali się sprzed wojny. Po wojnie także razem się uczyli i razem zdawali maturę. Później Poturycki rozpoczął studia na prawie, a Lechnowicz dostał się na Wydział Chemiczny, Politechniki Warszawskiej. W tamtych latach, tuż po wojnie, obowiązywały słynne „ankiety

personalne”. Poturycki w swojej ankiecie złożonej na uniwersytecie podał w rubryce pochodzenie „rolnicze”. W pewnym stopniu to było prawdą, gdyż ojciec Poturyckiego był z zawodu rolnikiem. Poturyccy, którzy dawniej używali tytułu hrabiowskiego, przed pierwszą wojną światową mieli ogromne majątki na Ukrainie. Po tamtej wojnie w granicach ówczesnej Polski znalazły się na Wołyniu resztki tej fortuny, jednakże było to i tak przeszło dwa tysiące hektarów.

- A więc nie tyle rolnik, co obszarnik - roześmiał się pułkownik.

- Właśnie. Lechnowicz doskonale znał pochodzenie swojego kolegi. Przed wojną raz czy dwa razy spędzał w tych majątkach wakacje, zaproszony przez rodziców przyjaciela. Kiedy Leonard Poturycki był na trzecim roku prawa, Lechnowicz, wówczas działacz pewnej organizacji młodzieżowej, wyciągnął tę sprawę na wierzch. Poturyckiego wyrzucono z tej organizacji i na jej wniosek, do czego także Lechnowicz przyłożył rękę, relegowano z wyższej uczelni. Skutki były opłakane dla całej rodziny Poturyckich, bo starszego Poturyckiego, ojca Leonarda, także zwolniono z pracy w Ministerstwie Rolnictwa. Pan pułkownik zapewne pamięta tę epokę błędów i wypaczeń”.

Niemiroch nie odpowiedział, zaś Jasińczakowa ciągnęła dalej:

- Młody Poturycki przez pięć lat pracował jako konduktor w tramwajach miejskich. To jedyna posada, jaką udało mu się dostać. Matka zarabiała szyciem, stary hrabia handlował „na ręczniaku” na Bazarze Różyckiego. Dopiero po październiku Leonard Poturycki mógł wrócić na studia, a jego ojciec inżynier rolnik do pracy w resorcie rolnictwa.

- Co było powodem tej zemsty na szkolnym przyjacielu? - zapytał porucznik.

- To nie była zemsta. Lechnowicz, gdziekolwiek należał, tam usiłował się wybić na kierownicze stanowisko. Musiał koniecznie być „kimś”. Także więc i w organizacji młodzieżowej chciał grać którąś z głównych ról. Uważał, że denuncjując przyjaciela, zasłuży się w oczach kierownictwa organizacji i posunie przynajmniej o szczebelek wyżej w hierarchii tej organizacji. Takich donosów na kolegów i przyjaciół na pewno Lechnowicz napisał dość sporo. Później, kiedy czasy się zmieniły, usiłował bodaj bez większego skutku dotrzeć do archiwów zlikwidowanej już organizacji i wycofać z nich swoją „literacką” działalność.

Nigdy też więcej się nią nie przechwalał. Ale ludzie pamiętali.

- Jest pani trochę niekonsekwentna. Wasze zatargi z Lechnowiczem, zdaniem pani, są bardzo starą i przebrzmiałą historią, bo zdarzyły się przed przeszło szesnastu

laty. A krzywda wyrządzona Poturyckiemu może być powodem zabójstwa docenta, chociaż ma swoją dwudziestoletnią historię? Jak to jest?

Jasieńczakowa zmieszała się, ale dalej obstawała przy] swoim zdaniu.

- To proste. Nas Lechnowicz ośmieszył. Nie miało to jednak żadnych skutków ubocznych. Witold jest zbyt znanym lekarzem, aby mu taki proces zaszkodził Zawodowo. Ja wówczas studiowałam ponownie na politechnice i co najwyżej spotykałam się z ironicznymi uśmieszkami koleżanek. Natomiast Poturyccy, nie tylko Leonard, ale cała rodzina, bardzo boleśnie odczuli skutki intrygi Lechnowicza. Ojciec wyleciał z dobrej posady. Syn z uczelni. Stracili materialne podstawy bytu. Z majątków na Wołyniu nie wywieźli niczego. Co mieli w Warszawie, spłonęło w czasie powstania. Żeby żyć, trzeba było w tramwaju sprzedawać bilety.

- Tysiące ludzi to robiło przed hrabią Poturyckim. Był czas, że dostanie takiej pracy było nieosiągalnym marzeniem bezrobotnych. Nic więc się nie stało, że pewien młody człowiek zapoznał się z ciężką, ale uczciwą pracą.

- Ale stracił pięć lat, zanim wrócił na uczelnię.

- Skończył ją jednak. Tamta historia, chociaż nieprzyjemna, nie zmarnowała mu życia. Jest dzisiaj cenionym adwokatem, jego ojciec, jak wiemy, pobiera dobrze zapracowaną emeryturę. Swoją przedwojenną willę na Żoliborzu Poturyccy zdołali odbudować i cała rodzina tam spokojnie mieszka.

- To prawda, ale Leonard Poturycki to człowiek mściwy i pamiętliwy. Sam kiedyś opowiadał, że do dziś dnia nie rozmawia z kolegą, z którym się pokłócili, kiedy mieli po dwanaście lat. Taki nie zapomina krzywdy dziesiątkami lat. Przedtem nie miał okazji zemścić się na Lechnowiczu.

- A cyjanek potasu nosił przez dwadzieścia lat w kieszeni, tak na wszelki wypadek. A nuż okazja się zdarzy? - zakpił pułkownik.

- Pan dziwnie broni swojego przyjaciela - tym razem Krystyna Jasieńczak celnie strzeliła. Na te słowa Niemiroch wyraźnie się zmieszał. Nie dało się przecież zaprzeczyć, że pułkownik dobrze znał adwokata i byli ze sobą na „ty”.

- Nikogo nie bronię i nikogo nie oskarżam. Badam sprawę i rozpatruję wszystkie możliwości.

- Cyjanek w szafie w suterenie był tak samo dostępny dla mego męża, jak i

dla Poturyckiego.

• Był dostępny dla każdego z obecnych wówczas na brydżu. Podczas zwiedzania laboratorium każdy mógł zobaczyć, że w szafce za szkłem znajdują się różne, gwałtownie działające trucizny. Przyznaję, że ten cyjanek komplikuje nam sprawę. Wolałbym, aby go tam nie było. Dzisiaj pošlemy ten słoik do zbadania. Na razie skończymy z tym problemem. Chciałbym panią prosić o wyjaśnienie jeszcze innych spraw.

• Jeśli potrafię...

• Co pani piła na tym przyjęciu?

• Przy kolacji piliśmy do wyboru „Złotą jesień” i starkę. Na stole stała żytniówka i wyborowa. Ja wypiałam jeden kieliszek starki i bodaj dwa „Złotej jesieni”.

• Chodzi mi o picie w czasie gry.

• Do kawy i później piłam likier ananasowy. Właściwie to przez cały czas sączyłam jeden kiliszek tego płynu.

• A inni?

• Janka Poturycka także piła likier, Bollsa, fiołkowy. Elżbieta Wojciechowska, jak zwykle, czerwone wino „Egribikawer”. Ona nic innego nie pija. Mężczyźni koniak. Ale kto jakie koniaki pił, tego nie zauważyłam. Na barku stały butelki z różnymi markami koniaków. Każdy sobie nalewał, na co miał ochotę.

• Dużo pito?

• Przed kolacją sporo. No i początkowo przy kawie, i podczas gry. Przy kolacji mężczyźni sobie nie żalowali i za kołnierz nie wylewali, za to później miały powodzenie przede wszystkim płyny orzeźwiające, coca-cola i soki owocowe.

- Przynoszone z lodówki?

- Nie. Lód stał w wazie na barku. Od czasu do czasu profesor, Ela lub po prostu ktoś z gości, właśnie nie grających, uzupełniał zapas lodu, przynosząc je z laboratorium, gdzie jest specjalna chłodziarka.

- Pamięta pani, kto chodził po lód?

- Na pewno Wojciechowski i jego żona. Także Lechnowicz i chyba pani Boweri. Tak, na pewno pani Boweri także schodziła na dół. Lepato, który wtedy był wychodzącym, zaofiarował się jej pomagać. Zeszli na dół i dość długo tam przebywali - dodała Krystyna złośliwie.

- A Poturyccy?

- Nie widziałam, Witold na pewno nie schodził.
- Czy pamięta pani kolor serwetki, na której stał jej kieliszek?
- Tak. Na żółtej.
- A inni goście jakie kolory sobie wybrali?

• Poturycki na zielonym. On zawsze wybiera zieloną serwetkę. Mówi, że mu najłatwiej zapamiętać, bo nosi ten kolor na todze adwokackiej. Badowicz i Poturycka mieli serwetki fioletowe. Ten kolor odpowiadał kolorowi Janki likieru. A Badowicz pił koniak w kieliszku innego kształtu i nie zachodziła obawa, że się kieliszki pomieszają. Ela postawiła swój kieliszek do wina po prostu na blacie barku.

• A inni?

• Jeżeli sobie dobrze przypominam, to Zygmunt Wojciechowski miał różową podstawkę pod kieliszek. Go do pozostałego towarzystwa, grało ono przy innym stoliku. Tam też może coś sobie popijali, ale jak oznaczyli kieliszki, po prostu nie wiem.

• Tę kłótnię pani słyszała?

• Mniej więcej - wyjaśniła Jasińczakowa. - Najpierw Witold bardzo głośno zalcytował wielkiego szlema w piki. Później ktoś kontrował i wszyscy następnie spasowali. Takie wydarzenie zainteresowało i nasz stolik. Ciekawi byliśmy, czy szłem wyjdzie. Lechnowicz, który kibicował siedząc przy mnie, szybko wstał i przeszedł do sąsiedniego pokoju. Za chwilę słyszałam jego rady dawane Witoldowi, choć nikt go o to nie prosił. Nastąpiła coraz ostrzejsza wymiana słów pomiędzy Poturyckim i docentem. Podziwiam Witolda, że się wcale nie zdenerwował nietaktownym zachowaniem Lechnowicza i że w ogóle się nie odzywał. W pewnym momencie, kiedy tamci dwaj obrzucali się obelgami, profesor Wojciechowski zaczął ich uspokajać. Udało mu się załagodzić awanturę. Podawał swoim gościom coś do picia. I kiedy już się wydawało, że gra wróci do normy, usłyszałam krzyk Elżbiety i jakiś hałas. Wtedy rzuciliśmy karty i pobiegliśmy do tamtego pokoju. Lechnowicz leżał na dywanie i konał. To było straszne. Mariola zaczęła płakać. Ona zawsze ma łyzy na zawołanie. Elżbieta dostała jakiegoś ataku histerycznego. Wcale jej się nie dziwię, mnie samej niewiele brakowało, aby stracić przytomność. Witold najpierw ratował chorego, później widząc, że nic mu już nie może pomóc, zajął się paniami. Potem przyjechało pogotowie i wreszcie milicja. To chyba wszystko, co mogłam

powiedzieć.

- Ciekawy jestem, dlaczego ona taka oskarżała Poturyckiego - powiedział porucznik, kiedy doktorowa opuściła gabinet pułkownika Niemirocha. - Ostatecznie adwokat miał taki sam powód sprzątnięcia docenta, jak prawie każdy z gości na Prezydenckiej.

- To jasne. Cała linia zeznań tej kobiety to obrona Witolda Jasieńczaka. Uważała, że podając nam jako mordercę Poturyckiego, tym samym odwraca niebezpieczeństwo od męża.

- A zdaniem pułkownika?

- Jeśli chcesz znać moją opinię, to uważam, że właściwego powodu zabicia Lechnowicza jeszcze nie znaleźliśmy.

- To także prawdopodobne - zgodził się porucznik Mierzejewski.

- Nie wiecie się nam to dochodzenie. Od początku popełniamy błędy.

Najpierw bagatelizowaliśmy z pozoru prostą sprawę, a teraz w konsekwencji na jaw wychodzą różne nasze niedociągnięcia. Zaniedbaliśmy szukania trucizny. Skoro dowiedzieliśmy się, że to nie zawał, ale morderstwo, trzeba nam było natychmiast przeszukać dom Wojciechowskich i zabezpieczyć cyjanek potasu. A także oddać go do analizy. Wcale bym się nie dziwił, gdyby ta trucizna już znikła z szafki w laboratorium. Jedź, Romku, natychmiast na Prezydencką do Wojciechowskich i nie wracaj bez tego słoika.

- A gdyby go nie było?

- To będziemy szukali jego śladów. Przeszukamy całą willę i pojemniki do śmieci. Gdyby słoik znikł, telefonuj do mnie od razu z domu Wojciechowskich, abym ci przysłał ekipę do pomocy.

Rozdział XII

Muszę bronić Lechnowicza

Porucznik Mierzejewski miał szczęście. Słoik stał na swoim miejscu. Pani Elżbieta Wojciechowska była w domu, bo po tragicznych przeżyciach ubiegłej soboty nadal źle się czuła i wzięła kilka dni urlopu. Chemiczka od razu domyśliła się, dlaczego milicji potrzebny jest cyjanek potasu. Zaproponowała porucznikowi, że w jego obecności przeprowadzi odpowiednie doświadczenie. Chociaż to było niezbyt formalne, Mierzejewski nie widział powodu, aby odmówić.

Do pękatego kieliszka, takiego, z jakich wtedy goście pili koniak, nalano alkoholu mniej więcej do połowy naczynka. Następnie Wojciechowska wyjęła z szafki słoik z cyjankiem i szklaną łopatką wsypała do kieliszka około pół małej łyżeczki do kawy.

- To jest na pewno większa ilość trucizny niż ta, którą otruto Lechnowicza -

wyjaśniła. - Ten roztwór bez względu na to, czy cyjanek uległ częściowemu utlenieniu, stanowi wielokrotnie silniejszą śmiertelną dawkę.

Biały proszek prawie natychmiast rozpuścił się w koniaku. Płyn tylko troszeczkę zmętniał. Osad na dnie był prawie niewidoczny, można było tego nie zauważyć.

- Pani wniosek? - zapytał Mierzejewski.

- Cyjanek tylko w nikłym procencie uległ utlenieniu. Zachował, jak sędzę, co najmniej dziewięćdziesiąt procent swoich pierwotnych właściwości. Wasza fachowa analiza ustali to z całkowitą dokładnością.

Elżbieta wylała truciznę do zlewu i długo spłukiwała ją wodą. Umyła dokładnie kieliszek, przepłukała go jeszcze jakimś płynem i znowu umyła. Dopiero teraz wytarła do sucha flanelką i wstawiła do kredensu.

- Co się stało z tamtym kieliszkiem, z którego pił docent?

- Chyba wtedy upadł na dywan, ale się nie stłukł. Później pewnie ktoś go postawił na barku. Rano, kiedy doszłam trochę do siebie, sprzątnęłam pokój i umyłam wszystkie naczynia. Przecież nie wiedziałam, że Lechnowicz został zamordowany. Myślałam, jak pozostali, że to zawał. Ale dobrze, że mi pan o tym przypomniał. Na wszelki wypadek umyję wszystkie kieliszki jeszcze raz.

- A może byśmy wszystkie te naczynia przekazali do Zakładu Kryminalistyki dla zbadania, z którego pił Lechnowicz?

- Nie mam nic przeciwko temu, lecz w jakim celu? Przecież i tak wiecie, że zmarł na skutek zatrucia cyjankiem potasu, a truciznę podałam mu ja sama.

- Zatelefonuję do pułkownika. Niech on zadecyduje.

Niemiroch podzielił jednak zdanie pani Wojciechowskiej i wcale się nie gniewał, że chemiczka na miejscu zrobiła tę próbę. Niemniej polecił resztę cyjanku odesłać do analizy.

- Czuję się już lepiej. Jeśli zapowiada się powtórne przesłuchanie, niech mam to za sobą. Czy mogłabym jutro rano zgłosić się do Pałacu Mostowskich? - spytała Elżbieta Wojciechowska.

- Będziemy czekali na panią. Proszę przyjść około godziny dziesiątej.

Dopiero przed czwartą Mierzejewski zdołał wrócić do Komendy Stołecznej MO. Tam zastał wiadomość, że poszukiwał go inżynier Zakrzewski i prosi o telefon. Na szczęście porucznikowi udało się złapać inżyniera przed jego wyjściem z Zakładu Chemii PAN.

Znowu umówili się w „Danusi”.

• Ty zawsze coś musisz pokręcić! - powiedział Zakrzewski, kiedy kelnerka podała im coca-colę i odeszła.

• O co ci chodzi?

• O ten wynalazek nowego sztucznego tworzywa.

• A co z nim? Nie ma go?

• Jest. Ale Lechnowicz nigdy się nim nie zajmował.

• Skąd ta pewność?

• Tak jak mówiłem, nasz Zakład w tej chwili nie interesuje się tworzywami sztucznymi. Najwięcej uwagi poświęcamy sprawie wodorowania węgla.

• A po co?

• Głupi jesteś - rozgniewał się Zakrzewski. - Wodorowanie węgla to otrzymanie z niego paliw płynnych. Między innymi benzyny. Nad uproszczeniem i opłacalnością tego procesu pracuje dzisiaj cały świat. Bo węgla mamy na kuli ziemskiej na tysiące lat, ropy zaledwie na dziesiątki.

- Wracając jednak do tworzyw sztucznych...

• Zajmuje się tym Instytut Tworzyw Sztucznych i Politechnika Warszawska. Rzeczywiście na Politechnice Warszawskiej obecnie pracują nad otrzymaniem nowego tworzywa. Podobno mają rezultaty bardzo zachęcające, wręcz rewelacyjne. Ale Lechnowicz nie miał z tym absolutnie nic wspólnego. Pewnie nawet nie wiedział o tych badaniach.

• A kto to prowadzi?

• Wynalazcą, bo podobno można mówić nie o jakimś drobnym ulepszeniu technologii, ale o odkryciu nowej rodziny tworzyw sztucznych, jest największy w kraju specjalista z tej dziedziny, profesor Zygmunt Wojciechowski. Naturalnie nie pracuje sam, lecz z całym sztabem współpracowników różnych stopni naukowych, od docentów poczynając, kończąc na laborantach ze średnim wykształceniem.

• W jakim stadium znajduje się ten wynalazek?

• A bo ja wiem? Takich rzeczy przecież nikt nie ogłasza ani się tym nie chwali. Podobno próby laboratoryjne wypadły pomyślnie. Ale do produkcji półtechnicznej i później do produkcji przemysłowej długa droga. Można na niej spotkać przeszkody nie do przezwyciężenia. Zakrzewski spojrzął na zegarek.

- Na mnie czas - stwierdził. - Za piętnaście minut mam pociąg. A na drugi raz

dowiaduj się dokładnie i nie zwracaj ludziom niepotrzebnie głowy.

Kiedy nazajutrz porucznik zdał swojemu zwierzchnikowi sprawozdanie z rozmowy z inżynierem Zakrzewskim, ku wielkiemu zdziwieniu Mierzejewskiego pułkownik ani słowem nie skomentował tej historii. Za to pochwalił młodszego kolegę za umówienie przesłuchania Wojciechowskiej o dziesiątej godzinie.

- Dobrze zrobiłeś - powiedział. - Ta kolejność rozmów z naszymi podopiecznymi bardzo mi odpowiada.

Kiedy z dołu zameldowano, że zgłosiła się obywatelka Elżbieta Wojciechowska, Niemiroch polecił przyprowadzić ją do siebie. Powitał żonę profesora uprzejmie, wyszedł na jej spotkanie i pocałował w rękę. Nie wskazał krzesła naprzeciwko biurka, ale zaprosił do zajęcia jednego z foteli stojących przy niskim, owalnym stoliku. Polecił sekretarce, pani Krysi, przynieść trzy kawy.

Wojciechowską zdziwiło zachowanie się oficerów milicji. Ostatnim razem pułkownik wprost krzyczał na całą dziesiątkę świadków tragedii na ulicy Prezydenckiej.

• Jak zdrowie pani profesorowej? - troskliwie dopytywał się pułkownik. - Słyszałem, że pani ciężko przeżyła ten straszny wypadek?

• Jeszcze teraz go przeżywam. Ciągle nie mogę się pogodzić z myślą, że w moim domu popełniono morderstwo. Zwyczajny zgon kogoś z moich gości byłby już dla mnie wielkim szokiem. Ale bez porównania mniejszym niż straszna pewność, że wśród zaprzyjaźnionych z nami osób kryje się morderca.

- Docent Lechnowicz nie był lubiany - zauważył Niemiroch. - Wprost przeciwnie.

• Wiele osób nie tylko go nie lubiło, ale wręcz nienawidziło.

• Niech mi pani powie, dlaczego pani uparła się, aby go zaprosić tego popołudnia? Przecież pani doskonale orientowała się w układach. Wiedziała, że Poturycy i Jasieńczak wprost trzęsą się na sam dźwięk nazwiska Lechnowicz.

• To nie było tak. Ja się nie upierałam przy zaproszeniu Stacha na brydża. Jak panowie zapewne wiedzą, Lechnowicz wyrządził sporo świństw mojemu mężowi. Zresztą także i mnie. Kiedy, będąc studentką ostatniego roku, wychodziłam za mąż za Zygmunta, Lechnowicz opowiadał różne niezbyt smaczne żarty na temat różnicy wieku i tego, że „stary dziad kupuje sobie młodą...”. Nie kryłam i nie kryję, że pomimo dużej różnicy wieku byłam wtedy nieprzytomnie zakochana w swoim profesorze. Koleżanki z wydziału przez dwa lata śmiały się ze mnie. Ta miłość

przetrwała do dziś dnia. Jestem dumna i szczęśliwa, że zostałam żoną takiego człowieka. Wszystko inne jest nieważne.

- Doskonale panią rozumiem - pułkownik ucałował rękę Wojciechowskiej.

• Później nasze stosunki z Lechnowiczem pogorszyły się. Zerwaliśmy w ogóle tę znajomość, docent musiał opuścić politechnikę. Ale Zygmunt zawsze miał do niego słabość. Nawet wtedy interesował się karierą naukową Stacha. Przed mniej więcej pół rokiem nagle docent zrobił woltę. Zjawił się na politechnice i publicznie w obecności rektora przeprosił męża. Nie omieszkał też zjawić się u nas w domu z dwudziestoma czterema różami i dosłownie przepraszał mnie na kolanach. A jednocześnie gdzie tylko mógł, piał peany na cześć Zygmunta, nie pomijając i mojej skromnej osoby.

- Taka nagła zmiana? Bez najmniejszego powodu?

• Bez żadnego. Zygmunt jest bardzo dobrym człowiekiem, ja także nie jestem mściwa. W rezultacie „powrót marnotrawnego syna” został przyjęty z radością, a on sam z otwartymi ramionami. Ostatecznie mąż naprawdę, i to słusznie, uważał Lechnowicza za najzdolniejszego ze swoich uczniów i jedyne go bodaj swojego następcę.

- To jednak nie tłumaczy zaproszenia na brydża.

• Zygmunt widząc, że docent się zmienił, postanowił go pogodzić ze swoimi przyjaciółmi. Orientował się, jak zacięci w gniewie są Poturycki i Jasieńczyk. Wiedząc o tym, że Lechnowicz u nas będzie, na pewno obaj by nie przyszli. Natomiast byli zbyt dobrze wychowani, aby spotykając się w większym towarzystwie ze Stachem, zarówno jego jak i nas narazić na jakąś nieprzyjemną demonstrację. Dlatego też zorganizowaliśmy brydża na dwa stoliki i zaprosiliśmy ludzi dotychczas nam nie znanych, panią Boweri oraz profesorów z Anglii i Gliwic. Zygmunt jest wielkim optymistą i liczył, że jego zamiary zostaną uwieńczone powodzeniem.

- To było dość ryzykowne pociągnięcie.

• Ja także miałam zastrzeżenia, ale mąż tak się zapalił do swojego projektu, że nie chciał nawet słyszeć o jego zaniechaniu. W końcu ustąpiłam.

- Sama pani widzi, jak to się skończyło.

• Niestety! A zapowiadało się zupełnie dobrze. Lechnowicz starał się być czarujący. Prawił paniom komplementy, tak że nawet Janka się rozchmurzyła, już nie mówiąc o Krysi. To pocziwe stworzonko zapewne było rade ze spotkania ze

Stachem. Pomimo doznanej krzywdy, przypuszczam, że zachowała do niego wiele sentymentu. O jakimkolwiek flircie na boczku z byłym mężem nie mogło być mowy. Krystyna jest na to za poważna i zbyt szanująca Jasieńczaka, mocno się do niego przywiązała. A to nieraz znaczy więcej niż większe uczucie.

- Pani znała od dawna Lechnowicza?

- Kiedy zaczynałam studia, on już był asystentem na politechnice. Zdawałam u niego kolokwia, zaliczałam ćwiczenia. Często profesor Wojciechowski powierzał mu egzaminowanie studentów i jedynie dwójkowiczów brał do swego gabinetu dla ostatecznego sprawdzenia, czy jednak nie można ich podciągnąć.

- Co pani może powiedzieć o docencie?

- Muszę go wziąć w obronę. Nie znam zeznań złożonych przez innych świadków tragedii, przypuszczam, że na Stachu nie pozostawiono suchej nitki. Nazywano go intrygantem, donosicielem czy nawet kanalią. Sądzę, że nikt o nim nie powiedział dobrego słowa. Czy tak było?

Pułkownik uśmiechnął się:

- Jakby pani czytała akta.

- A to nieprawda. Stach nie był w gruncie rzeczy złym człowiekiem.

Wybitnie zdolny. Obdarzony dużym talentem pedagogicznym. Wszechstronnie odczytany i o wielorakich zainteresowaniach. Chociaż samouk, doskonale malował. Wydał dwa tomiki wierszy i jakieś opowiadania. Później chemia całkowicie go zaabsorbowała i poświęcił się jej bez reszty. Tego człowieka gubiła niepoahamowana wprost ambicja. Wszędzie i zawsze musiał być pierwszy. Być sławnym, wybić się ponad innych, to była dewiza życiowa Lechnowicza. Za wszelką cenę, nawet idąc po trupach, jak to się mówi, chciał zrobić wielką karierę. Tę wymarzoną karierę bez wątpienia by zrobił. Człowiek obdarzony takimi zdolnościami i do tego tak nieludzko pracowity musi się wybić. Ale Stach nie umiał nigdy czekać. Musiał mieć wszystko od razu. Kiedy został asystentem, jego podopieczni „musieli” być najlepszymi na całym wydziale. Żeby to osiągnąć. Lechnowicz nieraz całe noce siedział z nami i pomagał nam wkuwać. Gdy został członkiem organizacji młodzieżowej, to zresztą było przed rozpoczęciem przeze mnie wyższych studiów, ale znam sprawę, uważał, że powinien być członkiem najwyższego kierownictwa organizacji. Żeby się zasłużyć w oczach ludzi wyżej postawionych od siebie, zaczął oskarżać współkolegów i nie oszczędził swojego najlepszego przyjaciela, Poturyckiego, który kiedyś bardzo mu

pomagał. Ale u Lechnowicza nic się nie liczyło. To, co zawadzało i stało na drodze do wytkniętego przez niego celu, bez wahania odrzucał. Cel uświęca środki, ta stara zasada jezuicka służyła także za drogowskaz mojemu staremu koledze.

- Był zachłanny na pieniądze?

• Nie. Nie był chciwy. Przeciwnie, pieniądze przepływały mu między palcami. Wydawał je bez żadnego zastanowienia. Na przykład pani Boweri. Lechnowicz związał się z nią, bo to zadowalało jego próżność. Narzeczony, tak się teraz mówi, pięknej kobiety, aktorki filmowej. Wprowadzało go to do snobistycznego towarzystwa intelektualistów. Obsypywał dziewczynę prezentami. Ubrał od stóp do głów. Wiem o tym, bo na prośbę Stacha chodziłam z nim po komisach wybierając różne ciuszki dla Marioli. A kiedy już Lechnowicz swój cel osiągnął, wtedy ta dziewczyna przestała mu być potrzebna. Właśnie był na drodze do likwidacji tego stosunku.

- A Krystyna?

• Była najładniejszą studentką na politechnice. Wybrano ją na najmiłszą politechniczkę. Ożenić się z taką piękną to wtedy odpowiadało ambicjom wybijającego się asystenta. Zwraçało na niego oczy całej uczelni. Szybko jednak Stach się rozczarował. Krystyna była poczciwym stworzonkiem. Urodzona i wychowana w Siedlcach, wówczas powiatowym mieście blisko Warszawy, z którego pochodzimy także Janka i ja, miała mentalność dziewczynki z dalekiego zaścianka. Nie nadawała się na reprezentacyjną żonę wybijającego się naukowca.

• Teraz uchodzi za jedną z najelegantszych i najbardziej znanych kobiet stolicy.

• To Witold ją tak wykształcił. Lechnowicz nie miał na to ani możliwości, ani chęci. On od razu chciał mieć reprezentacyjną żonę. Do głębszych uczuć poza miłością samego siebie w ogóle nie był zdolny. Bezlitośnie rzucił Krystynę. Potem widząc, jak doktorowa bryluje w salonach Warszawy, pewnie tego nieraz żałował.

• Podobno opowiadał, że wystarczyłoby mu gwizdnąć, żeby pani Krystyna wróciła do niego.

• W tym jest cały Stach. Wiedział, że to nieprawda. Zdawał sobie sprawę, że wyrządza kobiecie krzywdę i naraża się Jasińczakowi, ale dla popisania się, że on wszystko może, nie zawahał się przed rzuceniem tego bądź co bądź poważnego oszczerstwa. Na pewno nie myślał o konsekwencjach, jakie te słowa mogą wywołać.

To samo było z głośnym procesem o zaprzeczenie ojcostwa. Lechnowiczowi nawet nie zależało na ośmieszeniu doktora, którego zresztą poznał w naszym domu, bo Jasieńczyk to stary przyjaciel Zygmunta. Po prostu Stach delectował się sławą. Stał się popularny, bo potrafił doprowadzić do tego, że śmiano się z doskonałego kawału, jaki wypłatał byłej żonie. Chęć rozgłosu dominowała nad wszystkim, nawet nad zdrowym rozumem.

- Podobno miał brzydkie historie ze studentkami.
- To przede wszystkim sam Lechnowicz opowiadał, że dziewczyny w kolejce pchają mu się do łóżka. Że się od nich opędzić nie może.
- A jak było naprawdę?
- Mogę opowiedzieć jedynie o tym, co sama zaobserwowałam podczas moich studiów.

Resztę muszę traktować jako plotki. Pan pułkownik dobrze wie, że dziewczyny są różne. Cnotliwe i puszczalskie. Zakochane i te, które zaliczają chłopców. Zdarzały się chętne do przespania z przystojnym asystentem. Albo rzeczywiście się im podobał, albo uważały, że to lepszy i przyjemniejszy sposób zaliczania kolokwium niż parotygodniowe wkuwanie nudnego dla nich przedmiotu. Stach nie byłby mężczyzną, gdyby się takim zabiegom długo opierał. Nigdy jednak inicjatywa nie wychodziła od niego. Zresztą nawet od tych dziewczyn wymagał minimum wiadomości nie tylko łóżkowych, ale i z wykładanego przedmiotu. Najwyżej je podciągał w nauce organizując prywatne lekcje. Przecież grupa Lechnowicza musiała być najlepsza. Dla niego to było ważniejsze niż noc z najpiękniejszym „kotem”. Niech pan porozmawia z inżynierami, którzy kończyli politechnikę wtedy, kiedy Lechnowicz był tam asystentem, a później starszym asystentem i samodzielny pracownikiem naukowym, prowadzącym wykłady. Każdy przyzna, że przedmioty wykładane przez Stacha i prowadzone przez niego ćwiczenia opanowali najlepiej. On naprawdę „nie wypuszczał braku”. Jeśli ktoś nie umiał, miał trudności z opanowaniem tej dziedziny chemii, Lechnowicz nie liczył się z własnym czasem. Przygotowywał go dodatkowo.

- Miał jednak wrogów.
- Powiedziałabym nawet - roześmiała się pani Elżbieta - że miał wyjątkowe zdolności robienia sobie wrogów. Na przykład ktoś skończył politechnikę i później zajął wysokie stanowisko w przemyśle. A temu komuś przedmioty wykładane przez Lechnowicza szły dość opornie i Stach musiał się nim specjalnie zajmować, aby go

podciągnąć. Taki człowiek na pewno żywił wdzięczność do swojego dawnego nauczyciela. Cóż, kiedy Lechnowicz potrafił to uczucie zburzyć jednym zdaniem wypowiedzianym w większym towarzystwie: „XY to „bardzo rycerski człowiek. Prawdziwy zakuty łeb. Prosty w budowie i odporny na naukę. Co ja się z tym bałwanem nameczyłem, żeby z niego wycisnąć tę kropelkę wiedzy. Takiego wyjątkowego durnia rzadko spotkać”. I już człowieka pełnego wdzięczności zmieniał w swojego śmiertelnego wroga. Takie zagrania były na porządku dziennym. A potem Lechnowicz zalił się wszędzie, że go nie doceniają, że jest utracany i prześladowany. Że klika go zwalczą. Nawet Zygmunta potrafił doprowadzić do białej gorączki. Na to naprawdę potrzebny jest wielki talent. Z drugiej strony docent potrafiłby oddać ostatnią koszulę człowiekowi będącemu w potrzebie. Ilu to on studentom pomógł materialnie. Wyrabiał stypendium, starał się o nagrody rektorskie, wyszukiwał różne prace zlecane tym, którzy studiując nie mogli związać końca z końcem. W jego mieszkaniu tygodniami waletowało po kilkunastu studentów, nie mających innej kwatery. Oskarżając Lechnowicza o popełnienie wszystkich siedmiu grzechów głównych, oskarżyciele najchętniej o faktach zapominają.

- Trzymajmy się zatem faktów. A fakty stwierdzają - powiedział pułkownik - że Lechnowicz nie żyje. Został zamordowany. W waszym mieszkaniu i przy pomocy cyjanku potasu znajdującego się w waszym posiadaniu.

- Z tym cyjankiem to było tak, Zygmunt ma zwyczaj oprowadzania pó mieszkaniu tych, którzy po raz pierwszy są naszymi gośćmi. Nauczył się tego na Zachodzie, bo tam się to praktykuje. Żeby goście później nie musieli pytać, gdzie jest toaleta, albo umieli trafić do lodówki po kostkę lodu. Poza tym to była pewna słabość męża. Pochodzi z Żółtek, małej wioski spod Białegostoku. Był synem średniorolnego chłopca. Codziennie do szkoły biegał siedem kilometrów w jedną stronę. Później na wyższej uczelni utrzymywał się tylko z korepetycji. Dobrze poznał, co to bieda. Kiedy przyszło uznanie i względny dobrobyt materialny, Zygmunt cieszył się jak dziecko tym domem, który sobie od lat wymarzył i wreszcie spełnił te marzenia, wybudował według własnych planów. Dosłownie pyszni się tą willą do dziś dnia. Nie może sobie odmówić przyjemności pokazywania jej gościom i przyjacielom, mimo że stali bywalcy znają ją na pamięć. A już specjalną chlubą Zygmunta jest laboratorium.

- Czy tam profesor dokonuje swoich odkryć naukowych?

Wojciechowska roześmiała się:

- Ód razu widać, że pułkownik jest laikiem, jeśli chodzi o chemię i o

tworzywa sztuczne. Do takich prac potrzebne są wielkie laboratoria i specjalnie w tym celu produkowana unikalna aparatura naukowa. W naszym laboratorium Zygmunt najczęściej produkuje pastę do butów.

- Pastę do obuwia? - zdziwił się pułkownik.

• Tak. Wszystkie pasty dostępne w sprzedaży nie chronią butów przed przemakaniem i w zimie przed solą, którą tak hojnie posypuje się ulice Warszawy.

- To prawda. Stale mam na butach białe plamy - przyznał Mierzejewski.

• Właśnie. Zygmunt wyrabia pastę, która chroni but zarówno przed wodą, jak i przed solą. Wszystkich przyjaciół uszczęśliwia tą pastą. Cieszy się jak dziecko swoim „wynalazkiem” i gdyby mógł, toby chyba sam czyścił buty swoim znajomym. Małe dziwactwa wielkiego uczonego.

- Dlaczego więc ta szafka z truciznami i ten cyjanek potasu?

- Zygmunt lubi się bawić w swoim laboratorium. Cza sami robi takie doświadczenie, jakie wykonywał będąc uczniem szóstej klasy gimnazjum imienia Zygmunta Augusta w Białymstoku. Częściej naturalnie eksperymentuje bardziej sensownie. Ja zresztą także lubię pracować w naszym laboratorium. Dlatego Zygmunt ma tam wiele najrozmaitszych chemikaliów, potrzebnych mu do tych prac. Większość tych związków chemicznych zresztą sam wytworzył. Między innymi ten nieszczęsny cyjanek potasu.

- Przecież wiedzieliście, że przepisy nakazują trzymanie trucizn pod zamknięciem. A także obowiązek prowadzenia specjalnej ich ewidencji.

- Szafka była zamknięta.

- Ale klucz tkwił w zamku - dorzucił porucznik. Nawet już po tragedii. Sam to wczoraj sprawdziłem.

- Drugi raz przecież nikt z cyjanku nie zrobi takiego samego użytku - zauważyła Wojciechowska. - Poza tym przepisy obowiązują w laboratoriach przemysłowych i naukowych, a nie w prywatnej pracowni. Szafka wisi w zupełnie innym miejscu niż schowki na inne chemikalia. Ma odpowiedni napis, i umieściliśmy ją prawie pod sufitem.

- To mordercy nie przeszkodziło.

- Nawet kasa pancerna by mu nie przeszkodziła. Wśród naszych sobotnich gości nie było ani jednego, dla którego zaopatrzenie się w truciznę stanowiłoby jakąś przeszkodę. Badowicz, Lepato i Krystyna to chemicy, Janina Poturycka farmaceutka,

Poturycki entomolog-amator, Jasińczak jest lekarzem. Może jedna Mariola Boweri musiałaby się jakoś specjalnie starać o cyjanek. Inni mieli go w domu albo w miejscu pracy.

- Kto z nich, zdaniem pani, zabił?
- Jeśli już muszę wskazać, kogo najbardziej podejrzewam, to powiem, że

profesora Andrzeja. Badowicza.

- Dlaczego?

• Ja naprawdę nie podsłuchiłam, ale przerwano brydża i z pomocą Krysi Jasińczakowej szykowałam kolację, widziałam Badowicza rozmawiającego w holu z docentem. Nosząc z kuchni potrawy na stół, usłyszałam, jak Badowicz mówił „ostrzegam pana, że jestem zdecydowany na wszystko, nawet na posunięcie się do ostateczności”. Na odległość wyczuwało się jego zdenerwowanie.

- A Lechnowicz?

• On się śmiał. Mogłoby się wydawać, że wściekłość Badowicza wprowadza go w dobry humor. Zaraz potem rozmowa się urwała, prosiłam gości do stołu.

- Przypomina pani sobie ostatnie chwile przed tragedią?

- Do końca życia będę je pamiętała.

- Niech nam pani to opowie.

• Byłam wychodzącą. Nie lubię kibicować i poszłam do kuchni, aby pozmywać naczynia. Ale tam już przedtem Krysia gospodarowała. Ona jest wspaniała. Zawsze mi pomaga, kiedy mamy gości. Ustawiłam więc porcelanę na swoje miejsce. Wzięłam filiżanki do czarnej kawy i na tacy przyniosłam je do pokoju, aby wstawić do gablotki za szkło. Kiedy kończyłam tę robotę, usłyszałam głos doktora: wielki szlem w piki. Taki ewenement! Podeszłam do stolika. Z drugiego pokoju przyszedł Lechnowicz, który także w tamtej partii był właśnie piątym graczem.

- Gdzie pani stała?

• Pomiędzy panią Boweri i doktorem Jasińczakiem. Widziałam karty ich obojga. W Stacha jakby diabeł wstąpił. Zaczął pouczać Jasińczaka, jak należy grać. Naturalnie kontrpartnerzy zaprotestowali. Mariola dość słabo, to zresztą zupełnie zrozumiałe, Poturycki od razu bardzo ostro.

- Czy Lechnowicz zawsze w ten sposób zachowywał się przy kibicowaniu?

- Skądże znowu. Nigdy nie odzywał się ani słowem. Nie wiem, co mu się

stało. Mało tego, po pierwszych pouczeniach Lechnowicz nadal „doradzał” doktorowi. Tego Jasińczakowi także było za wiele. Pozostali gracze również protestowali. Zaczęły padać obraźliwe uwagi. Poturycki stwierdził: „donosiciel zawsze zostanie donosicielem”, Stach zrewanżował mu się bodaj „miernym adwokacją”. Na szczęście przyszedł Zygmunt i uspokoił całe towarzystwo. Ja odciągnęłam Lechnowicza od stołu, mąż zaserwował grającym po kieliszku koniaku. Napięcie zostało rozładowane. Pamiętam, że Zygmunt pytał każdego z graczy, na jakim kolorze podstawek stoją ich kieliszki.

- Czy profesor sam także wtedy pił?

- Nie. Zygmunt z zasady po kolacji nie pije. Tylko strzeziennego, kiedy goście wychodzą. Ja solidnie zbeształam Lechnowicza. Uspokoił się i o dziwo uznał swoją winę. Bardzo mnie przeproszał. Żeby ostatecznie zlikwidować ten niemiły incydent, podałam Stachowi jego kieliszek. Sama wzięłam swój z winem. Ja pijam tylko czerwone wino. Inne alkohole mi szkodzą. Przepiliśmy do siebie.

- Lechnowicz był zdenerwowany?

- Tak. To mnie dziwiło. Dawniej nawet w momentach dużo dla niego nieprzyjemniejszych umiał zachować spokój. A wtedy ręka mu się trzęsła i kilka kropeł koniaku spadło na podłogę.

- Pani nalewała koniak z butelki do kieliszka Lechnowicza?

- Nie. Był pełny.

- Przecież koniaku nie nalewa się do pełna.

- Rzeczywiście. To bardzo dziwne, ale kieliszek miał płynu po brzegi, jak to się mówi, prawie „z czubem”. Wówczas nie zwróciłam na to uwagi. Stach także nie. Wypił cały kieliszek jednym haustem.

- W ten sposób także nie pije się koniaku.

- Wszyscy w tym podnieceniu szukali uspokojenia w alkoholu. Wina również nie wychyla się od razu do dna, a pamiętam, że rąbnęłam pełny kieliszek. Lechnowicz po przełknięciu alkoholu powiedział do mnie „to...” i już nie zdążył nic dodać. Na jego twarzy odmalował się najpierw jakiś przeraźliwy strach, później wykrzywił ją grymas bólu. Zachwiał się, ostatkiem sił usiłował utrzymać równowagę i nagle osunął się na dywan tuż koło moich stóp. Głowa zadarta do tyłu znalazła się na kanapie. W pierwszej chwili nie rozumiałam, co się stało. Myślałam, że Lechnowicz potknął się, ale on już stracił przytomność. Podbiegł doktor Jasińczak. Usłyszałam jego słowa:

on umiera, i sama chyba straciłam przytomność. W każdym razie nie wiem, co się dalej ze mną stało. „Przerwa w zyciorysie” minęła dopiero, kiedy przyjechał lekarz z pogotowia. Lechnowicz martwy leżał na kanapie. Goście przerażeni i zgnębieni otaczali wokół człowieka w białym kitlu.

- Jeszcze jedno pytanie. Pamięta pani, jakimi kolorami serwetek posługiwali się pani goście?

- Nie zwracałam na to uwagi. Mamy tych okrągłych małych serweteczek całą gamę kolorów. Zygmunt przywiózł je kiedyś z jakiegoś wojażu do Sztokholmu. Początkowo używałam ich jako podstawki pod filiżanki z czarną kawą. Potem jednak doszłam do wniosku, że w ten sposób każdy najlepiej zapamięta, z jakiego kieliszka pił. Ponieważ ja piję wino, a inni wolą raczej mocniejsze trunki, nie zwracam uwagi na kolory serwetek.

- Przecież podawała pani kieliszek Lechnowiczowi.

- Zapytałam go, jaki jest jego kolor. Wyjaśnił, że niebieski. Wtedy podeszłam do barku i wzięłam z niego dwa kieliszki. Swój z winem trzymałam w lewej ręce, prawą podałam koniak Lechnowiczowi. Wtedy także powiedziałam mu, że zachowuje się jak barbarzyńca. Przeprosił mnie i wyjaśnił, że sam nie wie, co mu jest. Jakoś dziwnie źle się czuje. Jeszcze raz podkreślałam, że nigdy nie widziałam go tak zdenerwowanego.

- No to mamy następnego podejrzanego - roześmiał się porucznik, kiedy Elżbieta Wojciechowska opuściła gmach komendy milicji. - Można nawet ułożyć ciekawy grafik, kto kogo oskarża o popełnienie zbrodni.

- Żona profesora - stwierdził pułkownik - powiedziała nam sporo ciekawostek. Jej zeznania mogą mieć wielkie znaczenie dla sprawy.

- Pan pułkownik naprawdę myśli, że ten Badowicz...

- Nie o niego mi chodzi. Ale im więcej przesłuchamy osób zamieszanych w tę sprawę, tym silniej zarysowuje się obraz mordercy.

- Nie widzę go.

- Trzeba, Romeczku, uważnie słuchać, co ludzie mówią, i jeszcze uważniej czytać akta sprawy. Tam jest już prawie wszystko. A nie wątpię, że zeznania trzech pozostałych mężczyzn: Jasińczaka, Wojciechowskiego i Poturyckiego, uzupełnią ten obraz. Nie wiem, kto jest przestępcą, ale piątym zmysłem czuję, że zbliżamy się do końca sprawy.

Porucznik Mierzejewski wcale nie był tego pewien, ale wolał nie dyskutować ze zwierzchnikiem. Wiedział, że pułkownik Niemiroch rzadko się myli w takich przepowiedniach.

Rozdział XIII

Poważne argumenty lekarza

Pan pułkownik mnie pyta, jak to się mogło stać, że ja, lekarz specjalista chorób serca, nie umiałem odróżnić zawału od zatrucia cyjankiem potasu? Odpowiem, że każdy lekarz każdy nagły zgon zawsze będzie skłonny przypisać zawałowi. Chyba że będziemy mieli do czynienia z wylewem krwi do mózgu. Wtedy objawy zewnętrzne wystąpią tak wyraźnie, że o omyłce nie może być mowy. Co miałem sądzić? Zupełnie zdrowy człowiek po nagłej kłótni wali się jak kłoda na ziemię. A wiem, że skarżył się na serce. Kiedy do niego dobiegłem, był już nieprzytomny. Jasne, że to zawał. Przecież nawet przez myśl nie mogło mi przejść, że w gronie tak poważnych i ogólnie szanowanych ludzi znajduje się morderca posługujący się piorunującą trucizną. Miałem podstawy, aby sądzić, że jest to zgon naturalny. Gwałtowny przebieg choroby wskazywał na zawał.

- Hmm - pułkownik Adam Niemiroch nie był stuprocentowo przekonany argumentami doktora Jasińczaka. - A zapach migdałów?
- Badałem akcję serca, a nie usta zmarłego. Nie zaprzeczam również, że namawiałem lekarza z pogotowia, aby zabrał Lechnowicza do swojej karetki. Wiem dobrze, że karetki pogotowia nie służą do przewożenia umarłych. Chciałem, aby lekarz stwierdził, że docent zmarł w drodze do szpitala. Kierowałem się względami dla Wojciechowskich. Chciałem profesorowi zaoszczędzić masy kłopotów, wizyty milicji oraz związanych z tym przesłuchań całego towarzystwa, a przede wszystkim smutnej sławy, która mogłaby bardzo zaszkodzić naszemu wybitnemu uczonemu.
- A może po prostu „chciałem ukryć zbrodnię” - rzucił pułkownik.
- Głupstwo. Nie namawiałem lekarza z pogotowia do wystawienia świadectwa zgonu, a do zabrania zwłok. W szpitalu i tak musieliby zrobić sekcję. Byłem przekonany, że ta sekcja potwierdzi moją diagnozę o zawale, i wówczas obyłyby się bez skandalu. Naturalnie w tym wypadku oni także stwierdziliby zatrucie cyjankiem potasu i sprawy potoczyłyby się takim samym torem, jak obecnie.
- Doktor zna naszego lekarza milicyjnego, Maliniaka?

- Znam. Pracowałem z nim razem.
- Pan z nim rozmawiał?
- Rozmawiałem. Ale to on do mnie dzwonił. Zresztą już po miłej wizycie w tym gabinecie, gdy wszyscy zostaliśmy przez pewnego wyższego oficera milicji potraktowani jak banda złoczyńców.

Na wspomnienie reprimendy, jaką wypalił brydżystom, Niemiroch się uśmiechnął.

- Banda złoczyńców nie jesteście, ale jeden z was jest na pewno mordercą. Czyżby Lechnowicz aż tak lubił cyjanek potasu, aby się nim obżerać na przyjęciu u Wojciechowskich?

- Na pewno nie ja jestem tym złoczyńcą.
- A dlaczego nie? Miał pan poważne powody do usunięcia docenta z grona żyjących.
- Znam przepisy prawa i wiem, iż to wy musicie mi udowodnić przestępstwo. Jakie macie dowody?

- Sporo się ich zebrało. Pańska nienawiść do Lechnowicza jest ogólnie znana. Wystarczy wspomnieć proces o zaprzeczenie ojcostwa. A także późniejszą sprawę na kolegium o pobicie czy też usiłowanie pobicia docenta. Wyrok opiewał na pięć tysięcy złotych grzywny. Odwołania nie było. Skazany wołał zapłacić.

- Naturalnie, że wołałem zapłacić - zaperzył się doktor - niż dawać temu łobuzowi okazję do kolejnego przedstawienia. Pułkownik wyciąga historyjki sprzed szesnastu lat.

- A jednak te szesnaście lat trwał pan w nienawiści do tego człowieka. Nigdy pan nie zjawił się u Wojciechowskich wiedząc, że w tym czasie ich gościem jest Lechnowicz. Na dużych przyjęciach, jak na przykład imieniny profesora, wołał się pan nie stykać z docentem. Na pewno i w ubiegłą sobotę pan by nie przyszedł na Prezydencką, gdyby pan wiedział, że jest tam docent.

- Ma pan rację, nie przyszedłbym.
- A znalazłszy się w sytuacji przymusowej, doszedł pan do wniosku, że najwyższy czas rozciąć ten węzeł gordyjski. Słoik z białym proszkiem był niemal pod ręką.
- Jeszcze raz powtarzam, że to są insynuacje. Krwawa zemsta po szesnastu latach?

- Miał pan i dużo późniejsze powody do zbrodni.
- Jakież?
- Zazdrość.
- O Lechnowicza? On moją żonę skrzywdził znacznie mocniej niż mnie.

Nienawidziła go więcej niż ja.

- Sądzi więc pan - spokojnie zapytał Niemiroch - że ona zabiła? Jasińczaka ze złości mało szlag nie trafił.

- Pan mnie chwyta za słówka.
- Bynajmniej. Tylko wysuwam logiczny wniosek z pańskiego oświadczenia.
- Proszę zatem przyjąć do wiadomości moje oświadczenie, że ani ja, ani moja

żona Krystyna nie mamy z tą zbrodnią nic wspólnego.

- Pani Krystyny nie posądzam o przestępstwo.
- Dziękuję przynajmniej za to.
- Nie zabija się kogoś, do kogo się czuje sentyment..
- Dowiedział się pan, że ta kanalia opowiadała, iż wystarczy mu gwizdnąć,

aby Kryska do niego wróciła.

- Pan o tym powiedzeniu także wiedział - wtrącił porucznik.

• Mógł się pan obawiać, że w tych słowach jest przynajmniej trochę prawdy - dodał pułkownik.

- Jeszcze raz powtarzam, że on Krystynę skrzywdził bardziej niż mnie.

- A jednak pani Jasińczakowa poszła na pogrzeb Lechnowicza. Była jedyną osobą, która uroniła parę łez, kiedy trumnę spuszczano do grobu.

- Idiotka! - zaklął doktor. - A wy nawet na cmentarzach szpiclujecie.

- To nasz zawód. Szukamy mordercy wszędzie, gdzie to jest możliwe.

- Fakt, że żona bierze udział w pogrzebie swojego byłego męża, nie jest ani niczym dziwnym, ani niczym zdrożnym. Że ocierała łzy, jej sprawa. Kobiety są bardziej podatne na wzruszenia. Krystyna wyszła za mąż za Lechnowicza z wielkiej miłości i dopóki on nie zniszczył tego uczucia, na pewno go kochała. Wspominając swoją młodość i naiwność, mogła nawet uronić łezkę. Poza tym miała, jak każdy człowiek, współczucie dla ofiary zbrodni.

- Z naszej dotychczasowej rozmowy wcale nie wynika aby i doktor żywił

podobne uczucie.

- A pan postanowił mnie zdenerwować. Ale to się pułkownikowi nie uda. Nie uda się też panu uzyskać mego przyznania do popełnienia morderstwa, bo go po prostu nie popełniłem.

- Ile razy pan schodził do laboratorium po lód? Czy to było przed kolacją, czy po kolacji?

- Nie schodziłem po lód.

- A po co?

- W ogóle nie schodziłem na dół.

- Nie był pan tego dnia wcale w laboratorium Wojciechowskiego?

Przypominam, że jest pan obowiązany mówić prawdę.

- Byłem w laboratorium - doktor nie mówił, ale warczał - razem ze wszystkimi gośćmi Zygmunta. Do żelaznego repertuaru profesora należy pokazywanie gościom całego mieszkania, a przede wszystkim laboratorium. Każdy też na pożegnanie otrzymuje pudełko pasty do butów, wyprodukowanej przez Wojciechowskiego. Mam w domu kolekcję przynajmniej dziesięciu pudełek tego świństwa.

- Podobno doskonała pasta. Chroni obuwie przed wilgocią i przed solą.

- Może i chroni, ale buty nie mają połysku - Jasieńczyk miał półbuciki wyczyszczone na wysoki połysk. - Ja jej nie używam.

- Więcej pan do sutereny nie schodził?

- Nie schodziłem, nie schodziłem, nie schodziłem, nie...

- A kto i kiedy schodził?

- Każdy mógł wyjść z holu. Zejście na dół znajduje się pomiędzy drzwiami łazienki i WC. Natomiast widziałem, że z naczyniem po lód schodził najpierw Wojciechowski, potem Lechnowicz. To było przed kolacją, po kolacji raz przynosiła lód Elżbieta.

- A drugi raz?

- Krysia, kiedy była wychodzącą, poszła do kuchni, gdzie zmywała naczynia. Wracając zobaczyła, że już nie ma lodu, goście po kolacji pili dużo napojów chłodzących, więc także zeszła na dół i uzupełniła zapas w salaterce. Chyba później schodziła para: Anglik i ta aktoreczka filmowa. Długo szukali tych kostek...

- A pamięta pan, jak Lechnowicz poszedł do kuchni, do pana żony?

- Nie widziałem tego.
- Przecież musieliście na niego czekać z rozdaniem kart.
- Nie grałem w jednej partii z docentem i nie mam zwyczaju śledzić, kto na przyjęciach rozmawia z moją żoną.
- Przyznaje pan, że to jednak było dość dziwne. Zwłaszcza biorąc pod uwagę pańskie deklaracje, że pani Jasińczakowa tak nienawidziła swojego eks-małżonka,
- Gdyby nawet tak było, przecież nie mogła mu zabronić wejścia do kuchni. Jeżeli pan chce wiedzieć, o czym rozmawiali, niech pan ją sam zapyta.
- Jeśli będziemy ciekawi, na pewno nie omieszkamy tego uczynić.
- Proszę bardzo. Nie mam nic przeciwko temu.
- Nie skończyliśmy rozmowy o doktorze Maliniaku. Czego chciał telefonując do pana?
- Ponieważ wiedział, że byłem świadkiem śmierci Lechnowicza, Maliniak uważał za stosowne zawiadomić mnie o przyczynie tego zgonu. Znałem ją już z ust pana pułkownika. Nie byłem więc zdziwiony wiadomością zakomunikowaną mi przez kolegę.
- Rozmawialiście także o tym, że Lechnowicz miał słabe serce i że zawał groził mu naprawdę?
- Lechnowicz na przyjęciu u Wojciechowskich parę razy wspominał, że źle się czuje. Bodaj że Elżbieta zaproponowała, aby się zgłosił do mojej kliniki na przebadanie. Przecież nie mogłem mu publicznie powiedzieć „ani mi się waż, łobuzie”. Przystaknąłem i uprzejmie dodałem, aby się zgłosił wtedy, kiedy będzie dysponował wolnym czasem.
- Przyjąłby go pan do kliniki?
- Lekarz bez względu na własne sentymenty nie może nikomu odmówić pomocy.
- Pan mówił Maliniakowi o tej rzekomej chorobie serca docenta?
- Powtórzyłem Maliniakowi, że Lechnowicz na parę godzin przed zgonem narzekał na serce. Nie widziałem i nie widzę powodów, aby z tego robić tajemnicę.
- Przyjaciół poszedł na rękę kardiologowi i w protokole sekcji zwłok umieścił parę zdań mówiących o tym, że Lechnowicz znajdował się w stanie przedzawałowym.

- Ja doktora Maliniaka o to nie prosiłem. Jeśli tak napisał, to na pewno miał podstawy w wynikach sekcji. Jakie to ma znaczenie dla sprawy?

- Żadne. Dla niektórych lekarzy, być może, duże. W każdym razie pięknie świadczy o solidarności zawodowej.

Jasieńczak zacisnął usta i nic nie odpowiedział.

- Proszę opisać przebieg sporu z Lechnowiczem w czasie brydża.

Doktor szczegółowo zrelacjonował wybuch i rozwój kłótni. Nawet doskonale pamiętał, jakie wtedy miał w ręku karty i jakie mu wyłożył na stół profesor Lepato. Relacja lekarza całkowicie zgadzała się z poprzednimi zeznaniami partnerów brydżowych i Elżbiety Wojciechowskiej.

- Siedział pan w ten sposób, że musiał pan widzieć panią Wojciechowską podającą koniak Lechnowiczowi. Czy nie zauważył pan czegoś szczególnego? - zapytał Niemiroch.

Jasieńczak długo się namyślał.

- Elżbieta - wyjaśniał - trzymała dwa kieliszki. W jednym ręku z winem, w drugim z koniakiem. - Podawała koniak docentowi, a sama piła wino. Wtedy też powiedziała coś Lechnowiczowi. Mówiła cicho i nie dosłyszałem jej słów. Musiała go jednak dobrze obrugać, bo pocałował ją w rękę. Chyba przepraszał za swoje zachowanie. Jeszcze jedno, docent wypił cały kieliszek koniaku od razu.

- A pan?

- Chyba także, bo byłem zdenerwowany. Pierwszy raz w życiu licytowałem wielkiego szlema i ta awantura! Bałem się, że Poturycki, który też jest kawałem wariata, naprawdę nie będzie chciał dalej grać.

- Chodzi mi właśnie o koniak Lechnowicza. Czy nie zauważył pan, że wbrew zwyczajom kieliszek był nalany do pełna?

- Dobrze, że pan mi o tym przypomniał. Ale chyba nie do pełna, lecz tak trzy czwarte. Z przyjemnością spostrzegłem, że i Lechnowicz był zdenerwowany. Ręka mu się trzęsła. Kieliszek trzymał trochę krzywo, tak że parę kropel koniaku wylało się na dywan. Chyba roztarł je butem... Zaraz potem wypił koniak i upadł. Zerwałem się na ratunek. Ale wystarczyło się nad nim nachylić, aby stwierdzić, że na ratunek jest za późno.

- Zdarzają się takie błyskawiczne zawały?

- Tak. Jeśli nastąpi duże zaczopowanie serca, jego akcja od razu ustaje. To

przynosi natychmiastowy zgon. Ponieważ przedtem Lechnowicz skarżył się na złe samopoczucie, nie widziałem niczego podejrzanego w tej nagłej śmierci.

- Jakiego koloru podstawki do kieliszka pan używał?
- Czerwonej.
- A inni goście?
- Nie zwracałem na to specjalnej uwagi.
- Profesor Wojciechowski podawał wam alkohole, kiedy interweniował, aby zapobiec większej awanturze. Pytał, co komu podać?

- Pytał. Powiedziałem, że mój kolor to czerwień. Poturycy zawsze wybiera zielony, bo to barwa adwokatów. Aktorka i Anglik mieli podstawki brązowe i białe, ale nie pamiętam tego ściśle. Co do gości grających przy drugim stoliku, zupełnie się nie orientuję. Panie chyba nie miały podstawek, bo piły likiery. Używały kieliszków innego kształtu.

- Czy w zachowaniu gości profesorostwa Wojciechowskich nie zauważył pan czegoś odbiegającego od normy?

- Ten Anglik, czy też angielski Polak, był w tym gronie obcym człowiekiem. Jeżeli ktokolwiek jest mordercą, to na pewno on.

- Faktem jest, że o samobójstwie nie może być mowy. Jeden z gości profesora, względnie sam Wojciechowski, jest zabójcą.

- Wojciechowski na pewno nie. To człowiek o gołębim sercu. Muchy by nie zabił. Najlepszy dowód, że po wszystkich świństwach, jakie docent wyrządził profesorowi, on mu je wybaczył i nawet zapraszał do swojego domu. Był taki moment, że udało mi się na osobności zamienić parę słów z Zygmuntem. Robiłem mu wymówki, że nas naraża na spotkanie z tym panem. On mi tłumaczył, że powinniśmy się pogodzić z Lechnowiczem, bo „on się bardzo zmienił”. Jak gdyby można było zmienić wilka zamykając go w owczarni.

- Wracając do Henryka Lepato, co pan może o nim powiedzieć?

- Zachowywał się jak detektyw. W pracowni wszystko oglądał, sam musiał wszystkiego dotknąć. Nawet blat na stole doświadczeń nie uszedł jego uwagi. Badał go nożem i zgasił o niego papierosa. Przed szafką z truciznami stał chyba ze trzy minuty i uważnie badał jej zawartość. Aż się wspinał na palce, aby lepiej odczytać napisy na tych wszystkich słoikach i buteleczkach. Ja w ogóle nie wiedziałem, że Zygmunt ma w domu cyjanek potasu, i do dziś bym nie wiedział, gdyby Lepato nie

zauważył, „profesor ma tutaj bogatą kolekcję trucizn, nawet KCN w niej się znajduje”. A potem, kiedy panie nakrywały do kolacji, zaś goście znajdowali się w większym pokoju, Anglik został w bibliotece i mogę przysiąc, że zaglądał do szuflad biurka, które tam stoi. Także w czasie zwiedzania pierwszego piętra Willi Lepato w pokoju profesora podszedł do stojącego tam biurka i ogromnie interesował się leżącymi na nim papierami. No, ale wy - dodał złośliwie Jasieńczak - pozwoliliście temu panu wrócić na Zachód. Dla was mordercą jest doktor Jasieńczak i tylko w tym kierunku prowadzicie dochodzenie.

- Jaki cel miałby Anglik w zamordowaniu Lechnowicza? Że myszkował w papierach Wojciechowskiego, to nie znaczy, że zabił docenta. Fakt, iż zwrócił uwagę wszystkich na słoik z cyjankiem w szafce, także raczej przemawia na jego korzyść. Morderca zachowałby taką wiadomość dla siebie.

- Dziwi mnie - dodał doktor - że przestępca w ogóle nie usunął cyjanku z laboratorium. Naturalnie po zaopatrzeniu się w odpowiednią porcję potrzebną dla popełnienia zbrodni. Przecież wystarczyło wysypać biały proszek do zlewu i odkręcić kran. Słoik dobrze wymyć, usunąć etykietkę i umieścić naczynie wśród wielu innych, pustych, stojących pod stołem.

- To by zabrało trochę czasu - odpowiedział pułkownik. - Ktoś mógłby wejść do laboratorium. A poza tym mordercy zależało, aby cyjanek pozostał na swoim miejscu. Żebyśmy wiedzieli, że trucizna była ogólnie dostępna dla wszystkich gości profesora.

- Każdy z gości Zygmunta mógł się w cyjanek zaopatrzyć nie sięgając do szafki w laboratorium.

- Tak. Ale z wyjątkiem trzech osób: Anglika, Badowicza i pani Boweri, nikt nie wiedział, że docent będzie na przyjęciu.

- Ci niewiedzący to ja z żoną i Poturyccy? Pan pułkownik, jak dobry furman, znowu nawraca do ulubionej teorii, że mordercą jest Jasieńczak.

- W każdym razie jednym z najbardziej podejrzanych. Mającym poważne motywy zbrodni.

- Trzeba było mnie uprzedzić, abym wziął ręcznik, mydło, szczoteczkę do zębów i zapasowy komplet bielizny.

- Zawsze pan to zdąży zrobić. Dzisiaj jeszcze pan wyjdzie z tego gmachu. Brakuje mi paru drobiazgów do zamknięcia dochodzenia. Na tym też skończymy

naszą rozmowę.

Doktor Jasieńczak wstał, nie próbował nawet pożegnać się z obu oficerami MO. Wyszedł z pokoju zbyt mocno zamykając drzwi za sobą.

- Ostro pan pułkownik wziął się za niego - roześmiał się Roman

Mierzejewski.

- Z jednymi można dobrocią, drugich trzeba brać na krzyk.

- Niewiele nam jednak pan doktor powiedział.

• Ale parę ciekawych rzeczy ujawnił. Jak choćby to myszkowanie Anglika w papierach profesora i w laboratorium. To naprawdę interesujące. Bez postraszenia Jasieńczak zapewne ust by w tej sprawie nie otworzył. Ale ponieważ traktowałem go jako głównego podejrzanego, uważał, że musi obciążyć kogoś innego. Więc wskazał na profesora Lepato, który, jak teraz wiemy, nie powiedział nam całej prawdy.

• Pułkownik myśli, że on kłamał mówiąc o Lechnowiczu? Przecież sam badałem akta w Biurze Historycznym.

• O Lechnowiczu Anglik powiedział nam bardzo wiele. Na pewno nie kłamał. Chodzi nie o to, co powiedział, tylko, co świadomie przemilczał. Mniejsza jednak o to. I tak wiemy coraz więcej.

• Może rzeczywiście źle się stało, że pułkownik pozwolił panu Lepato opuścić Warszawę?

- To nie ma znaczenia. On i tak nie jest mordercą.

- Więc jednak Jasieńczak?

• Gdybym Jasieńczaka uważał za przestępcę, nie rozmawiałbym z nim w ten sposób... Chciałem go jedynie zmusić do mówienia. To mi się udało. Może nie w stu procentach, jednakże przynajmniej w osiemdziesięciu. To też dobrze.

• Przesłuchaliśmy dotychczas - stwierdził porucznik - siedem osób. Pozostało jeszcze dwóch: profesor Wojciechowski i mecenas Poturycki.

- Już tylko dwóch - poprawił Niemiroch.

• Dotychczas przesłuchiwanie zdołali w dużej mierze uprawdopodobnić swoją niewinność. Można zatem przypuszczać, że morderca kryje się w jednej z tych dwóch postaci. Wojciechowskiego wszyscy bronili i wszyscy podkreślali prawość profesora. Pozostałby na placu boju adwokat. Chyba że ta siódemka wprowadziła nas w błąd. Boję się, że trzeba będzie jeszcze raz zaczynać od początku.

- Nie zapowiada się aż tak źle. Każdy z dotychczas przesłuchiwanym wniosł

do sprawy pewne zasadnicze elementy. Sądzę, że i od dwóch pozostałych także dowiemy się następnych ciekawych faktów. To tak jak z dziecinną łamigłówką. Na każdej kostce jest fragment jakiegoś kolorowego obrazka, ale trzeba mieć wszystkie klocki, żeby złożyć cały obrazek. Liczę, że Poturycki i Wojciechowski przyniosą nam te brakujące kostki. A wtedy ujrzymy nasz portret mordercy.

- Nigdy nie umiałem rozwiązywać dziecięcych łamigłówek.
- Nauczysz się, Romeczku, nauczysz - pułkownik Niemirosch był najwyraźniej zadowolony z przebiegu dochodzenia.

Rozdział XIV

Długie drogi wynalazków

Profesora Wojciechowskiego pułkownik Niemirosch przesłuchiwał „prywatnie”. Bez pisania protokołu, chociaż w obecności porucznika Mierzejewskiego. Niemirosch od razu uprzedził, że będzie musiał powtórnie wezwać uczonego dla sporządzenia oficjalnego dokumentu, a teraz zaprosił go jedynie po to, aby porozmawiać o szczegółach tamtej tragicznej soboty.

- Do tej pory nie mogę zrozumieć., komu zależało na śmierci tego chłopaka] - wprawdzie Lechnowicz miał już czterdzieści osiem lat, ale dla Wojciechowskiego najwidoczniej pozostał tym młodym chłopcem, który tak niedawno rozpoczynał studia. To „niedawno” także sięgało ćwierćwiecza.

- Właśnie - przytaknął Niemirosch. - Ciągłe szukamy motywów tej zbrodni. Musiał bowiem istnieć jakiś bardzo ważny powód, który skłonił zabójcę do sięgnięcia po truciznę. A propos, do czego profesor używał cyjanku potasu?

- Moim hobby - roześmiał się profesor - jest „chemia gospodarstwa domowego”. Bawię się produkowaniem doskonałej pasty do butów. Nawet przyniosłem panom po pudełeczku - to mówiąc Wojciechowski podał obu oficerom dwa małe porcelanowe słoiki, w jakich zazwyczaj kupuje się kremy kosmetyczne. - Znakomicie chroni obuwie przed wilgocią i zabezpiecza je przed solą wysypywaną w takiej ogromnej ilości na ulice i chodniki Warszawy.

- A czy także daje połysk?
- Do tego nie przywiązywałem specjalnej wagi - zdziwił się uczonego - ale to można uzyskać: bez trudu dodając wosk pszczeli.

- W tej paście jest cyjanek?
- Ale skądże! - zaprotestował Wojciechowski. - Cyjanku używam, zresztą w bardzo małej ilości, do płynu, do prania zamszowych płaszczy i czyszczenia futer. Produkuję także proszki do prania, ale bez żadnych trucizn. Pochlebiam sobie, że są lepsze niż te znajdujące się w handlu, gdyż nie powodują uczuleń i nie niszczą rąk.
- A kosztują?
- Nie licząc mojego czasu kilkakrotnie drożej niż najdroższe. Ale nie chodzi o koszt, lecz o własną przyjemność.
- Żona także bawi się taką domową produkcją?
- Ela na to nie ma czasu. Praca zawodowa, dom, dziecko. Czasem zagląda do laboratorium, ale wtedy zajmuje się wyłącznie chemią kosmetyczną. Wyrabia dla siebie jakieś kremy i eksperymentuje przy produkcji perfum i wód kolońskich. Ale to nie są wielkie osiągnięcia, bo do dobrych perfum potrzeba pewnych organicznych utrwala czy, dla nas, ludzi prywatnych, zupełnie niedostępnych. Jednakże udało jej się wytworzyć ciekawą kompozycję zapachową, której używa, a którą pozwoliłem sobie nazwać „perfumy Eli” - Żona musi mieć znakomity zmysł powonienia.
- Wprost fenomenalny. Nieraz śmiała się, że musi pochodzić z prostej linii od jakiegoś psa i po tych przodkach odziedziczyła ten węch.
- A wzrok?
- To też śmieszne. Psy, jak pan wie, mają słaby wzrok. Elżbieta nie może się poszczycić lepszym.
- Czy pan profesor pamięta przebieg wydarzeń tamtej soboty?
- Oczywiście. Długo będę pamiętał.
- Dziwię się, że pan Lechnowicz wywołał kłótnię w obcym domu. Wtedy nawet nie grał i nie był zainteresowany w przebiegu tej patii.
- Pod pozorami spokoju krył się w Stachu nieopanowany histeryk, który nagle dokonywał posunięć dla nikogo niezrozumiałych.
- Był podobno bardzo ambitny.
- Ogromnie. Wszędzie musiał być pierwszym. Dla głupiego żartu, dla osiągnięcia tego, aby go inni podziwiali, umiał sobie robić śmiertelnych wrogów. Pan pułkownik na pewno zna słynny proces o zaprzeczenie ojcostwa czy jeszcze przykrzejsze sprawy z Poturyckim, a później choćby ze mną.
- Afera z Poturyckim może być tłumaczona tamtejszym klimatem

politycznym, panującym w niektórych organizacjach młodzieżowych. Przecież to epoka błędnej teorii Stalinowskiej o zaostrowaniu się walki klasowej. Nic więc dziwnego, że młody człowiek bez zastrzeżeń wierzył w to, w co wierzyli i inni.

- Stachowi przede wszystkim chodziło o zdobycie ogólnego podziwu. W gruncie rzeczy polityką ani przedtem, ani później specjalnie się nie zajmował. Wytaczając zarzuty przeciwko mnie, także chciał zwrócić na siebie uwagę całego świata naukowego. To mu się zresztą udało, ale z fatalnym dla niego skutkiem. Ten człowiek pragnący olśniewającej kariery tylko sobie szkodził swoimi nie przemyślanymi posunięciami. Jedyna droga prawdziwego sukcesu dostępna dla niego to była właśnie chemia.

- Podobno był bardzo zdolny?

- Nie miałem i nigdy nie będę miał takiego ucznia. Zdolny to za słabo powiedziane. To był umysł wielkiego uczonego. Odejście z politechniki bardzo mu w tej karierze zaszkodziło. W zakładzie PAN-u musiał zaczynać od zera w zupełnie innej dziedzinie chemii. Ale i tam szybko zaczął się wysuwać do przodu.

- Zrobił jakiś wynalazek?

- Nie, ale dał się poznać jako doskonały teoretyk. Niektóre jego koncepcje zapowiadają się wprost rewelacyjnie. Obawiam się, że śmierć ich twórcy położy kres tym pracom. Po prostu zabrakło następcy.

- Nie chciał wrócić na politechnikę?

- Jak pewnie pan pułkownik wie, Lechnowicz publicznie mnie przeprosił i odwołał wszystkie zarzuty. Ja już przedtem przestałem do tego chłopca żywić jakiegokolwiek pretensje. Proponowałem mu więc powrót na uczelnię. Przyznaję szczerze, jedynie w nim widziałem człowieka, który w przyszłości mógłby kontynuować moje skromne osiągnięcia. Ale Stach odmówił.

- Dlaczego?

- Tłumaczył, że i tamte prace w PAN-ie bardzo go interesują; Podobno mu przyrzeczono, że przy najbliższych nominacjach Rada Państwa nada mu tytuł profesora nadzwyczajnego. Powrót na politechnikę na parę lat prze-] kreśliłby te możliwości. W pewnym stopniu przyznawałem mu rację.

- Pan profesor dokonał ostatnio jakiegoś rewelacyjnego - i go wynalazku?

Uczony uśmiechnął się.

- Dzisiaj w chemii współczesnej żaden uczony w pojedynkę nie dokona

żadnego odkrycia. Rzeczywiście w moim zakładzie pracujemy nad pewnym nowym tworzywem sztucznym. Te próby zapowiadają się interesująco. Ale za I wcześniej prorokować pozytywne rezultaty.

- Słyszałem, że nowe tworzywo jest trwalsze od najtrwalszej stali, a także bardzo odporne na wszelkie wysokie temperatury. Wymarzony materiał dla przemysłu lotniczego czy kosmicznego.

- To nie jest takie proste - tłumaczył Wojciechowski. - vi To tworzywo ma podobne zalety, ale także i różne wady. I Trzeba je wyeliminować, a to wymaga setek czy nawet tysięcy prób i doświadczeń. W naszych warunkach co I najmniej dwa lata pracy.

- Dlaczego?

- Celem politechniki jest kształcenie chemików, a nie produkcja mas plastycznych. Nasze laboratoria, chociaż dość dobrze przygotowane do celów pedagogicznych, nie mają warunków sprzyjających pracy nad nowymi wynalazkami. Musimy improwizować. Wicie aparatury produkujemy we własnym zakresie chałupniczymi metodami.

- Nie boi się pan, że jakiś zagraniczny koncern wejdzie w posiadanie próbki nowego tworzywa i ukradnie wam ten wynalazek? Przecież zbadanie składu chemicznego takiej masy nie przedstawia większej trudności. Na pewno nawet nasz zakład kryminalistyki by się z tym uporał. Uczony ponownie zaczął się śmiać.

- Od razu widać, że panowie są specjalistami w zupełnie innej dziedzinie niż chemia organiczna. Zupełnie nie ma potrzeby robienia analizy składu chemicznego naszego tworzywa, bo ten skład jest znany nawet początkującym studentom. To po prostu łańcuch wodorotlenowy. Tajemnica leży nie w składzie chemicznym, ale w sposobie produkcji. W użyciu odpowiednich katalizatorów, no i naturalnie proporcji ilościowych. Temperatura procesu chemicznego, długość jego trwania, oto problemy zasadnicze. To są sprawy skomplikowane i przypuszczam, że żaden z moich współpracowników nie potrafiłby doprowadzić dzieła do końca, gdyby mnie nagle zabrakło. W każdym bowiem zespole badawczym jest jeden człowiek, który obejmuje całość badań i ma inicjatywę podejmowania nowych prób.

- Tak pan wychwalał docenta Lechnowicza, że zapewne on dałby sobie radę z tym zagadnieniem?

- Może jeden Lechnowicz. Ale on także musiałby opanować wiadomości już

nam znane. Bez tego i on by się nie połapał w zagadnieniu, bo przecież już dawno odszedł od tej dziedziny chemii.

- Podobno pan pokrył tym nowym tworzywem blat stołu w swoim domowym laboratorium. Czy to prawda?

- I to milicja zdażyła zbadać?

- Jak pan widzi, profesorze. Staram się.

- Produkując jakieś nowe tworzywo, trzeba je wypróbować we wszystkich warunkach. To, co pokrywa stół w pracowni chemicznej, musi być odporne na kwasy, na ogień i na inne chemikalia. Wszystkie stoły w laboratoriach politechniki kazałem pokryć tym tworzywem. Nie zapomniałem też i o moim pocziwym stoliku w suterenie naszej willi.

- Pan rozmawiał z angielskim profesorem o tym, nad czym obecnie pracujecie?

- Kiedyś rozmowa zesła na ten temat, ale tylko ogólnikowo. On się tym specjalnie nie interesował: Coś tam I bąknął przez grzeczność. Znacznie więcej go obchodziła osoba Lechnowicza.

- Wspominał panu profesorowi, że znali się z do - centem?

- Nie. Mówił jedynie, że czytał pracę Lechnowicza. Okazał nawet zdziwienie, kiedy się ode mnie dowiedział, że Stach od kilku lat nie pracuje na politechnice i nie interesuje się chemią tworzyw sztucznych.

- Jeszcze jedno, profesorze. Gdyby pan miał do swojej dyspozycji takie laboratorium, jakimi dysponuje na przykład Związek Radziecki czy wielkie koncerny w Stanach Zjednoczonych, jak długo wtedy trwałaby praca przy pana odkryciu?

- Gdyby wszystko przebiegało pomyślnie i gdybyśmy mieli do swojej dyspozycji komputer, to i tak sędę, że trzeba byłoby jeszcze z pół roku intensywnej pracy, aby dobić do portu. Naturalnie przejście od doświadczeń laboratoryjnych do produkcji przemysłowej także zajęłoby w amerykańskich warunkach co najmniej ze trzy, cztery miesiące.

- Można powiedzieć, że w rok mielibyście to z głowy?

- W chemii nie ma postojów. Jeśli się dokona jednego wynalazku, pracuje się dalej nad jego ulepszeniem. Tworzywa sztuczne znane są już od wielu dziesiątków lat, jeśli nie dłużej. A ciągle udaje się uczonym wyprodukować lepsze i tańsze oraz o

coraz bardziej wszechstronnym zastosowaniu. Nasze tworzywo jest jednym z długiego łańcucha odkryć w tej dziedzinie. Bynajmniej nie ostatnim.

- A jakie było zdanie Lechnowicza na temat waszej pracy? Wiedział o niej. Czyba pan nie trzymał tego przed nim w tajemnicy?

- W ogóle, jak już panu wyjaśniłem, pułkownikowi, nie ma tu wielkich tajemnic. Jedynie pewne trudności produkcji. Stach, kiedy się dowiedział, nad czym teraz pracujemy, początkowo się do tego zapalił. Kilkakrotnie przychodził do naszego laboratorium i pomagał nam w eksperymentach. Wziął też próbki otrzymywanych przez nas mas do siebie, aby w laboratoriach PAN poddać je takim doświadczeniom, jakie w naszych politechnicznych warunkach nie były możliwe do przeprowadzenia. Jak mi potem referował, wyniki otrzymał negatywne. To widocznie Lechnowicza ostudziło, bo szybko stracił zainteresowanie naszą pracą, chociaż próbowałem go do niej wciągnąć, bo tak zdolny współpracownik na pewno by się nam bardzo przydał.

- Tak się z panem profesorem przyjemnie gawędzi o chemii, że zupełnie zapomniałem, iż muszę poruszyć bardziej przykre tematy. Trzeba wracać do tamtej tragicznej soboty. Jak pan myśli, kto był zabójcą Lechnowicza? Zna pan przecież doskonale swoich gości.

- Z wyjątkiem trójki: pani Boweri, którą widziałem wtedy po raz pierwszy, pana profesora Lepato, którego wprawdzie poznałem w Anglii, ale z którym łączyła mnie raczej przelotna znajomość, i profesora Badowicza, którego także mniej znam, bo pracuje na Śląsku.

- Kto był inicjatorem zaproszenia docenta na brydża?

- Wyłącznie ja. Wprawdzie zarówno Badowicz, jak i Lepato chcieli się zetknąć z docentem, ale pomysł zorganizowania gry na dwa stoliki jest moim własnym. Ela była mu przeciwna, wiedząc, jak Lechnowicz skłócony jest z Poturyckim i Jasińczakami.

- Nie bał się pan, że takie spotkanie może się skończyć jakimś nieprzyjemnym zgrzytem?

- Trochę się bałem. Dlatego przedtem rozmawiałem ze Stachem. On jednak chętnie zaakceptował to spotkanie i wyraził nadzieję, że będzie to pierwszy krok do zgody. Uważał, że po tylu latach tamci panowie powinni byli puścić w niepamięć jego „głupotę”. Tak dosłownie określił swoje dawne postępowanie. Lechnowicz ostatnio się zmienił. Przez te przeszło pół roku, które upłynęło od czasu wznowienia

pomiędzy nami „stosunków dyplomatycznych”, nie mogłem go poznać. Zupełnie inny człowiek.

- Po rozmowie z docentem uznał pan, że przebieg spotkania zapowiada się gładko, bez żadnych zgrzytów?

- Nie polegałem wyłącznie na Lechnowiczu. Skomunikowałem się zarówno z Poturyckim, jak i z Jasieńczakiem. Obaj mieli pewne zastrzeżenia, zwłaszcza doktor, ale zdołałem ich przekonać. Jasieńczak prosił tylko, żeby całą rzecz utrzymać w tajemnicy przed Krysią, bo ona, biedactwo, ze zdenerwowania rozchorowałaby się albo w ogóle nie przyszła. Mecenas nie wysuwał takich zastrzeżeń, bo jego pani nigdy nie miała na pieńku ze Stachem. Cała tamta afera zdarzała się dawno, zanim Leonard poznał swoją żonę.

- No tak - zgodził się pułkownik. - Skoro trzej panowie nie wysuwali zasadniczych obiekcji, brydż mógł się odbyć bez przeszkód.

- Stach zachowywał się bez zarzutu. Witając się z Poturyckim i z przybyłym nieco później Jasieńczakiem skromnie czekał, aż oni pierwsi wyciągną do niego rękę. Wyraził również nadzieję, że to spotkanie, pierwsze po wielu latach, nie będzie ostatnim. Deklarował się, że jest gotów do każdej rekompensaty za popełnione głupstwa. Poturycki przyjął te słowa zupełnie spokojnie, Jasieńczak coś tam wymruczał, zaś Krysią była po prostu wniebowzięta.

- Zachowała sentyment do byłego męża?

- Sentyment to za mocne słowo. W każdym razie cieszyła się z pewnej normalizacji stosunków towarzyskich. Bo dotychczas wszyscy urządzali najróżniejsze łamańce, aby ci zwaśnieni, broń Boże, nie zetknęli się w ich domach. Tak się składa, że należymy do niezbyt wielkiego, ale zgranego kółka starych przyjaciół. Te spory lekarza i mecenas z docentem diabło komplikowały nasze kontakty.

- Podobno Lechnowicz skarżył się na serce?

- To jego nowy konik. On także mnie wmawiał, że źle wyglądam i że muszę mieć coś z sercem nie w porządku. Powtarzał mi to przynajmniej miesiąc przed tym nieszczęsnym brydżem. Nawet Elę kiedyś porządnie postraszył, tak że żona postanowiła zaciągnąć mnie na elektrokardiografii.

- Jaki był jego wynik?

- W ogóle nie poszedłem. Ale wybierałem się w tych dniach.

- Podobno na przyjęciu mówiono o tym, że Lechnowicz uda się do kliniki

Jasieńczaka na szczegółowe przebadanie?

- Tak. To zaproponowała Elżbieta licząc na to, że i mnie tam zapakuje.

Dodała, że w czasie wspólnej kuracji będziemy mieli wiele tematów do rozmowy. Stach był zawsze histerykiem, więc teraz histeryzował na temat swojego zdrowia. A jak kobieta sobie coś wmówi, to także nie ma sposobu, żeby jej to spod czaszki wybić. Dla świętego spokoju gotowy byłem oddać się w ręce tego konowała Jasieńczaka, chociaż jestem pewien, że moje serce jest w największym porządku.

- Znowu, profesorze, odbiegliśmy od tematu. Faktem jest, że Lechnowicz został zamordowany. Kim, zdaniem pana, jest przestępca?

- Za wszystkich moich gości ręczę. Także i za Elżbietę. Pozostaje moja skromna osoba. Chwilami łapię się na myśli, że to ja wsypałem ten nieszczęsny cyjanek do kieliszka mojego ucznia. Żebym jeszcze wiedział, po co?

- Dwie osoby spośród pańskich przyjaciół miały poważne motywy morderstwa. Jasieńczak i Poturycki.

- Nonsens! Poturyckiego znam dobrze. Typowy potomek dawnej polsko-ukraińskiej magnaterii. Warcholiłby na sejmikach, teraz się może wyżywać tylko na sali sądowej. Gdyby mógł wówczas wyzwać Lechnowicza na pojedynek, biłby się do ostatniej krwi. Ale epoka kodeksu Boziewicza minęła i nie wróci. Poturycki dzisiaj to także nie ten sam młody człowiek, którego wyrzucono z organizacji młodzieżowej za nieklasowe pochodzenie. Obecnie jest znanym adwokatem, doskonale zarabiającym, do którego trzeba się specjalnie zamawiać i prosić o przyjęcie sprawy. Lubi podróże i turystykę. Lubi co parę lat zmieniać samochód. Właśnie rozbija kolejne auto. Co roku spędza urlop gdzieś na południu. Grecja, Turcja, Hiszpania. Jego bogaci przodkowie, władający całymi kluczami i folwarków na czarnoziemiu Ukrainy, nie mogli sobie wówczas pozwolić na podobne zbytki. Ten człowiek miałby to wszystko ryzykować dla mirażu zemsty za historię sprzed dwudziestu pięciu lat?

- A doktor Jasieńczak?

- Witolda znam jeszcze lepiej, bo to mój kolega z ławy szkolnej. On w gruncie rzeczy powinien być wdzięczny Lechnowiczowi. Dzięki temu ma piękną żonę i upragnione dzieci. Że się tam z niego kiedyś trochę „Warszawka” podśmiała? Cóż z tego? Kto dziś pamięta tamte zdarzenia? A wszyscy znają sławnego kardiologa doktora Jasieńczaka i jego uroczą małżonkę.

- Jednak doktor zawsze wyrażał się o Lechnowiczu nie inaczej niż „łobuz”

czy „kanalia”. Był też bardzo zazdrosny. A Lechnowicz mawiał, że w każdej chwili może panu Witoldowi zabrać Krystynę.

- Znam to słynne powiedzenie o „gwizdnięciu”. Stach raz coś lapnął po paru wódkach, a usłudni, których nigdy nie brakuje, zrobili z tego całą historię. W każdym towarzystwie Lechnowicz musiał brylować i musiał epatować. Więc wtedy ktoś wymienił nazwisko sławnego kardiologa, a Stach wyskoczył ze swoim „gwizdnięciem”.

- Słowem, mamy trupa i dziewięciu niewinnych - ironizował Niemiroch.

- To właśnie jest najdziwniejsze i najstraszniejsze w całej tej sprawie. Tego właśnie nie mogę zrozumieć - profesor bezradnie rozłożył ręce.

- W czasie przyjęcia wszystko szło według planu pana profesora i nagle wybucha awantura, sprowokowana przez Lechnowicza. Jak pan to tłumaczy? Przecież ten brydż miał resztę pańskich przyjaciół przekonać do osoby docenta i on sam o tym dobrze wiedział.

- Stach pił dużo. Nie mam zwyczaju liczyć gościom wypitych kieliszków, ale i przed kolacją, i w czasie jej trwania Lechnowicz nie wylewał za kołnierz. Inni czasem markowali, pili połówkami, on golił do pełna za każdym razem.

- Czy zawsze się tak zachowywał?

- Nie. Raczej nie należał do pijących. Czasami dał się wciągnąć do knajpy, gdzie wypił parę wódek. U nas na przyjęciach, a dawniej bywał prawie na każdym, nigdy sobie na coś podobnego nie pozwalał. Sądzę, że to wódka na niego tak podziałała.

- Czy po wypiciu alkoholu stawał się kłótniwy i zadziorny?

- Pod tym względem i na trzeźwo niczego mu nie brakowało. Ale ostatnio nauczył się panować nad swoimi odruchami.

- Może chciał sprowokować Poturyckiego?

- Nie. On przecież sprowokował wszystkich. Nawet pani Boweri zareagowała ostro na jego uwagi. Gdybym nie interweniował, kto wie, do czego by tam doszło. Ale wystarczyło parę moich słów i sytuacja wróciła do normy. A Stach odszedł od stolika. Co za pech, że wtedy nie grałem w tej partii. Nigdy bym nie dopuścił do takiej wymiany słów. Sądzę, że i Stach panowałby bardziej nad sobą.

- Panie profesorze, dla nas ta awantura jest bez znaczenia. Czyby do niej doszło, czy nie, los Lechnowicza i tak był przesądzony. Trucizna już stała na barku.

Prędzej czy później by ją wypił. Może nie jednym haustem, ale przy tym stężeniu cyjanku potasu w alkoholu nie robiło to specjalnej różnicy.

- To prawda - zgodził się Wojciechowski. - Straszna historia.

- Kto schodził do laboratorium po lód? Czy pan pamięta?

- Ja sam schodziłem. Ela chyba za dwa razy. Przed kolacją Stach przynosił kostki. Potem Krysia. Bodaj że i pani Boweri z Anglikiem. Lodu szło dużo, bo w mieszkaniu było ciepło, towarzystwo sporo piło i ratowało się coca-colą oraz sokami owocowymi. Na barku stały butelki z alkoholem, na niskiej kondygnacji coca-cola i soki.

- Kieliszki goście oznaczali kolorowymi serweteczkami. A szklanki na napoje chłodzące?

- Szklanki stały także na niższej kondygnacji barku. Każdy, kto pierwszy raz korzystał z tych płynów, nalewał sobie szklankę i odchodził z nią z powrotem do gry. Tam stawiał szklankę obok siebie na małym stoliczku, właściwie na zydelku. Potem, jeżeli nadal dokuczało pragnienie, grający ze swoją szklanką wędrował po nową porcję napitku. Nie było więc potrzeby oznaczenia szklanek. Natomiast alkohol raczej pito przy barku, odstawiając kieliszek na swoje miejsce. Oczywiście ktoś mógł z kieliszkiem wrócić do gry i sączyć koniak podczas rozgrywki. Wtedy odnosił przy okazji pusty kieliszek. Często ja i Ela wyręczałiśmy w tym naszych przyjaciół i uzupełniali alkohol, w szkle. Gdy wybuchła ta nieszczęsna awantura, uważałem, że najlepiej będzie rozładować napięcie z pomocą alkoholu. Sam podawałem całemu towarzystwu siedzącemu przy stoliku ich kieliszki, pytając przy tym o kolor serwetki.

- Pamięta pan te barwy?

- Poturyckiego zielony. Zresztą jak zwykle. Jasieńczaka czerwony. Pani Boweri biały, zaś pana Lepato brązowy.

- A pański, profesorze?

- Mój był różowy, ale ja nie piłem z nimi.

- Dlaczego?

- Przy kolacji sporo wypilem. Uważałem, że gospodarz musi być trzeźwy, tym bardziej że goście jakby trochę przebrali miarkę. Ta kłótnia najlepiej o tym świadczyła.

- Podobno panuje u państwa zwyczaj, że rozchodzący się goście piją „strzemienego”. Czy to prawda?

- Przeważnie tak się to kończy. Jeżeli kto ma coś w swoim szkiełku, to przed wyjściem opróżnia je, aby, jak to się powiada, „zaczny trunek się nie marnował”. Kto chce, może sobie także nalać. Nie jest to żadnym przymusem towarzyskim. Nigdy nikogo nie namawiam do picia alkoholu, chociaż nigdy go swoim gościom nie żałuję.

- A kolory podstawek innych gości?

- Lechnowicza niebieski. Ela piła wino i stawiała kieliszek na blacie barku. Krysia Jasińczakowa wybrała kolor żółty. Badowicz miał fioletową serweteczkę, taką samą jak Janka Poturycka, ale ona piła likier.

- Pan ma świetną pamięć, profesorze. O te szczegóły pytaliśmy wszystkich przesłuchiowanych i jedynie pan nam mógł powiedzieć dokładnie.

- Tylko dzięki tej pamięci czegoś w życiu dokonałem.

- Czy ta nagła śmierć nie wzbudziła pańskich podejrzeń?

- Nie. Tym bardziej, że Lechnowicz dwie godziny przedtem skarżył się na serce. A w mieszkaniu był sławny kardiolog, który stwierdził zawał.

Adam Niemirowicz podziękował uczonemu za rozmowę i odprowadził do wyjścia z gmachu. Kiedy wrócił, powiedział do swojego pomocnika:

- A więc mamy i następny klocek w naszej łamigłówce.

- Pułkownik uważa, że te zeznania wniosły coś nowego do sprawy? - porucznika zdziwił optymizm szefa.

- Najważniejszą rzecz profesor Wojciechowski powiedział mi podczas schodzenia na parter.

- Jaką?

- Stary woźny z ich zakładu jest namiętym filatelistą... No to pozostał nam Poturycki - pułkownik był w coraz lepszym humorze.

- Ostatni, a zatem morderca, bo wszystkich przed nimi zeznających pan pułkownik uważał za niewinnych.

- Mam nadzieję, że to przesłuchanie będzie bardzo ciekawe - pułkownik nie odpowiedział wprost na pytanie porucznika - i da nam ostatni fragment do naszej łamigłówki.

Rozdział XV

Kobieta także może być mordercą

Wbrew przewidywaniom Romana Mierzejewskiego zamiast przestraszonego czy skruszonego przestępcy, adwokat Leonard Poturycki zjawił się w Pałacu Mostowskich ubrany w elegancki ciemnoniebieski garnitur, z gustownym krawatem i w skarpetkach stonowanych z całością. A także z ogromną pewnością siebie. Lekkim skinieniem głowy pozdrowił obu oficerów milicji, nie proszony zajął miejsce naprzeciwko biurka pułkownika Adama Niemirocha, założył nogę na nogę i wyciągnawszy z kieszeni jakieś zagraniczne papierosy, zajął się zapalaniem jednego z nich.

- Panów nie próbuję częstować - powiedział - bo i tak od mordercy nie weźmiecie niczego.

Zapalił papierosa i ciągnął dalej.

- Wyobrażam sobie, jaki pułkownik jest wściekły na mnie za tamten sobotni telefon. To temu zawdzięczam zaszczyt znalezienia się na ostatnim miejscu listy przesłuchiowanych. Ostatni, ale najważniejszy! Pozostali okazali się niewinnymi barankami, nareszcie zjawił się zbrodniarz. Czy kajdany już przyszykowane, a cela na Mokotowie zamówiona? Przyznaję jednak, że nadal cieszę się z mojej interwencji u Naczelnika Wydziału Zabójstw. Mimo wszystko oszczędziłem tym biednym Wojciechowskim, zwłaszcza jemu, całej masy przykrości. A że trochę to zakłóciło szablonowy przebieg dochodzenia, wcale się tym nie martwię.

- Powinienem był wiedzieć, że po adwokacie można się wszystkiego spodziewać - replikował Niemiroch, którego

- Zanim pan spisze moje personalia, proszę koniecznie zanotować- wielką tajemnicę, którą muszę wam zdradzić- - tu zrobił małą pauzę i zniżając głos do efektownego, „teatralnego” szeptu, dodał: - bardzo mi przykro, ale to nie ja zamordowałem Stanisława Lechnowicza.

- O tym wiedziałem od samego początku - odpowiedział Niemiroch. - Żadna tajemnica. Przestań się wreszcie, Leon, zgrywać- jak stary wyranżerowany aktorzyzna.

- Dziękuję. Byłem już adwokacina, teraz awansowałem na aktorzyne. Piękna kariera. Skąd pułkownik wiedział, że nie jestem zabójcą?

- Były dwa zasadnicze powody. Pierwszy to twój telefon. Gdybyś otrul Lechnowicza, nie dzwoniłbyś osobiście do mnie, a podsunął ten pomysł Jasińczakowi, który mnie przecież równie dobrze zna. Poza tym fakt, że nie próbowałeś znaleźć- się tu przed oficjalnym wezwaniem, wskazuje, że masz naprawdę ważne wiadomości do zakomunikowania nam i jak zwykle czekasz, aby osiągnąć- jak największy efekt.

Poturycki miał minę godną pożałowania. Przygotował wielką „bombę”, która okazała się niewypałem.

- Skąd pułkownik wie? - zapytał.

- Znam mecenasa od lat. Zawsze byłeś efekciarzem. Ale skończmy z tym gładzeniem i przystąpmy nareszcie do właściwego przesłuchania. Przecież w tych okolicznościach bez protokołu nie obejdzie się.

Tym razem adwokat bez zastrzeżeń zastosował się do polecenia. Podał swoje personalia i zaczął:

- To, co za chwilę powiem, niestety obciąży jednego z moich przyjaciół; ale moim obowiązkiem jest mówienie prawdy. Bez względu na to, czy jest ona miła, czy też nie. W imię tej prawdy muszę także organom dochodzeniowo-śledczym wytknąć poważny błąd.

- Że poważnie potraktowaliśmy pewien telefon pewnego adwokata? - zapytał Niemirosch.

- Nie. Szukając mordercy, zapomnieliście o jednym. Trucizna to ulubiona broń kobiet. Od żon faraonów poczynając poprzez Katarzynę Medycejską i Lukrecję Borgię aż do dnia dzisiejszego. Nie będę odtwarzał awantury przy wielkim szlemie, który raz w życiu zdarzył się temu fuszerowi Jasińczakowi i którego doktor nie zdążył rozegrać, zresztą to nawet szczęście dla niego, bo na pewno by spartolił. Tę awanturę macie zapewne zaprotokołowaną osiem razy. Zacznę od razu od zasadniczej sprawy. Elżbieta Wojciechowska odciągnęła Lechnowicza od grających i zapytała: „A twój, Stachu?”. Chodziło o kolor podstawki kieliszka docenta. „Niebieski” odpowiedział Lechnowicz. Elżbieta podeszła do barku na kółkach, podała Lechnowiczowi koniak. On ten koniak wypił i padł jak gdyby rażony gromem. Zaczęło się ogólne zamieszanie. Rzucano się na ratunek. Ja jeden siedziałem na swoim miejscu. Zupełnie mnie sparaliżowało. A wiecie dlaczego?

- No?

- Bo przed sobą, w odległości najwyżej trzech metrów, miałem barek. Na jego czarnym blacie wyraźnie widziałem mały, niebieski krążek i na nim stojący pełny kieliszek koniaku. Żadnej innej niebieskiej serweteczki tam nie było.

- Czy pan się nie myli, mecenasie? - porucznika zaskoczyło zeznanie adwokata. - To niemożliwe!

- Jestem absolutnie pewien tego, co wtedy widziałem, i tego, co teraz powtarzam. Elżbieta Wojciechowska nie podała Lechnowiczowi jego kieliszka, a inny, z przygotowaną uprzednio trucizną. Na barku stało jeszcze sporo pustych, czystych kieliszków. Wystarczyło do jednego z nich nasypać cyjanku, nalać koniaku i

spokojnie czekać, kiedy zdarzy się okazja do podania ofierze śmiertelnej mikstury. Taki kieliszek bez podstawki nie dziwił nikogo. Niektórzy pili likier, a potem mogli zmienić napój i przygotować sobie koniak. Wojciechowska szykując truciznę nie wiedziała, który kieliszek jest docenta, i trzymała, śmiertelną substancję trochę na uboczu. Zawsze znalazłaby jakiś pretekst, aby podać koniak Lechnowiczowi, który bynajmniej za kołnierz nie wylewał. Awantura przy kartach była taką wprost idealną okazją.

- W głowie mi się to wprost nie mieści - porucznik nie] mógł się pogodzić z faktami.

- Muszę przyznać - dodał Leonard Poturycki - że podziwiam przebiegłość tej kobiety. To, że sama jako pani domu podała truciznę docentowi, niejako automatycznie uwalniała ją od podejrzeń. Rozumowanie każdego opierało się na pewniku, że morderca wsypał truciznę do upatrzonego kieliszka i czekał, aż ofiara sięgnie po śmiertelny napój lub też otrzyma go z trzecich rąk. Wojciechowska musiała sobie przemyśleć to rozumowanie i wysnuła z niego korzystny dla siebie wniosek: podający truciznę jest wolny od podejrzeń. Zresztą nie znając koloru podstawki kieliszka Lechnowicza, nie mogła postąpić inaczej.

- Czy pan się nie myli, mecenasie? - porucznik po raz drugi powtórzył to pytanie. - Jaki powód miałyby Wojciechowska do otrucia Lechnowicza?

- Nie wiem - przyznał szczerze Poturycki. - Nie jaj prowadzę dochodzenie. Cóż zresztą my, mężczyźni, pewnego wiemy o kobietach, ich psychice i reakcjach? Może głęboko ukryta, zawiedziona miłość. Może Lechnowicz kiedyś czymś uraził profesorową, a ona czekała latami ze swoją zemstą.

- Czym on ją mógł urazić?

- Powtarzam, nie wiem. Może choćby tym, że z dwóch serdecznych przyjaciółek, Krystyny i Elżbiety, swego czasu wybrał Krysę, a nie Elę. Kobiety takich decyzji nie wybaczą nigdy. Odtrącona pamięta o tym przez całe życie.

- Ale przecież Wojciechowska zrobiła karierę. Ma sławnego męża, własny piękny dom, bogactwo, udanego synka.

- Ma sławnego, ale starego profesora, może wołałaby młodego docenta? A dziecko mieć z kim innym? Cóż my o tym możemy wiedzieć? Ja znam prawdę, widziałem kieliszek pełen koniaku stojący na niebieskiej podstawce, a Lechnowicza martwego na podłodze u stóp Wojciechowskiej. To zresztą można sprawdzić.

Wprawdzie milicja, zgodnie z rozkazem pułkownika Niemirocha, zachowywała się w willi na Prezydenckiej wysoce taktownie, jednakże pewnych czynności dochodzeniowych dokonała. Między innymi fotograf milicyjny natrzaskał całą masę zdjęć. A że nareszcie przeszliście na fotografie kolorowe, może na jakimś zdjęciu jest i barek z napojami?

Pułkownik sięgnął do szuflady biurka. Wyjął z niej grubą szarą kopertę. Wyrzucił na blat biurka plik kolorowych kartek. Aż na trzech uwieczniono fragmenty stoliczka na kółkach. Na dwóch zdjęciach wyraźnie widać było pękaty kieliszek z jasnobrązowym płynem stojący na niebieskim krążku.

- Proszę, oto niezbity dowód, że się nie myliłem! - tryumfował mecenas.
- Rzeczywiście - przyznał ze smutkiem Mierzejewski. Nie mógł się pogodzić z myślą, że ta sympatyczna kobieta jest trucicielką.

Adwokat najwidoczniej odgadł myśli młodego oficera milicji, bo powiedział:

- Dla mnie to także było wielkim wstrząsem. Długo wahałem się, czy ujawnić ten fakt władzom śledczym. Przecież znam Elżbietę od osiemnastu lat. Bodaj od dnia, kiedy poznałem swą przyszlą żonę. To były trzy urocze przyjaciółki, koleżanki z ławy szkolnej. Janka, Krysia i Ela. Pierwsza chodziła na farmację, dwie pozostałe studiowały chemię. Ja wystartowałem do Janki, Lechnowicz, z którym wtedy znowu musiałem się zetknąć, uderzał do

Krystyny. Ela na razie została bez przydziału, ale wkrótce sięgnęła najwyżej ze wszystkich dziewcząt. Gdy jedna została panią aplikantową, Elżbieta od razu awansowała na „profesorową”. Dzięki małżeństwu Eli poznałem, a potem zaprzyjaźniłem się z profesorem Wojciechowskim, co przyznaję, pomogło mi i w mojej późniejszej praktyce adwokackiej. Bogactwem adwokata są jego znajomości. Nikt nie powierza sprawy takiemu prawnikowi, o którym nic nie słyszał. Teraz, niestety, musiałem zadać Zygmunтови straszny cios. Jest bardzo przywiązany do Eli.

- Ona zresztą także wygląda na wzorową żonę - pułkownik ani razu nie wyraził zdziwienia słuchając rewelacyjnych zeznań Poturyckiego i dopiero teraz po raz pierwszy wtrącił się do rozmowy, która straciła charakter oficjalnego przesłuchania.

- Tak - zgodził się mecenas. - Elżbieta nie była wyrachowaną kokietką usidlającą starzejącego się, ale nadzianego pana. Przeciwnie, z nich dwojga ona na początku była bardziej zakochana w Zigmuncie niż on w niej. On bał się trochę tego małżeństwa. Śmieszności, tego, co powiedzą koledzy, że uczonego żeni się ze swoją

studentką, młodszą od niego o wiele lat. Wojciechowski przeżył tragedię. W czasie powstania pod gruzami domu zginęła jego pierwsza żona z dwojgiem dzieci. To właśnie powstrzymywało go od małżeństwa. Elżbieta jednak umiała przełamać te opory, czego na pewno Zygmunt nie żałował.

- A dzisiaj ta kobieta ma być sądzona o zbrodnię z premedytacją? - wzdrygnął się Mierzejewski.

- Tym bardziej mi przykro, że musiałem do tego przyłożyć rękę - przyznał Poturycki. - Powiem więcej, nie mogę potępić Elżbiety. Dla mnie Lechnowicz był i pozostał podlecem.

- Dziękuję mecenasowi za spełnienie obywatelskiego obowiązku. Wierzę ci, Leon, że przyjście tutaj z taką rewelacją nie było dla ciebie lekkie. Nie mam nawet do ciebie pretensji, że wolałeś z tym czekać do ostatniego dnia, licząc, że może sami na to wpadniemy. Przyznaję szczerze, od początku dochodzenie prowadziliśmy nieprawidłowo. Popełniliśmy masę błędów. Między innymi ten, że nie dość uważnie przyglądaliśmy się posiadanym przez nas zdjęciom..

- A ty, stary, nie gniewaj się o ten mój telefon - Poturycki wyciągnął rękę do pułkownika. Obaj panowie uścisnęli się serdecznie.

- Podpisz protokół - Niemiroch zwrócił uwagę wychodzącemu z pokoju mecenasowi - bo musielibyśmy jeszcze raz wzywać cię na przesłuchanie.

- Czy wystawić nakaz zatrzymania? - zapytał Mierzejewski, kiedy już adwokat opuścił gabinet pułkownika.

- Nie bądź taki ostry, Romeczku - roześmiał się pułkownik.

- Jak to? Czy te dowody nie wystarczają?

- Dowody są doskonałe. Lepszych nie potrzeba ani dla nas, ani dla pana prokuratora. Wystarczą także dla sądu. Ale po co mamy się śpieszyć? Wojciechowska nam nie ucieknie.

Porucznik nie mógł otrząsnąć się ze zdziwienia. Nie zdarzyło się w jego praktyce, aby jego zwierzchnik nie spieszył się z aresztowaniem przestępcy, przeciwko któremu istniały tak poważne dowody. A tym bardziej mordercy.

- Wiem - powiedział - że Wojciechowska nie ucieknie w konwencjonalnym tego słowa znaczeniu. Wprawdzie wziąłem z laboratorium profesora słoik z cyjankiem potasu, ale ta szafka pełna jest innych trucizn. Niektóre równie szybko działające jak cyjanek.

- I tu nie ma obawy! - pułkownik uspokoił swojego pomocnika.- Poślesz Wojciechowskiej wezwanie na pojutrze, żeby przyszła do nas o godzinie dziesiątej przed południem. W wezwaniu napiszesz „dla podpisania protokołu”. Natomiast jutro chciałbym porozmawiać z panem Wincentym Korotko.

- Kto to jest?

- Miły starszy pan. Zapalony filatelista. A poza tym pracuje od trzydziestu lat jako woźny na Politechnice Warszawskiej, w zakładzie profesora Zygmunta Wojciechowskiego. Chciałbym, abyśmy z panem Korotko rozmawiali jutro około dwunastej w południe.

Rozdział XVI

Zeznania starego filatelisty

Pana Wincentego Korotkę, szczupłego wysokiego mężczyznę o siwej czuprynie i sumiastym wąsie oraz młodych pogodnych oczach, raczej zdziwiło niż zaniepokoiło wezwanie do Komendy Milicji. Adam Niemiroch posadził swojego gościa w wygodnym fotelu, poczęstował papierosem i zagaił:

- Zaprosiliśmy pana tutaj do nas, bo uważamy go za człowieka solidnego i godnego zaufania. To, co usłyszymy z pana ust, pozostanie sprawą ściśle poufną, tylko między nami.

- Ja zawsze - zapewnił woźny - jestem dla władzy z należyтым szacunkiem.

- Wiemy o tym i wiemy, że pan umie patrzeć. Dlatego chcielibyśmy się dowiedzieć, co słychać w blokach i w pańskim osiedlu. Jak się sprawuje dzielnicowy? Pan wie, od czasu do czasu trzeba ich kontrolować.

- Dzielnicowy niczego sobie. Nic złego nie można o nim powiedzieć. Tylko jego rewir za duży. Co on może zrobić, jeżeli trudno mu codziennie zajrzeć do wszystkich kątów? Przydałaby się któregoś wieczoru oblawa na chuliganików, którzy pod szóstką na ostatniej klatce schodowej urządzili sobie klub towarzyski. Nie na samym dole, ale wyżej na różnych piętrach. Najczęściej na piątym. Hałasują, palą, śmieją, zawsze wypiją parę butelek owocaka i wtedy mieszkańców domu potrafią zaczepiać. A dziewczuchy zbierają się z nimi takie, co to za przeproszeniem pana pułkownika dawniej przywoitsze pod latarnią można było spotkać. Wstyd i obraza boska.

- Notujcie, poruczniku - polecił Niemiroch.

• Dzielnicowy stara się, ale co on sam, biedak, może zrobić? Za to dozorcę, czyli, jak go tam teraz zwa, gospodarza domu, byłoby dobrze skrobnąć solidnym mandatem. Schody jak przetrze na mokro raz na dwa miesiące, to góra. Windy chyba od początku, jak dom wybudowali, nie wyszorował. Ani podłogi, ani ścian. Brud taki, że ani ręką dotknąć, ani się oprzeć, boby się człowiek przylepił. Mówiłem mu nieraz, inni lokatorzy także mu zwracali uwagę. Ale czy teraz takiemu cieciewi zależy na posadzie? Grunt, aby mieszkanie dostał. A później już sobie gwizdże. Wiadomo; z mieszkania teraz trudno ruszyć. Nie to co dawniej, kiedy kamienicznik wylewał na pysk i nikt się o biedaka nie zatroszczył, czy będzie miał dach nad głową. Mówię o tej prawdziwej nędzy, a nie o takich pasożytach jak nasz gospodarz domu. Takiemu by się przydało wystawienie z gratami na ulicę. Od razu by sobie przypomniał, jak wygląda miotła i jak się nią macha.

- Zanutujcie, poruczniku - polecił znowu pułkownik.

• Administracja też nie lepsza. Siedzą tam takie wymalowane, wyfiokowane lale, jakby to była kawiarnia, a nie biuro. Ale przyjdź do nich z jakim interesem! Na hydraulika to czekałem przeszło dwa tygodnie. A jak przyszedł, to rozglądał się nie za robotą, tylko czy gdzie kielicha nie zobaczy. Nie ma miesiąca, aby wody gorącej nie wyłączyli przynajmniej na parę dni. A bywa, że i do tygodnia jej nie ma.

- Wszystko notujcie, Mierzejewski.

- Tak jest, pułkowniku, zapisałem.

• Śmieci wywożą jak z łaski. Kiedy już spod góry odpadów w ogóle pojemników nie widać. W zimę to pół biedy. Ale w lecie ze zsyków cuchnie na całe osiedle. Nie daj Boże jakiejś zarazy. Samochodziarze stawiają wozy pod samym domem, a potem od szóstej rano grzeją silniki i przegazowują je, że całą kamienicę budzą. Chociaż mają wielki pusty parking z drugiej strony osiedla za placem zabaw dla dzieci. Ale te pięćdziesiąt metrów to im za daleko.

- Zapisaliście, poruczniku?

- Wszystko zapisałem.

• Dziękuję wam, panie Wincenty. Już my tym z administracji i temu cieciewi dobrego kota popędzimy. Że się nie pozbierają. A co do klubu z piątego piętra, znajdziemy im inne lokum. Dużo niżej i z żelaznymi firankami w oknach.

- To im się przyda. Żeby człowiekowi przejść nie dali bez rzucania brzydkim

słowem. Nawet kobietom i dzieciom nie przepuszczają.

- Zrobimy z tym koniec, i to szybko.
- Ludzie będą bardzo wdzięczni. Lokatorzy porządni, słowa nie można

powiedzieć, bo ta szumowina zbiera się nie wiadomo skąd.

- Słyszałem, panie Korotko, że jest pan znanym filatelistą?
- A co? - ożywił się woźny. - Pan także zbiera?
- Ja nie, ale mój młodszy brat - Niemirosz łągał jak z nut, bo w ogóle nie miał

przecież brata. - A co pan zbiera?

• Tak ogółem to wszystko, co mi w ręce wpadnie. Panowie profesorowie i starsi studenci o tym wiedzą i przynoszą mi wycięte znaczki z listów. Ale to dla zabawy.

Czasem przyda się do wymiany. Jak ktoś szuka czegoś specjalnego. Jeśli chodzi o moją specjalność, to zbieram znaczki z dziełami sztuki i Madagaskaru. To się teraz nazywa Republika Malgaska.

- Madagaskar?
- Właśnie. W całej Polsce jest nas trzech takich specjalistów. Ale kudy tym dwóm do mnie? Oni zaczęli dopiero po wojnie. A mnie ocalał przedwojenny album z Madagaskarem. Całe serie tam miałem. Na wystawie w Pradze, dwa lata temu, dostałem za ten Madagaskar dyplom uznania. Dzisiaj toby dali medal. Co najmniej srebrny, jeżeli nie złoty.

- Tak się pańskie zbiory powiększyły?
- Powiększyły. A szczególnie dzięki panu docentowi Lechnowiczowi. Świeć

Panie Boże nad jego duszą. Kiedy jakoś przed pół rokiem przypomniał sobie, że zbieram Madagaskar, powiedział: „Panie Wincenty, mam trochę przyjaciół za granicą. Są wśród nich i filateliści. Może oni mają jakieś niepotrzebne im znaczki, które by pasowały do pańskiej kolekcji. Napiszę do nich”. Od tej pory pan docent, ile razy zjawiał się w naszym zakładzie, zawsze mi przynosił znaczki. Co jeden to cenniejszy. Znał się na tym, chociaż sam nie zbierał. On w ogóle znał się na wszystkim.

- To pan znał docenta Lechnowicza?
- Pewnie że znałem. Od szczeniaka, od pierwszego jego kroku na politechnice. To była zdolna bestia. Pamiętam, egzaminowaliśmy go z profesorem Wojciechowskim, Lechnowicz same piątki zawsze zbierał. Ja na egzaminie lubię

siedzieć w pokoju przy gabinecie profesora, a drzwi muszą być otwarte. Słyszę, jak każdy zdaje. Raz podpowiedziałem profesorowi, żeby Lechnowicza dla hecy zagiał. Niby że go oblewa. Potem by się to naturalnie obróciło w żart. Co pan powiesz, Wojciechowski nie mógł go na niczym złapać, chociaż jeździł po całym materiale i najtrudniejsze pytania mu zadawał. Po zakończonym egzaminie profesor powiedział „Nie mam dla pana stopnia, chyba tylko moje miejsce”. Pomyśleć, że docent tego już się nigdy nie doczeka.

- Słyszałem, że mieli jakieś zatargi z Wojciechowskim, Lechnowicza wyleli wtedy z politechniki. Prawda to?

- Et tam - pan Korotko lekceważąco machnął ręką. - Wiadomo, uczeni często się ze sobą kłócą. W tej sprawie Lechnowicza nie pochwalam. Brzydko postąpił, ani słowa. Ale przecież się zreflektował, chociaż dopiero po paru latach. Przeprosił profesora i jak mógł, tak się starał odrobić krzywdę, jaką mu wyrządził.

- Co pan powie? To się rzadko zdarza, żeby jakiś człowiek dobrowolnie uznał swoją winę. Może jeszcze papierosa - Niemiroch podsunął woźnemu paczkę carmenów.

- Przeprosił w obecności Jego Magnificencji Pana Rektora. Sam przy tym byłem. A potem nocami pracował, aby panu profesorowi zrobić niespodziankę i wyciągnąć go z kłopotów.

- Wojciechowski ma jakieś kłopoty?

- Pan profesor wielki uczony, listy do niego przychodzą z całego świata. Ale pan wie, jak to jest z uczonymi. Każdy ma swojego za jo... - woźny przerwał w pół słowa. - Także profesor Wojciechowski ma swojego. Zachciało mu się zrobić jakąś masę, której jeszcze nikt nie wynalazł.

- Udało się?

- Diabła tam! Otrzymali jakąś szarobrudną masę. Do niczego się nie nadaje. Kiedy profesor kazał nią wyłożyć stoły w laboratorium, to trzy sobie noże na niej połamałem. Podobno na te prace Wojciechowski dostał duże pieniądze od jednego z ministrów. Teraz ma nieprzyjemności, że pieniądze wydał, a skutku nie widać.

- Jak pan sobie radzi ze studentami? Tyle ludzi przewala się przez te laboratoria. Ja bym nie chciał mieć takiej roboty.

- Trzydzieści lat w tym siedzimy. Razem z profesorem.

Jak tylko otworzyli politechnikę po wojnie. A z młodzieżą radzę sobie nie

najgorzej. Nie jest zła, ale nie można jej popuścić. Nie bądź za dobry, bo cię rozliżą.

- Profesor jest za dobry. Docent był podobno ostrzejszy.
- Profesor ma dobre serce. Nie chce nikogo skrzywdzić. A Lechnowicz ich

pędził. Pomagał w nauce, nie mogę powiedzieć, robił dodatkowe ćwiczenia i kolokwia, ale jak ktoś nie chciał się nauczyć, nie było dla niego u nas miejsca. Nawet urlop dziekański niewiele pomógł, bo za rok pan docent, wtedy jeszcze był asystentem, później pierwszym asystentem i doktorem, dopilnował lenia.

- To profesor Wojciechowski jest zmartwiony niepowodzeniami?
- Pewnie, że mu niewesoło. Nadrabia miną jak może. Pracuje, ile tylko sił. On

i jego pomocnicy.

- Docent Lechnowicz pewnie też mu pomagał?
- Pewnie, że pomagał. Ale profesor, jak to profesor, krępował się korzystać z

tej pomocy, bo przecież pan docent nie był już naszym pracownikiem. Więc Lechnowicz postanowił, że bez wiedzy profesora będzie robił doświadczenia i dopiero jak wykryje, gdzie się profesor pomylił, to mu delikatnie zwróci uwagę. Żeby się Wojciechowski nie obraził. Nie byłby profesorem, aby nie miał wysokiego mniemania o sobie.

- Poczciwy człowiek z tego Lechnowicza. Co za szkoda, że umarł.
- Zaczna dusza. Kiedy się dowiedziałem, że pan docent dostał zawału, mnie

samego aż w sercu zakłuło.

• Teraz, kiedy z tej pomocy nic nie wyszło, lepiej profesorowi nic nie mówić, że Lechnowicz chciał mu pomóc.

- Sam to widzę, toteż ani słówka Wojciechowskiemu nie pisałem.
- To bardzo dobrze. A długo pan docent przychodził pracować do

laboratorium?

• Chyba ze cztery miesiące. Najczęściej w sobotę po południu, kiedy w laboratorium nikogo nie było poza mną i sprzątaczkami. Nieraz to pan Lechnowicz całą noc i pół niedzieli tam spędził. Mieszkam w samym gmachu, w służbowym pomieszczeniu, bywało, że panu docentowi donosiłem, co tam żona upitrasila na niedzielę.

- To co teraz będzie po śmierci docenta z tą masą?
- Myślę, że jednak damy sobie radę. Ostatnio pan profesor buduje jakieś

nowe aparaty. Pewnie będzie na nich przeprowadzał dalsze doświadczenia z tym

tworzywem. U nas w chemii nie można się załamywać po pierwszych niepowodzeniach - z całą powagą stwierdził pan Wincenty Korotko. - Trzeba uparcie dążyć do wyznaczonego celu.

- Tak żeśmy się z panem zagadali, że ani się obejrzałem, jak godzinka nam stuknęła. Bardzo panu dziękuję za te uwagi o dzielnicowym i administracji domu. Zrobimy z tym, jak powiedziałem, odpowiedni porządek. Porucznik Mierzejewski wszystkiego akuratnie dopilnuje. A jakbym kiedy przypadkiem miał jakiś znaczek z Madagaskaru albo z podobizną dzieła sztuki, to dla pana. Wiem przecież, gdzie pana szukać.

- Będę panu pułkownikowi wdzięczny - stary woźny wielce z siebie zadowolony pożegnał obu oficerów milicji.

- Nie rozumiem - to odezwanie weszło już do żelaznego repertuaru Mierzejewskiego - co mamy robić z tymi skargami na administrację i tamtejszych chuliganów?

- Co mamy robić? - powtórzył Niemiroch. - Napiszcie dyspozycję do tamtejszej komendy miasta, aby sprawdziła zarzuty, surowo ukarała winnych niedopatrzeń, włącznie ze skierowaniem ich na kolegium, jeżeli uznają doraźny mandat za zbyt niską karę. A „Klub” na klatce schodowej, na piątym piętrze, zlikwidować jeszcze dzisiaj.

- Ale po co to panu pułkownikowi było potrzebne? Od tego są dzielnicowi i miejscowa komenda milicji.

- A jednak i my czasami na coś się przydajemy. Gdyby nie było rozmowy o lubiącym popić hydrauliku, nie byłoby także rozmowy o docencie Lechnowiczu. Ani o jego ogromnej uczynności w stosunku do profesora Wojciechowskiego. Zrozumiałeś?

- To wszystko jest jasne. Widzę kanty Lechnowicza, można by je nawet podciągnąć pod artykuł o szpiegostwie przemysłowym.

- No to czego nie rozumiesz?

- Ciągłe nie widzę powodu, dla którego Elżbieta Wojciechowska zamordowała Stanisława Lechnowicza.

- Pani Wojciechowska przyjdzie do nas jutro o godzinie dziesiątej przedpołudniem. Mam nadzieję, że jutro sprawa się wyjaśni. Sądzę także, że jutro będziemy mogli zamknąć dochodzenie.

- Już jutro przekazemy sprawę panu prokuratorowi? - zdziwił się porucznik. - Po przesłuchaniu podejrzanej? Czy to nie za szybko? Nie lepiej dochodzenie przeprowadzić bardziej szczegółowo, aby prokuratura nie miała do nas pretensji?

- Sam jutro zobaczysz.

Rozdział XVII

Kolorowe kartki protokołów

- Poruczniku - pułkownik Adam Niemiroch wypowiedział te słowa oficjalnym tonem - za chwilę przyprowadzicie tutaj panią Elżbietę Wojciechowską. Będziecie świadkiem mojej z nią rozmowy. Proszę jednak o nie zadawanie żadnych pytań. Ani mnie, ani żonie profesora. I żadnych min. Siedzieć i przysłuchiwać się.

- Nie robić żadnych notatek ani nie pisać protokołu?

- Nie. Usiądziecie sobie z boku. Po prawej stronie będziecie mieć panią Wojciechowską, po lewej ja zajmę swoje zwykłe miejsce za biurkiem.

- Tak jest, panie pułkowniku - Roman Mierzejewski nie rozumiał, co znaczy ta dziwna przemowa zwierzchnika, ale przezornie wolał się o nic nie pytać. - Co mam teraz robić?

Niemiroch spojrzał na zegarek. Do godziny dziesiątej brakowało pięciu minut.

- Zejdziecie na dół. Wojciechowska zazwyczaj bywa bardzo punktualna.

Powinna więc już znajdować się w poczekalni albo za chwilę tam się zjawi. Przyprowadzicie ją na górę.

- Czy mam na dole uprzedzić wartownię, że Wojciechowska będzie zatrzymana?

- Nie! Na to mamy czas.

Porucznik wyszedł, by wkrótce powrócić z żoną profesora. Elżbieta najwidoczniej nie przeczuwała, jaki los ją czeka, bo uśmiechała się spokojnie i w przyjacielski sposób, bez cienia strachu czy zdenerwowania przywitała się z pułkownikiem.

Zajęła wskazane jej miejsce.

- Jak tam ta straszna sprawa? Nie mogę o niej nie myśleć. Chwilami zdaje mi się, że to jakiś koszmarny sen, z którego powinnam się zaraz obudzić. Niestety, przebudzenie nie nadchodzi. To smutna jawa.

- Tak - zgodził się pułkownik. - Sprawa była przykrym przeżyciem dla obojga państwa. Na szczęście, mam nadzieję, że niedługo się zakończy.

- Wiecie, kto zabił Lechnowicza? - zapytała pani Elżbieta. - To chyba jeszcze gorsze. Czeka nas nowy cios. Dowiedzenie się strasznej prawdy, że jeden z naszych najlepszych przyjaciół jest mordercą. Ale kto?

- Niestety, pani profesorowo, w tej chwili jestem jeszcze związany tajemnicą śledztwa. Najpóźniej w sobotę prawda zostanie wyjawiona. Zdaję sobie sprawę, że jestem winien państwu pewne wyjaśnienia.

- Och, mniejsza o nie. Wolałabym w ogóle nie znać tej prawdy.

- Być może, że poprosimy oboje państwa o pomoc.

- Naturalnie. Zrobimy wszystko, co tylko w naszej mocy, aby sprawiedliwości stało się zadość. Może pan pułkownik rozporządzać zarówno mną, jak i moim mężem.

- O tym pomówimy później. Na razie - ciągnął pułkownik - chciałbym wyjaśnić, dlaczego pozwoliłem sobie sprowadzić tu panią dzisiaj.

- To naprawdę drobnostka.

- Poprzednim razem przesłuchiwałem panią, lecz tak półoficjalnie gawędziliśmy o wydarzeniach strasznej soboty. Ale prawo jest prawem. W aktach sprawy musi figurować także protokół przesłuchania Elżbiety Wojciechowskiej.

- Och, to głupstwo. Proszę mi zadawać pytania i zapisywać je. Wiem, że na początku podaje się swoje personalia.

- Chcielibyśmy zaoszczędzić pani czasu. Dlatego też na podstawie poprzedniej rozmowy sporządziłem krótki protokół. Pani go przeczyta i podpisze. Proszę poprawić, jeżeli coś błędnie ująłem, i ewentualnie dopisać, jeśli czegoś zapomniałem. To wszystko jest nie tylko dozwolone, ale nawet bardzo wskazane.

To mówiąc pułkownik wyjął z szuflady plik kolorowych kartek zapisanych maszynowym pismem. Dodał:

- Zrobiliśmy ciekawe usprawnienie. Mam nadzieję, że to się przyjmie w naszym urzędzie, a kto wie, czy i nie w całej Polsce? Protokoły robimy w wielu egzemplarzach na różnego koloru papierze. Od razu wiadomo, że biały to dla sądu, czerwony dla prokuratora. Zielony tradycyjnie dla obrońców oskarżonego. Niebieski dla naszego użytku służbowego. Żółty idzie do archiwum. To się okazało bardzo praktyczne.

- Ale w ten sposób zużywa się więcej papieru - Elżbieta była kobietą praktyczną.

- No tak - przyznał pułkownik - ma pani rację. Papieru istotnie idzie więcej. Ale za wszystko trzeba płacić. Za oszczędność czasu naszego, sędziów, prokuratora i adwokatów płacimy ilością papieru. W ogólnym jednak rozrachunku zysk na zwiększeniu operatywności jest znaczny. A wie pani, w jaki sposób wpadłem na ten pomysł?

- W jaki? - grzecznie zdziwiła się Wojciechowska.

- Po prostu od bardzo dawna na teczkach spraw sądowych dotyczących oskarżonych siedzących w areszcie przykleja się czerwone naklejki z napisem „areszt”. Przyszło mi do głowy, że może to oznaczenie kolorami rozszerzy i na inne barwy przeznaczone dla całego aparatu wymiaru sprawiedliwości.

- Ciekawe... - z tonacji głosu profesorowej można się było zorientować, że w gruncie rzeczy to kolorowe usprawnienie ani ją ziębi, ani grzeje.

- Proszę - pułkownik podał kobiecie kolorowe papiery. - Pani to sobie uważnie przeczyta i potem podpisze. Ale nie wszystkie. Proszę podpisać wyłącznie niebieskie egzemplarze. Te do naszego użytku służbowego.

Wojciechowska powoli studiowała dokument.

- Nie mam żadnych zastrzeżeń - powiedziała.

- To świetnie. A już się bałem, że trzeba będzie przepisywać lub co gorsza zaczynać całe przesłuchanie od nowa.

- Nie byłoby chyba tak źle.

- A zatem, jeśli się pani zgadza z tym tekstem, proszę podpisać niebieskie egzemplarze. Oto długopis.

- Dziękuję, mam swój. Przyzwyczaiałam się do niego i nie potrafię pisać innym - Elżbieta sięgnęła do leżącej na kolanach torebki i po niewielkich poszukiwaniach wyjęła ładny długopis w srebrnej oprawce.

- Ale czytelnie - zastrzegł pułkownik. - Pełne imię i nazwisko.

Wojciechowska dopełniła formalności. Podpisała kartki i całość oddała pułkownikowi.

Niemiwoch włożył dokument do teczki i zamknął ją w szufladzie swojego biurka.

- Serdecznie pani dziękuję - powiedział - i jeszcze raz przepraszam, że ją do

nas fatygowałem.

- Pułkownik coś wspominał o ewentualnej naszej pomocy?
- Właśnie. Gorąca prośba do obojga państwa.
- O co chodzi? Pan pułkownik tak mówi, jakby chodziło o coś naprawdę

ważnego.

- Dla nas ma to zasadnicze znaczenie - wyjaśniał pułkownik. -

Dotychczasowe dochodzenie trafia na pewne trudności. Dotyczące tych ostatnich chwil sobotniego brydża. Przebiegu awantury i momentu śmierci Lechnowicza.

Zeznania naocznych przecież świadków bardzo różnią się w szczegółach. Dlatego prosiłbym państwa o pozwolenie urządzenia wizji lokalnej.

• Tylko tyle? - pani Wojciechowska wyraźnie się ucieszyła. - Myślałam, że chodzi Bóg wie o co! Naturalnie, że się zgadzamy. Jak pan sobie wyobraża tę wizję?

• Po prostu zbierzemy całe towarzystwo w tamtym pokoju i będziemy sekunda po sekundzie odtwarzali przebieg tragedii.

• Przecież pan Lepato wyjechał do Anglii, Nie ma także profesora Badowicza. No i niestety, nie ma Lechnowicza.

• Lechnowicza zastąpi porucznik Mierzejewski. Ma taką samą mniej więcej figurę. To, że jest nieco niższy, nie gra większej roli. Profesora Lepato postaram się sam zastąpić. Badowicz w chwili kłótni i śmierci Lechnowicza siedział w sąsiednim pokoju. Niewiele słyszał, jeszcze mniej widział, można go więc całkowicie pominąć.

- Jak pan uważa - zgodziła się Wojciechowska.
- Pozostaje uzgodnienie terminu tej wizji.
- To zależy od pułkownika.

- Chcielibyśmy wybrać taki dzień, w którym nie pomieszymy szyków panu profesorowi. Wiem, jak jest zajęty.

- Może sobota? Wtedy mąż ma wykłady rano. Po południu laboratorium jest nieczynne. Dlatego też wszystkie imprezy towarzyskie organizujemy zazwyczaj w soboty. W niedzielę mąż lubi fabrykować swoje diabelskie pasty w naszej pracowni w suterenie albo też pracuje naukowo.

- Sobota także nam odpowiada. A godzina? - Może piąta?
- Doskonale. Zatem w sobotę o piątej.
- Czy mam zawiadomić resztę uczestników?

- Nie. Dziękuję. Tym razem na tego brydża to już my wyślemy zaproszenia,

bo nam nikt nie odmówi.

- To wszystko?
- Wszystko. Jeszcze raz dziękuję. - W takim razie do soboty.
- Poruczniku, proszę odprowadzić panią profesorową.
- Dziękuję. Sama trafię. Poznałam już drogę - Wojciechowska pożegnała obu

oficerów i wyszła z pokoju.

• Pierwszorzędna babka - stwierdził Mierzejewski. - Jak ona fantastycznie panowała nad sobą. Nic dziwnego, że jej nawet ręka nie drgnęła, kiedy wysyłała Lechnowicza do lali. Rozmawiała z panem pułkownikiem jak ktoś, kto z całą sprawą nie ma nic wspólnego. Żeby nie znał zeznań Poturyckiego i na własne oczy nie oglądał fotografii, mógłbym przysiąc, że to chodząca niewinność.

- Takie są kobiety - potaknął pułkownik.
- Ale z jednym się sypnęła.
- Z czym?

• Na zewnątrz była jak lód. Ale wewnątrz musiała cała dygotać. Wszystko jej się udawało, zanim nie doszło do podpisywania kolorowych kartek. To był świetny chwyt pułkownika. W zdenerwowaniu Wojciechowska podpisała nie tylko niebieską kartkę, ale także trzy różowe.

Rozdział XVIII

Wszystko zaczęło i skończyło się brydżem

W sobotę stawili się wszyscy punktualnie. Nawet parę minut przed piątą. Do tego przyczyniły się nie tylko uwagi wydrukowane na odwrocie milicyjnego „zaproszenia na brydża”, jak to wezwanie określił pułkownik Niemiroch, ale i zwykła ludzka ciekawość.

W roli gospodarza występował porucznik Mierzejewski. On otwierał drzwi i wprowadzał gości do biblioteki, gdzie czekali oboje profesorostwo oraz pułkownik. Tutaj goście zajmowali miejsca zarówno przy rozłożonym brydżowym stoliku, jak też wokół biurka. Kiedy zebrał się komplet, Niemiroch zaproponował:

- Teraz my z profesorem na chwilę państwa opuścimy i przygotujemy sąsiedni pokój tak, jak wyglądał podczas tamtego brydża.
- Co mam robić? - zapytał profesor.

- Poprosimy o barek na kółkach, kieliszki, kolorowe okrągłe serweteczki, na których wtedy stało szkło i może trochę herbaty dla zamarkowania koniaku.
- U mnie się nie markuje takich trunków. Znajdzie się i prawdziwy koniak.
- Gdzie stał barek? - zapytał porucznik, który przywiózł stolicek na kółkach stojący na codzień w kuchni.
- W tym miejscu - wyjaśnił Wojciechowski przynosząc jednocześnie kieliszki i podstawki.

Mierzejewski rozstawił szkło, wlał do każdego kieliszka po parę kropel koniaku. Tymczasem profesor ustawił fotele naokoło stołu brydzowego i położył na zielonym suknie dwie talie kart.

- Niektóre panie piły likier, a Elżbieta czerwone wino - poinformował.
- Likiery można pominąć. Tamte panie znajdowały się wtedy w sąsiednim pokoju - przypomniał pułkownik. - Natomiast poproszę o kieliszek z winem.
- Nie będziemy krzywdzić naszych miłych pań - Wojciechowski nalał do dwóch wysmukłych kieliszków dwa różne gatunki likieru. A duży kielich napełnił czerwonym winem. Wszystko to także ustawił na barku.
- Prosimy tutaj - porucznik otworzył rozsuwane drzwi, łączące oba pokoje. - Państwo zechcą zająć swoje miejsca. Pułkownik Niemiroch zastąpi nieobecnego profesora Lepato.

Czwórka zasiadła za stołem. Doktor Jasińczak zaczął machinalnie tasować leżącą przed nim talię kart.

- Teraz, proszę państwa - Mierzejewski znowu zabrał głos - odtworzymy możliwie najściślej przebieg zdarzeń od momentu, kiedy profesor Wojciechowski interweniował, aby zapobiec awanturze. Ja zastępuję nieżyjącego Lechnowicza. Czy tu wtedy stał?

- Nie - poprawiła Mariola Boweri. - Bardziej na lewo. Pomiędzy mną a pułkownikiem. To znaczy, wtedy pomiędzy mną a profesorem Lepato.

Mierzejewski przesunął się na wskazane miejsce.

- A gdzie była pani Wojciechowska? - zapytał pułkownik.
- Stałam za doktorem, ale nie odezwałam się ani słowem.
- To proszę - polecił porucznik. - Niech pani tam teraz także stanie.

Elżbieta podeszła do doktora.

- A teraz kulminacyjny moment kłótni, mecenas zrywa się ze swojego

miejsca, ja - Lechnowicz z zaciśniętymi pięściami podchodzę do niego. Tak było?

- Tak - jednocześnie zawołały Elżbieta i Mariola.
- Pani profesorze, proszę wkroczyć do akcji - polecił pułkownik.

Wojciechowski zbliżył się do stolika.

• Panowie, dajcie spokój. Doprawdy zachowujecie się jak dwunastoletni chłopcy. Co się takiego stało? Przecież widać, że szłem jest do wygrania i tak znakomity gracz jak doktor nie mógłby spartolić tej rozgrywki. A tobie, Stachu, bardzo się dziwię. Zawsze taki opanowany...

• Stasio - podjęła swoją kwestię pani Boweri - ostatnio źle się czuje. Już parę razy radziłam mu, abyśmy gdzieś wyjechali, choćby na krótki wypoczynek.

• Co z ciebie za adwokat? - Wojciechowski znowu wszedł w swoją rolę - jeżeli jedna uwaga kibica wyprowadza cię z równowagi. Siadaj na swoje miejsce.

Mecenas Poturycki usiadł na fotelu.

• Bardzo przepraszam za moje odezwanie, Lepato - pułkownik zabrał głos. - Proszę mi wybaczyć.

• Zaraz dam wam po koniaku na uspokojenie nerwów - mówił profesor. - Jakie są wasze kolory?

- Mój czerwony - zaznaczył doktor Jasieńczyk.
- Ja jak zwykle na zielonym - odezwał się Poturycki.
- Mój biały i pamiętam, że pana Lepato był brązowy - informowała pani Boweri.

Wojciechowski podobnie jak w tamtą tragiczną sobotę podchodził do barku i podawał siedzącym przy stoliku kieliszki z koniakiem.

• A twój, Stachu? - zgodnie z rolą Elżbietą Wojciechowska wtrąciła się do gry.

• Niebieski - odpowiedział zdecydowanym tonem porucznik.

Pani domu podeszła do barku i za chwilę wróciła z dwoma kieliszkami. W jednej ręce trzymała wino, w drugiej koniak. Podała koniak Mierzejewskiemu.

- Stop - zawołał porucznik.

Wszyscy spojrzeli pytającym wzrokiem na Niemirocha.

- Proszę teraz podejść do barku i sprawdzić.

Cała dziewiątka zebranych w mieszkaniu osób otoczyła stoliczek na kółkach. Pierwsza zorientowała się Mariola.

- Przecież tu w ogóle nie ma niebieskiej serweteczki - zawołała zdziwiona. - Są za to dwie różowe. A wtedy na pewno był i niebieski krążek.

- Brawo - pułkownik pochwalił dziewczynę.

- Nie rozumiem - powiedział mecenas.

- Pani Elżbieto - odezwał się pułkownik - ogromnie mi przykro, niestety, muszę zdradzić pewną małą pani tajemnicę. Pani Wojciechowska jest daltonistką. To bardzo rzadkie przypadki, żeby nią była kobieta i żeby rozpoznawała podstawowe kolory, żółty, zielony, niebieski, czerwony, ale nie rozróżniała tych zbliżonych do siebie, tak jak właśnie pani Elżbieta, która nie rozróżnia różowego i niebieskiego. Dwukrotnie przeprowadziliśmy podobne doświadczenia i dwukrotnie wykazały one częściowy daltonizm pani profesorowej. Niebieski i różowy, jeżeli są o jednakowym natężeniu, to dla pani jednakowy kolor.

- A także zielony i czerwony - roześmiała się Janina Poturycka. - Pamiętam tę potworną awanturę w szkole na lekcji rysunków. Wtedy nauczyciel pierwszy raz zabrał nas do ogrodu i kazał rysować kwitnące czerwone tulipany. Ela namalowała liście na czerwono, a kwiaty za to były zielone. Nauczyciel posądził ją o kpiny i odesłał do dyrektora. Dopiero wtedy wydało się, że Elżbieta malując zawsze zagląda na odwrotną stronę krążka farby i sprawdza napis. W parku miałyśmy palety i zapomniała, w którym miejscu jest farba zielona, a w którym czerwona. Śmiechu było co niemiara. Zarówno z Elki, jak i z profesora rysunków, że dziewczyna potrafiła go tak długo nabierać.

- To jednak nie były żarty, wszystko skończyło się tragicznie dla Lechnowicza, któremu pani Wojciechowska omyłkowo podała kieliszek przeznaczony nie dla niego.

- Nie dla niego?! - wykrzyknęła Wojciechowska.

- Mamy zdjęcia, zresztą zauważył to także i mecenas Poturycki, że pani Elżbieta, nie rozróżniając kolorów, podała docentowi kieliszek, który stał na innej podstawce. Ten Lechnowicza, znajdujący się na niebieskim krążku, pozostał nie tknięty. Na szczęście, na fotografii widać, które podstawki nie mają kieliszków. Wiemy więc, że zamiast tego na niebieskim Lechnowicz wypił koniak, który stał na różowej podstawce.

- Kolor mojej podstawki był różowy - Wojciechowski był bardzo zdziwiony i przerażony.

- Bo też, panie profesorze, cyjanek potasu znajdujący się w tamtym kieliszku przeznaczono dla pana. Tylko dzięki daltonizmowi i omyłce żony pan jeszcze żyje.

- Zygmunt! - Elżbieta dopiero teraz wszystko zrozumiała. Instynktownie przytuliła się do męża, jak gdyby chciała sprawdzić, czy on rzeczywiście stoi tu żywy.

- Jestem winien państwu wyjaśnienie zarówno mojego, czasami wręcz niegrzecznego zachowania się, jak też i przebiegu rozwiązania całej sprawy. Ale ponieważ to dłuższa historia - zaproponował pułkownik - może usiądziemy?

Gospodarz zatroszczył się o napełnienie kieliszków tym, co kto lubił. Znał przecież gusty swoich przyjaciół. Pułkownik wygodnie zasiadł na fotelu i otoczony zebranymi, niby wianuszkami, rozpoczął swoje opowiadanie.

- Sprawa od początku wyglądała zagadkowo. Nie dlatego, że w „lepszym towarzystwie” popełniono zbrodnię, bo to się zdarza. Natomiast motywy tego czynu wydawały się nam albo bardzo błahe, albo przebrzmiałe. Właściwie podejrzenia sprowadzały się do dwóch panów.

- Do mnie - stwierdził Poturycki.

- I do mnie też - dorzucił doktor Jasińczak.

- Ale obaj panowie zbyt wiele by ryzykowali mszcząc się za krzywdy sprzed wielu lat. Wprawdzie obaj manifestowaliście swoje wrogie nastawienie do Lechnowicza, była to jednak tylko zagrywka „dla zachowania twarzy”, bo dobrze wiedzieliście, że docent będzie na przyjęciu u państwa Wojciechowskich i obaj zgodziliście się do nich przyjść. Rozumiem, że przyszedł morderca dla dokonania zemsty, ale po co przychodził ten drugi? Także i motywy profesora Badowicza, notabene raczej materialne, wydawały mi się bez istotnego znaczenia, za mało ważne, aby ten mający przed sobą ciekawie zapowiadającą się karierę naukową na Śląsku chciał ją ryzykować. Słowem, był trup i dziewiątka niewinnych. Jeśli się jednak odwróciło obraz i założyło, że to Lechnowicz jest mordercą, wszystko zaczynało dziwnie pasować.

- Nie do wiary! - szepnęła Elżbieta ciągle trzymająca męża za rękę.

- Nie mieliśmy najmniejszej trudności, aby wśród towarzystwa obecnego na brydżu znaleźć aż pięć ewentualnych ofiar. Trzy z nich można było łatwo wyeliminować, bo morderca powinien był od razu uśmiercić całą trójkę, a takie grupowe zawały serca raczej się nie zdarzają.

- Kogo? - zapytała Janina Poturycka.
- Ta trójka to profesor Badowicz, mecenas Poturycki i doktor Jasieńczak.

Lechnowicz miał na wiosnę zostać mianowany przez Radę Państwa profesorem nadzwyczajnym. Mógł się obawiać, że wyciągnięcie dwóch starych historii i tej najnowszej z Badowiczem zaszkodzi mu w upragnionym awansie. Po namyśle uznaliśmy jednak te powody za zbyt małe, tym bardziej że panowie Poturycki i Jasieńczak także woleli nie rozdmuchiwać dawnej przeszłości. Co do Badowicza, to domagał się tylko satysfakcji naukowej, Lechnowicz, przyciśnięty do muru, znalazłby jakąś formułę, która zadowalałaby te ambicje, a jemu samemu pozwalała wyjść z afery bez większego szwanku.

- Nie znam tej sprawy - zauważył Wojciechowski.

• Docent „wykiwał” Badowicza przy jakichś wspólnych badaniach i zagarnął całą forszę na to przeznaczoną oraz nadszarpnął jego opinię naukową. Temu ostatniemu nie chodziło specjalnie o pieniądze, lecz o zadośćuczynienie naukowe - wyjaśnił porucznik.

• W ostatecznym rozrachunku - mówił pułkownik - pozostały nam dwie kandydatury na nieboszczyków. Dwóch profesorów. Jeden aż z Cambridge, z Anglii, drugi z Politechniki Warszawskiej.

- Henryk Lepato i Zygmunt?! - zawołała Krystyna Jasieńczakowa.

- Właśnie oni - przytaknął pułkownik.

- Dlaczego Anglik? - zapytał mecenas.

• Ale Zygmunt? Z jakiej racji? - Elżbieta nie mogła pogodzić się z myślą, że jej mężowi groziło śmiertelne niebezpieczeństwo, i to z ręki ukochanego ucznia.

• Powód właściwie jest w obu wypadkach taki sam. Niczym nie zaspokojona ambicja i dążenie do osiągnięcia bogactwa i kariery. Za wszelką cenę - tłumaczył Niemirosch. - Nawet za cenę czyjegoś życia. Anglik mógł zginąć, ponieważ przypadkowo dowiedział się za wiele. Profesor, bo w interesie Lechnowicza leżało, aby prace nad nowym tworzywem sztucznym zostały opóźnione albo w ogóle zaniechane. Poza tym śmierć pana Wojciechowskiego otwierała drogę Lechnowiczowi do katedry na politechnice. Docent uważał, że jednym strzałem upoluje dwa zające.

- A co wspólnego miał pan Lepato z Lechnowiczem? - zapytała Janina Poturycka.

- Przecież oni udawali, że się nie znają, chociaż to nieprawda. Sama to

stwierdziłam.

- Znali się, i to dobrze. W czasie okupacji należeli do Szarych Szeregów. Tak się złożyło, że w tej jednostce nastąpiła wsypa. Aresztowano prawie wszystkich. Większość tej młodzieży zginęła pod murem egzekucyjnym, innych zamordowano w obozach koncentracyjnych. Przeżyli nieliczni. Między innymi Henryk Lepato i Stanisław Lechnowicz. On jeden nie przyszedł wtenczas na zbiórkę w punkcie, z którego całą grupę wygarnęło gestapo.

- Czyżby? - zapytał Jasińczak.

- Po znalezieniu się w hitlerowskim więzieniu aresztowani byli przekonani, że to właśnie Lechnowicz ich wydał. Wysłali nawet grypsy z Pawiaka. Przeprowadzono dochodzenie i wykryto konfidenta. Podejrzenie okazało się niesłuszne. Nie był nim Lechnowicz, lecz sympatia siostry jednego z bojowników. Lechnowicz trafił w jakąś łapankę i nie mógł przyjść na zbiórkę, co go ocaliło. Konfidenta z wyroku Polski Podziemnej zastrzelono wkrótce potem.

- Chociaż to dobre - westchnęła Krysia.

- Pan Lepato, a właściwie Henryk Lepatowicz, bo tak się wtedy nazywał - opowiadał pułkownik - nie znał rozwiązania zagadki wsypy. Siedział w Mauthausen. Po wojnie trafił do Anglii i tam zrobił karierę naukową. Otrzymać tytuł profesora fizyki w Cambridge to wielkie osiągnięcie, tym bardziej dla cudzoziemca z pochodzenia.

- Niewątpliwie sukces. Zresztą profesor Lepato to dzisiaj znane nazwisko w dziedzinie fizyki - uzupełnił Wojciechowski.

- A do tego znanego fizyka zwrócił się przed kilku miesiącami pewien koncern przemysłu lotniczego ze Stanów Zjednoczonych. Dano uczonemu próbkę nowego sztucznego tworzywa i proszono profesora Lepato, aby zbadał ten materiał pod względem jego właściwości fizycznych. Jak nam Anglik opowiadał, na Zachodzie takie zlecenia są na porządku dziennym. Koncernowi prawdopodobnie chodziło o porównanie wyników ich badań z tymi z Cambridge. Wyjaśniono także, że tworzywo jest wynalazkiem młodego polskiego uczonego Stanisława Lechnowicza.

- Kłamstwo! - zaperzyła się Elżbieta, ale mąż delikatnym uściskiem dłoni przywołał ją do porządku.

- W ten sposób Lepato dowiedział się, że człowiek, którego uważał za konfidenta gestapo, nie tylko żyje, ale także zrobił karierę jako chemik. Dodam, że

próby wypadły pomyślnie i koncern zdecydował się przejąć wynalazek. Kiedy w ramach wymiany naukowej przed Anglikiem otworzyła się możliwość wyjazdu do Polski i zetknięcia się z naszymi uczonymi, Lepato skorzystał z tej okazji. Przede wszystkim chciał się czegoś dowiedzieć o Lechnowiczu.

- Wypytywał mnie o niego szczegółowo - stwierdził Wojciechowski - ale słówkiem nie wspomniał ani o okupacyjnych historiach, ani o wynalazku.

- To zupełnie zrozumiałe. Lepato chciał się najpierw przekonać, czy docent Lechnowicz i członek Szarych Szeregów to jedna i ta sama osoba. A sprawa wynalazku ostatecznie niewiele go obchodziła. Zrobił swoje, wydał opinię. Prawdopodobnie zapłacono mu dobrze. Czuł się już Anglikiem i wcale nie był zainteresowany tym, aby wynalazek pozostał w Polsce. Nie widział więc powodu rozgłaszania, że docent pertraktuje z koncernem o sprzedaż swojego wynalazku do Ameryki. Lepato wówczas przecież nie mógł wiedzieć, że Lechnowicz nie zrobił żadnego odkrycia, a podszywa się pod prace profesora Wojciechowskiego i to właśnie jego wynalazkiem handluje z Amerykanami.

- Zawsze byłem zdania, że to wyjątkowy podlec - mruknął Poturycki.

- Lechnowicz także dowiedział się, że Anglik zdradza duże zainteresowanie jego osobą. Domyślił się dlaczego. Nie mógł wiedzieć, że Lepato jest wtajemniczony w pertraktacje z koncernem lotniczym. Sądził, że chodzi wyłącznie o sprawy okupacyjne. Dlatego też docent, uprzedzając spotkanie na brydżu, zatelefonował do „Bristolu” i tam w hotelu umówił się z fizykiem. Pan Lepato złożył nam przed wyjazdem z Polski obszernie i w miarę prawdziwe zeznania. Przemilczał jeden szczegół i nigdy chyba się nie dowie, jak bliski był śmierci. Lechnowicz żył obawą, że profesor Wojciechowski, który z ramienia rektora politechniki „pilotował” w Polsce Anglika, może mu wspomnieć o swoim wynalazku. Lepato mógłby to ujawnić w Anglii i podać nazwisko prawdziwego twórcy nowego tworzywa, a wiadomość ta dotarłaby do koncernu. Tak czy inaczej, Anglik był dla docenta bardzo niebezpieczny. Nie wiemy i nigdy się nie dowiemy, o czym rozmawiali w „Bristolu” Lepato z docentem. Anglik zeznał, że Lechnowicz wyjaśnił mu historię okupacyjnej wyspy. Wskazywał byłemu współtowarzyszowi walki, że w Wojskowym Biurze Historycznym znajdują się akta tej sprawy, wykazujące niewinność Sępa. Takiego bowiem pseudonimu używał wówczas młody człowiek. Czy rozmawiano także o tworzywach sztucznych? Nie wiemy. Faktem jednak jest, że Lechnowicz po tej rozmowie uspokoił się. Uznał, że ze strony gościa z Cambridge nic mu nie grozi.

Pozostawało więc tylko pozbyć się profesora Wojciechowskiego, aby móc bezkarnie zawładnąć wynalazkiem.

- To tworzywo jest dopiero w stadium prób. Moja śmierć zahamowałaby prace. Tym bardziej nie ruszyłby jej z miejsca Lechnowicz, który tylko z grubsza był wprowadzony w doświadczenia.

- Znowu pan się myli, profesorze. Lechnowicz bez pańskiej wiedzy, wykorzystując łatwowierność niektórych pracowników politechniki, od kilku miesięcy kontrolował postęp pańskich doświadczeń, a ponadto przeprowadzał własne próby. Niewątpliwie, znając zdolności docenta, można przypuszczać, że orientował się w całości badań. Może nawet posunął się dalej niż jego mistrz?

- Co za łajdak - powtórzył Poturycki.

- Teraz trzeba było za wszelką cenę opóźnić doświadczenia przy nowym odkryciu, Lechnowicz chciał zyskać na czasie i pod pozorem wyjazdu do Stanów Zjednoczonych na stypendium czy na praktykę, dysponując tam specjalnym laboratorium i dowolną liczbą pomocników, szybko wykończyć prace nad wynalazkiem. Potem może by Lechnowicz wrócił do kraju dla objęcia katedry? A może w USA zaproponowano by mu coś, co odpowiadałoby jego nienasyconej ambicji. Najlepszym zatrzymaniem prac w laboratorium politechniki byłaby nagła śmierć profesora.

- Nie do uwierzenia!

- A jednak to prawda. Lechnowicz już zawczasu zaczął urabiać opinię, aby nikt nie był zaskoczony tą śmiercią. Zaczął się skarżyć na serce i wmawiał również profesorowi oraz jego otoczeniu tę chorobę.

- Sam po trochu w nią uwierzyłem - przyznał Wojciechowski.

- Gdyby to nie Lechnowicz zmarł w tamtą sobotę, lecz profesor Wojciechowski, prawdopodobnie całej sprawy by nie było.

- Dlaczego? - zapytała pani Elżbieta.

- Po prostu lekarz pogotowia nie miałby obowiązku zawiadomienia milicji. Chory umarł we własnym domu w obecności sławnego kardiologa, który stwierdził zawał serca. Pogotowie nie miało żadnych podejrzeń i nie kwestionowałoby tej opinii. Lekarz bez wahania podpisałby świadectwo zgonu. Nikt by niczego nie podejrzewał, bo nawet przy kolacji była mowa, że profesor źle się czuje.

- Ja tego nie mówiłem - zastrzegł się Wojciechowski.

- Na to by nie zwrócono uwagi. Ale wracajmy do wypadków tamtej soboty - powiedział pułkownik. - Wszystko odbyło się w ten sposób: Lechnowicz jeszcze przed kolacją wsypał cyjanek potasu do kieliszka stojącego na różowej podstawce. Liczył, że zaraz po kolacji profesor wypije śmiertelny trunek. Na pewno docent nie ryzykował zaopatrzenia się w truciznę z szafki profesora, bo nie wiedział, czy cyjanek nie jest zbyt utleniony i czy podziała piorunująco. Musiał bowiem brać pod uwagę, że pan Wojciechowski nie wychyli duszkiem całego kielicha, a przełknie mały łyżeczek. Dlatego trucizna powinna być świeża i w bardzo wysokim stężeniu. Ale godziny mijały i profesor nie sięgał po swój napój. Lechnowicz zaczął się coraz bardziej denerwować. Dochodziła dziesiąta wieczorem, brydż najwyżej za godzinę dobiegłby końca, a kieliszek stoi napełniony. Docent umyślnie wywołuje awanturę z porywczym jak zawsze mecenasem. Liczy na to, że po kłótni każdy sięgnie po kieliszek. A profesor powinien umrzeć jak najszybciej, bo znowu zdarzył się incydent z panem Lepato.

- Jaki? - zapytał Wojciechowski.

- Pan, profesorze, jak zwykle, pokazywał gościom swoje mieszkanie.

Lechnowicz zauważył, że Anglik ogromnie zainteresował się blatem stołu doświadczalnego. Próbował go nożem i gasił na nim swojego papierosa. Na ten fakt ktoś z państwa zwrócił uwagę w swoich zeznaniach, ale nie rozumiał powodu. Natomiast Lechnowicz nie mógł mieć złudzeń. Odkrył, że Lepato wie o wynalazku i dziwi się, że z tworzywem wynalezionym rzekomo przez Lechnowicza styka się w prywatnym mieszkaniu Wojciechowskie go.

- Kiedy zeszłam po lód - uzupełniła pani Boweri Anglik przyszedł tam za mną. Myślałam, że chce trochę poflirtować. Tymczasem on nawet nie próbował mnie pocałować, lecz jak urzeczony gapił się na ten stół. Nie pomógł mi nabierać lodu.

- Awantura rozwijała się planowo. Ale Lechnowicz nie potrafił zapanować nad nerwami. Nie był zawodowym mordercą. Na pewno przeżywał ogromne napięcie słysząc słowa profesora „zaraz dam wam po koniaku na uspokojenie nerwów”. Ale spotkał go zawód. Profesor częstował gości, po swój kieliszek jednak nie sięgnął. Nie ma więc się czemu dziwić, że kiedy pani Elżbieta podała docentowi koniak, tak mu drżały ręce, że trochę płynu się wylało. Lechnowicz usiłował ukryć swoje podniecenie. Przeciągnął butem po rozlanym alkoholu i jednym haustem wychylił resztę. Na pewno aż do momentu utraty przytomności nie rozumiał, co się z nim dzieje. Nie miał pojęcia, że pani Elżbieta jest daltonistką. Cyjanek potasu nie zawiódł,

podziałął piorunująco.

- Dobrze mu tak - powiedział mecenas.
- Pewnie, że dobrze - zgodził się doktor Jasieńczyk. - Sam wpadł w sidła, które zastawił.

Pani Krysia cichutko westchnęła. Elżbieta mocno trzymała męża za rękę.

- Naturalnie - dodał Niemirowicz - można by było inaczej interpretować całą historię. Że pani Elżbieta Wojciechowska przyrządziła śmiertelny napój i korzystając ze sposobności podała go docentowi zamiast kieliszka stojącego na niebieskiej podstawce. Ale za niewinnością pani Wojciechowskiej przemawiają dwa fakty. Pierwszy, gdyby była trucicielką, przestawiłaby na pewno kieliszek docenta na inne miejsce, aby na niebieskiej podstawce nic nie stało. Drugim dowodem jest nasza zbiorowa fotografia. Widać na niej, że na serwetce niebieskiej stoi kieliszek z koniakiem, a docent leży już martwy na kanapie, można także spostrzec, że na barku jest różowy krążek, na którym nie ma niczego. To podsunęło mi myśl, że pani profesorowa jest daltonistką. Wezwałem ją do komendy, plotłem o rzekomych usprawieniach i podsunąłem do podpisu plik kolorowych kartek. Prosiłem, aby podpisała wyłącznie kartki niebieskie. A tam była tylko jedna niebieska i dwie czy trzy różowe. Pani Elżbieta bez wahania podpisała wszystkie. Naturalnie przed zamknięciem tej tak przykrew sprawy zaprosimy panią do lekarza specjalisty na badanie wzroku. Oficjalne świadectwo okulisty musi się znajdować w aktach. Ale to teraz już tylko formalność.

- A ja się dziwiłam, co za idiotyzmy z tym nowym usprawieniem? - uśmiechnęła się pani domu. - Nie mam żadnych zastrzeżeń przed pójściem do okulisty.

- Eksperyment dzisiejszy był tylko potwierdzeniem tamtego. Wprawdzie pan profesor prawidłowo ustawił kieliszki, ale kiedy się odwrócił, porucznik Mierzejewski zabrał z barku niebieski krążek i zastąpił go różowym.

- Mam ten niebieski w kieszeni - porucznik wyjął okrągłą serweteczkę.
- Powinieneś, Zygmunt, zachować go na pamiątkę.
- Nie chcę takich pamiątek.

- Jeszcze raz potwierdziła się szkodliwość alkoholu - zażartował mecenas. -

Zwłaszcza podanego ręką spadkobiercy. Bo przecież Lechnowicz uważał się za naukowego spadkobiercę Zygmunta.

- Pułkownik przedstawił nam niezaprzeczalne fakty, ale mnie trudno w to uwierzyć - przyznał ze smutkiem Wojciechowski. - Lechnowicz? Mój najzdolniejszy uczeń? Przyszła chluba naszej chemii?

- Obok zdolności trzeba mieć także charakter - zauważył mecenas.

- Najwięcej ja straciłem - zażartował doktor. - Już chyba nigdy w życiu nie zalicytuję wielkiego szlema.

- Nic straconego - podchwycił pan domu. - Jest nas dziewięć osób. Akurat na dwa stoliki. Trochę herbaty „Uluńg” w domu także się znajdzie. I chleba z margaryną na kolację. Dlaczego nie mamy zagrać?

- To ja będę pierwsza wychodząca - zastrzegła się pani Elżbieta.

- Potem ja pomogę ci zmywać - zaofiarowała się Krysia i dodała: - w ten „Ulung” i margarynę to ja nie wierzę.

Pani Boweri trochę się wzdragła przed uczestnictwem w grze, twierdząc, że powinna wcześniej wrócić do domu. Ale kiedy przystojny porucznik zaofiarował się, że ją odprowadzi po brydzu, także dała się namówić.

Doktor Jasińczak z zapalem tasował karty. Na pewno liczył na następnego wielkiego szlema.

Sopot 1976 r.